


# KOMISARZ SERGE OLOVSKI



TRZY RAZY DZIENNIE  
PRZED JEDZENIEM

ELIZA VEINARD

# KOMISARZ SERGE OLOVSKI



TRZY RAZY DZIENNIE  
PRZED JEDZENIEM  
ELIZA VEINARD



## ROZDZIAŁ I

Piętrowy pociąg do Château-Thierry wtoczył się na peron i wypłuł z wagonów tłum pasażerów. Przez minutę lub dwie Serge Olovski był potrącany, popychany i obijany przez liczne plecaki i torby. Cierpiał.

Wyprawa do Paryża okazała się kompletną klęską. W chwili słabości dał się namówić na spotkanie ze specjalistą od konsolidacji kredytów. Specjalista ów był synem znajomej, która zachwalała zarówno jego biegłość w finansach, jak i korzyści, które odniesie Serge. Miał zyskiwać nawet czterdzieści procent miesięcznie, czy może raczej tracić czterdzieści procent mniej... Po rozmowie z młodym człowiekiem zrozumiał, że tak naprawdę finansowo wiele nie zyska, straci natomiast dużo czasu i sporo zdrowia, zajmując się wymaganymi formalnościami. Głównie dlatego, że jego zobowiązania finansowe tylko w trzech przypadkach były kredytami, na dodatek jeden właśnie zbliżał się do końca. Pozostałe płatności młody człowiek określił jako „niedobrowolne” i jednoznacznie stwierdził, że nic się z tym nie da zrobić. Zarówno przebiegiem, jak i skutkami spotkanie przypominało niechcianą przez żadną ze stron randkę w ciemno, którą zaaranżowała nadopiekuńcza mamusia obiecującego bankowca. Chłopak pracował w La Banque Postale, gdzieś w Bobigny, spotkali się więc podczas przerwy obiadowej w małym bistro przy Avenue Jean-Jaurès. Młody w ciągu niecałej godziny poradził sobie z potężnym talerzem sałatki z łososiem, beznadziejną sytuacją finansowo-kredytową Olovskiego i przepaszając nieszczerze, wrócił do pracy. Serge zaś kolejne pół godziny rozmyślał o bezsensowności tego wyjazdu, pochylony nad talerzem *plat du jour*<sup>1</sup>, które okazało się zwykłym stekiem z mielonego mięsa z garścią frytek. Potem, ciągle zatopiony w myślach, zabłądził i nie mógł znaleźć zejścia do metra, a kiedy wreszcie jakieś dostrzegł, postanowił uczcić to filiżanką kawy w pierwszej lepszej knajpce. Od tamtej pory minęły co najmniej cztery godziny, a on ciągle był w drodze. Przepocona koszula kleiła mu się do pleców. W pociągu z Gare de l'Est ścisk był taki, że nawet wygodnego miejsca stojącego nie udało mu się znaleźć, a po przyjeździe do Meaux wypite wcześniej napoje zmusiły go do poszukiwania toalety. Jedyne na całym dworcu przybytek miał automatyczne drzwi, z którymi nie mógł sobie poradzić, bo skomplikowany zamek wymagał użycia biletu jako karty klucza. Olovski bilet kupił rano, w wiejskiej dworcowej kasie, i teraz bezradnie obracał w dłoni sporych rozmiarów papierowy druczek. Spróbował oszukać automat, wpychając w otwór peronówkę, ale zamek ani drgnął. Zdesperowany i zawstydzony, musiał poprosić o pomoc przechodzącego kolejarza, a kiedy znów pojawił się na peronie, pociąg do La Ferté zniknął właśnie za zakrętem. Cierpiał.

Przez godzinę snuł się po dworcu. Dla zabicia czasu mógł jedynie przyglądać się ludziom, podziwiać dworcową architekturę, ewentualnie poczytać wydruki z własnego konta bankowego z odręcznymi notatkami młodego finansisty. Bolały go kolana, bolał kręgosłup, zaczynała też boleć głowa, a z czytania zrezygnował, bo łzawiły mu oczy. Cierpiał.

Na dodatek znowu chciało mu się sikać, ale bał się ryzykować kolejną wyprawę do toalety, żeby nie przegapić następnego pociągu. Spacerował po rozgrzanym peronie, wypatrując ławki, choćby częściowo zacienionej; pragnął przysiąść choć na chwilę i dać odpocząć nogom. Słońce oślepiało i paliło wilgotną słoną skórę twarzy albo niemiłosiernie prażyło w plecy. Spodnie kleiły się do ud i ocierały nieprzyjemnie. Kiedy wreszcie opadł na szaroniebieski fotel w swojskim Bombardierze zmierzającym w stronę La Ferté, poczuł się prawie jak w domu. Nie przeszkadzała mu nawet grupa rozwrzeszczanej młodzieży, która zresztą wysiadła na jednym z pierwszych przystanków. Po ich wyjściu w pociągu zrobiło się cicho i spokojnie. Klimatyzacja z trudem, ale jednak poradziła sobie z gęstym zapachem intensywnego młodego potu, perfum, dezodorantów i przetrawionych papierosów, wypalonych ukradkiem na peronie. Kichnął, przymknął oczy i chyba się zdrzemnął, bo ostatni odcinek podróży minął mu nadszpiewanie szybko.

Zaledwie kilku pasażerów wysiadło wraz z nim w La Ferté. Zalety mieszkania na wsi, pomyślał. Żadnych automatycznych bramek, żadnego tłumu ogarniętych amokiem pośpiechu podenerwowanych ludzi. Tylko drżące od upału powietrze nad torami i cykanie świerszczy w pożółkłych trawach kolejowego nasypu. Przejście przez tory pokonał spacerowym krokiem. Był zmęczony, szedł więc powoli i jako ostatni minął budynek dworca. Uliczka wiodąca do centrum wsi, szumnie zwana aleją Dworcową, krzyżowała się w połowie swojej długości z aleją Bukową, szutrową dróżką prowadzącą na miejscowy cmentarz. Rozciągnięty, choć niezbyt liczny kondukt zablokował mu drogę, kiedy mijał skrzyżowanie. Nie chciał przeciskać się pod prąd między żałobnikami. Zszedł na bok, oparł się o ażurowy płot hotelu Przy Dworcu i czekał, masując przy okazji obolałe łędwie. Nie lubił pogrzebów. Nie lubił szpitali, chorób i śmierci. Przez całe swoje życie zawodowe stykał się z tym wszystkim wystarczająco często. Przejadło mu się. Nie dostrzegał w śmierci majestatu, a rytuały z nią związane po prostu go odstręczały. Błogosławił istnienie całego tego przemysłu pogrzebowego, który sprawnie i fachowo załatwiał za człowieka wszelkie konieczne sprawy. Z pogrzebu żony uciekł przed jego zakończeniem. Udał, że źle się czuje i wycofał z cmentarza, zostawiając na głowie syna i zapłakanej córki wszystko to, co później musiało się wydarzyć. Te wyrazy współczucia, ceremonialne ściskanie rąk, ocieranie zażawionych oczu i klepanie po ramieniu. W środku nocy wrócił do domu taksówką po kilku drinkach, i z pełną świadomością, że następnego ranka dzieci albo urzędzą mu awanturę, albo nie będą się do niego odzywały przez kilka najbliższych dni. Didier i Nathalie wybrali to drugie rozwiązanie, tyle że ciche dni trwały prawie rok.

Kiedy nadjechał karawan z trumną, na chodniku zrobiło się jeszcze ciasniej. Obok Serge'a zatrzymał się wysoki, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy i bujnej kręconej czuprynie. Olovski przesunął się odrobinę, robiąc przybyszowi miejsce. Nie udało mu się przy tym powstrzymać syknięcia pełnego cierpienia. Umęczony kręgosłup dźgnął go mściwie, a szpila bólu sięgnęła chyba aż do płuc, bo przez chwilę oddychanie wydało mu się zbyt ryzykowne.

– Czyżby miał pan problemy z nerwem kulszowym? – Nieznajomy przekrzywił podłużną głowę i przyglądał mu się uważnie.

– A pan, przepraszam, zwykle tak dopytuje ludzi o ich dolegliwości, czy jakoś szczególnie zasłużyłem sobie na zainteresowanie? – Olovski odzyskał oddech, ale narastało w nim rozdrażnienie.

Pogrzeb leniwie posuwał się ulicą, nie zważając na jego potrzebę natychmiastowego znalezienia się we własnym domu, przed własnym telewizorem i na własnej kanapie.

Głowa bolała coraz bardziej, skóra twarzy piekła, jakby za długo przebywał na słońcu, oczy szczypały, a na dodatek przy przełykaniu czuł w gardle niemiły ropny posmak. Wieczór był pogodny i ciepły, mimo to co jakiś czas wstrząsały nim dreszcze, a ten ciekawski gość gapił się na niego jak na jakiś eksponat i wtrącał w cudze sprawy. Na szczęście zza zakrętu wychodziło coraz mniej osób, sznur samochodów także się przerzedził, mógłby więc powoli przeciskać się w upragnionym kierunku... Mógłby, gdyby nie ten ból czający się gdzieś nad lewym pośladkiem. Chudy mądrala wcale nie przejął się opryskliwym tonem.

– Zwykle tak dopytuję – odpowiedział spokojnie. – Jestem lekarzem. Pracuję tu od kilku miesięcy i wydaje mi się, że już pana kiedyś spotkałem. – Wyciągnął do Serge'a rękę i niezrażony, uprzejmie się przedstawił: – Nazywam się Silviu. Doktor Ionut Silviu.

– Olovski – mruknął komisarz z odrobiną zażenowania, ale jednak dość opryskliwie.

– Proszę spróbować znaleźć taką pozycję, w której ból będzie najmniej dotkliwy. Da pan radę iść? – Doktor Silviu wprawnym ruchem ujął Olovskiego pod łokieć i ściągnął mu z ramienia pasek od torby. – Powinien pan raczej używać plecaka. Ciężar równo się rozłoży...

– Co pan powie?! – Serge nie miał najmniejszego zamiaru wspierać się na ramieniu tego człowieka. Nie życzył sobie, żeby traktowano go jak jakiegoś bezradnego staruszka. Wyprostował się i zrobił krok, wyciągając jednocześnie rękę po swoją torbę z dokumentami. Lewa noga ugięła się pod nim, jakby była pozbawiona stawów. Zaklął i poczerwieniał na twarzy.

Silviu pokiwał głową.

– Wie pan co, chyba będzie prościej, jeśli podrzucę pana samochodem. Stoję na parkingu przed dworcem. Niech pan się oprze o ten murek i poczeka. W samochodzie nie będzie wprawdzie mniej bolało, ale przynajmniej szybciej znajdzie się pan u siebie, będzie mógł się położyć i łyknąć coś przeciwbólowego.

– Szlag by to jasny trafił – mruzczał Olovski, ale czekał posłusznie wsparty o murek, bo zdał sobie sprawę, że rzeczywiście nie jest w stanie zrobić nawet kilku kroków. Spacer przez miasteczko i wspinanie się stromymi uliczkami na zamkowe wzgórze, gdzie mieszkał, wydawało się obecnie ponad jego siły.

Po chwili tuż obok zatrzymał się biały peugeot 308. Silviu przesunął siedzenie pasażera maksymalnie do tyłu i pomógł komisarzowi wsiąść.

– Proszę się już nie denerwować. Za chwilę będzie pan w domu. Odpocznie pan i za parę godzin powinno przejść – mówił doktor, zerkając na naburmuszonego pasażera. – Wiem, co mówię. Czasami wystarczy źle stanąć, wykonać jakiś niewłaściwy ruch, i gotowe. Teraz w prawo?

– Niech pan jedzie prosto, do następnego skrzyżowania. Zamkową jest łatwiejszy dojazd. – Serge siedział z ręką podłożoną pod tyłek, bo w tej pozycji ból był mniej dokuczliwy. Szumiało mu w głowie i z trudem powstrzymywał atak nieprzyjemnego suchego kaszlu. Przy wysiadaniu musiał skorzystać z pomocy.

– Wejdzie pan? – zapytał niechętnie.

– Chyba nie mam wyjścia – odparł pogodnie lekarz.

Olovski pokuśtykał prosto do łazienki. Silviu w tym czasie wrócił do samochodu po torbę i sweter.

– Ma pan jakieś środki przeciwbólowe?

– Nie wiem. Powinna gdzieś być aspiryna.

– Na razie proszę łyknąć to i chwilę poleżeć. – Lekarz trzymał w wyciągniętej ręce dwie spore białe tabletki. Nie pytając o zgodę, poszedł do kuchni, skąd wrócił ze szklanką wody.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zajrzeć panu do gardła. Wydaje mi się, że oprócz tego ataku zaczyna się jakaś infekcja.

Olovski nie miał nic przeciwko temu. Skwapliwie otworzył usta i wysunął język aż na brodę. Leżał na boku w dość dziwnej pozycji, ale wreszcie u siebie, i czekał, aż leki zaczną działać. Doktor Silviu przestał mu się wydawać nachalnym mądrałą. W sumie robił nawet dość sympatyczne wrażenie.

– Tak jak myślałem. Ma pan zaczerwienione i podrażnione gardło, podwyższoną temperaturę, a wkrótce pewnie znacznie się katar. Powinien się pan wybrać do swojego lekarza.

– Nie mam swojego lekarza. Nie lubię lekarzy – oznajmił taktownie Serge, wywołując u gościa uśmiech pełen zrozumienia.

– A wie pan, że ja najbardziej lubię tych pacjentów, którzy nie lubią lekarzy? Jeśli do tego jeszcze nie lubią chorować, to już w ogóle jest świetnie. Lubi pan chorować, panie Olovski?

– Za idiotę mnie ma! – pomyślał Serge i zażawionymi oczami wpatrywał się w uśmiechniętą twarz doktora, ten zaś spokojnie pakował do granatowego plecaczka swoje lekarskie utensylia.

– Gdzie pan ma apteczkę?

– Co?

– Leki. Gdzie pan trzyma leki? Ma pan w domu jakieś lekarstwa, prawda? Chciałbym zobaczyć, czy jest tam coś, co pomogłoby panu zasnąć i dotrzeć do rana.

– A, no tak. W kuchni, w kredensie, za witrażowymi drzwiczkami, taka drewniana skrzynka po winie.

Słyszając skrzypienie drzwiczek od kredensu, Serge krzyknął:

– Doktorze, tam obok powinny stać butelki z alkoholem. Niech pan sobie naleje, na co ma pan ochotę, bo mnie pewnie nie wolno.

Nasłuchiwał odpowiedzi, ale z kuchni dobiegło jedynie niewyraźne parsknięcie. Po chwili pokazał się Silviu z drewnianą skrzyneczką, na której ustawił dwie szklanki z jasnobrązowym płynem. Jedną postawił na oparciu kanapy, tak żeby Olovski mógł sięgnąć, nie zmieniając pozycji, drugą zaś odstawił na stolik. Skrzynkę oparł na kolanach i zaczął przeglądać jej zawartość.

– To przeterminowane, to też. Zabieram. Tu ma pan jakiś zestaw witamin, przyda się. A to? Skąd pan to ma? Serge zmarszczył brwi i zmrużył oczy. Z tej odległości ledwo widział płaskie białe pudełeczko z pastelowymi akcentami.

– Kto to panu przepisał? To bardzo mocny neuroleptyk. Ma pan problemy psychiczne?

– Ja? Niech pan popatrzy na datę, może to żony?

– Pana żona leczy się psychiatrycznie?

– Moja żona w ogóle się nie leczy, doktorze. Od kilku lat na nic się nie uskarża. Nie żyje.

– Przepraszam. Nie wiedziałem. Też zabieram. To niebezpieczny lek, a zresztą i tak przeterminowany.

Cisza, która zapadła, powinna być kłępująca, ale wcale taka nie była. Olovski, moczając język w alkoholu, myślał sobie właśnie, że wspomnienie zmarłej żony nie poruszyło go jakoś specjalnie, a Silviu, zupełnie niezrażony, nadal segregował leki. Gdy skończył, sięgnął po swoją szklankę, upił odrobinę, skrzywił się i pokazując odłożone na stolik opakowania, wyjaśnił:

– Ma pan tu tylko resztkę aspiryny i multiwitaminę. Przydałoby się coś do ssania na bolące gardło. No i jeśli po trzech dniach nie będzie się pan czuł lepiej, to jednak radzę odwiedzić lekarza i pozwolić się porządnie zbadać.

– Mhm, i podał mi pan alkohol? Swoją drogą co pan tam znalazł? Co to jest?

– Nie wiem. Butelka miała jakieś greckie napisy. Wygląda ładnie i pachnie dość typowo. O ile nie trzyma pan w tej szafce chemii gospodarczej, nie powinniśmy się otruć. A cóż by to dało, drogi panie, gdybym ja panu nie nalał tej szklanki? Jeśli ma pan ochotę na coś mocniejszego, to zaraz po moim wyjściu i tak by się pan napił. Mam rację?

– Cóż, dziś taki dzień, że przeważnie ma pan rację. – Olovski, uspokojony, łyknął nieco odważniej i kiedy już odzyskał oddech, uznał, że czas pokazać się z nieco lepszej strony. – Przykro mi, że pokrzyżowałem panu plany. Przeze mnie nie uczestniczył pan do końca w uroczystości.

– W uroczystości? Ach, nie. Na ten pogrzeb trafiłem zupełnie przypadkiem. Miałem jechać po zakupy do Villers, a samochód trzymam pod dworcem. Przed domem nie mam gdzie zaparkować. Trochę mnie przyblokowali, chciałem przeczekać największy tłok i natknąłem się na pana. No a teraz... – doktor demonstracyjnie spojrzął na zegarek – już dawno wszystko pozamykane. Nie muszę się spieszyć i mogę z czystym sumieniem wypić z panem drinka. – Znad szklanki spojrzął na Olovskiego. – A pan był znajomym pani Ambroise?

– Kogo?

– Pani Ambroise. Tej zmarłej. Gisèle miała na imię. Znał ją pan bliżej?

– W ogóle jej nie znałem. Nazwisko, owszem, obilo mi się o uszy, ale nigdy jej chyba nie spotkałem. Ja też się tam znalazłem przypadkiem. Wracalem z Paryża. Wykończony po całym dniu łażenia, zatrzymałem się, żeby przepuścić kondukt, bo nie miałem siły przepychać się pod prąd.

Silviu pokiwał głową i zapatrzył się w prawie pustą szklankę. Serge zmienił nieco pozycję, podtykając sobie pod łędźwie poduchę z kanapy. Środek przeciwbólowy ewidentnie robił swoje, bo czuł się zdecydowanie lepiej. Nawet gardło jakby mniej dawało się we znaki.

– Niech pan sobie doleje, doktorze, tego czegoś greckiego, czy co pan tam znajdzie. Ja zadowolę się tą jedną szklaneczką. Chyba rzeczywiście dopadło mnie jakieś przeziębienie.

Gość nie zaprotestował i po chwili wrócił z kuchni z kolejnym drinkiem. Zasiadł w fotelu, pochylił się lekko w stronę Olovskiego i uśmiechając się przepaszająco, westchnął:

– Szkoda. Szkoda, że jej pan nie znał.

– Taka miła z niej była kobietka?

– Nie. Znaczący, nie o to chodzi. Tylko, widzi pan, ja ją leczyłem.

– No cóż, doktorze, czasami...

– No właśnie! Widzi pan. No widzi pan! Leczyłem ją, a umarła, to znaczy, że ją źle leczyłem, tak?

– Ależ ja nic takiego nie powiedziałem! Niechże się pan uspokoi. Jeśli to jest ta osoba, o której myślę, to miała już swoje lata. Starzy ludzie umierają, doktorze. Żeby nie wiem jak dobrze pan leczył, nie ma pigulek na starość.

Silviu wziął głęboki wdech i wolniutko wypuścił powietrze, robiąc z ust śmieszny dzióbek, po czym rzekł:

– To ja zacznę od początku.

– O, i tak będzie najprościej. W takim razie niech mi pan jednak doleje trochę tej ambrozji, a po drodze wszystko sobie łoży w głowie, dobrze?

– Dobrze.

Silviu wrócił z butelką i nalał odrobinę Serge'owi. Skwapliwie uzupełnił również swoją szklanę.

– Bo ja, widzi pan, w Bukareszcie pracowałem na oddziale geriatrycznym.

– Pan jest Rumunem?

– Tak. Przyjechałem do Francji w dwa tysiące siódmym, gdy tylko stało się to możliwe. Z różnych przyczyn, teraz to nieważne.

Olovski przytaknął gorliwie. Nie miał nastroju na wysłuchiwanie łązawych emigranckich opowieści.

– Nostryfikowałem dyplom i pracuję jako lekarz ogólny. Zobaczyłem ogłoszenie, że w La Ferté szukają doktora, zgłosiłem się, no i od kilku miesięcy praktykuję w tym miejscu. Przejąłem gabinet i prawie wszystkich pacjentów zmarłego doktora Marlota. Nawet zamieszkałem w jego domu i myślałem, że może odkupię go kiedyś od jego córki. Podoba mi się tutaj. Sam pan wie – spokój, cisza. A moi pacjenci to przeważnie starzy ludzie. Pasuje mi to. Znam się na tym. Lubię geriatrię i lubię starych ludzi. I, do cholery, jestem dobrym lekarzem. – Silviu podkreślił ostatnie zdanie solidnym ciosem pięści w blat kawowego stolika, co poskutkowało brzęknięciem szklanek i prawdopodobnie bólem kłykci.

Olovski uspokajającym gestem uniół dłoń.

– Tak. Przepraszam. Ale chciałem, żeby pan wiedział, że zależy mi na tej pracy i na pacjentach, a fakt, że jestem obcokrajowcem, nie pomaga. Starzy ludzie są nieufni, konserwatywni z natury. Jean-Claude Marlot to jednak lepiej brzmi niż jakiś Ionut Silviu. Muszę się bardzo starać, żeby zasłużyć na ich zaufanie, rozumie pan?

Serge pokiwał głową. Rozumiał doskonale.

– Pani Ambroise była jedną z tych pacjentek, które w odróżnieniu od pana lubią się leczyć. Przychodziła często i skarżyła się na przeróżne dolegliwości. Skierowałem ją nawet do szpitala, bo w pewnym momencie zacząłem podejrzewać niewydolność nerek. Wróciła z kompletem badań, wypoczęta i w dużo lepszej formie. Dobrałem jej odpowiednie leki, pouczyłem na temat diety. I zapewniam pana, że mogła pożyć jeszcze dobrych kilka lat. O ile wiem, mieszkała sama, i choć słyszałem, że gdzieś daleko ma rodzinę, bardzo rzadko ktokolwiek ją odwiedzał. – Doktor zwilżył gardło kolejnym łykiem alkoholu i kontynuował, ostrożnie dobierając słowa: – Poprzedni weekend spędziłem w Lille. Mam tam znajomych, zaprosili mnie na obławanie mieszkania, które kupili. Wróciłem w poniedziałek, a w środę przed południem zadzwoniłem do pani Ambroise, bo nie zgłosiła się na umówioną wizytę. Odebrała jakaś młoda kobieta, która poinformowała, że Gisèle zmarła w nocy z soboty na niedzielę. Ktoś wezwał pomoc, ale lekarz nie mógł już nic zrobić. Pewnie popatrzył na leki, które miała w domu, i z czystym sumieniem wypisał akt zgonu. Nic go nie zaniepokoiło. Ale, widzi pan, mnie się to jakoś nie podoba. Cały czas mam wrażenie, że ona nie powinna umrzeć. Jeszcze nie teraz. – Przymknął na chwilę oczy i znów zrobił głęboki wdech z wypuszczaniem powietrza przez ściągnięte usta.

Olovski siedział w milczeniu, bo nie bardzo wiedział, co miałby powiedzieć. W końcu Ionut mrugnął kilka razy, jakby się właśnie przebudził i, nieco skrepowany, dodał:

– Nie wiem, dlaczego akurat panu to mówię.

– Glinę pan wyczuł.

– Słucham?

– Glinę pan wyczuł albo cynicznie wykorzystuje pan fakt, że nie bardzo mogę się ruszyć i uciec przed tymi wynurzeniami.

– Jest pan gliną? Serio?

– Raczej byłem. Teraz jestem zasmarkany, cierpiącym na tę cholerną rwę unieruchomionym na kanapie emerytem. – Olovski zakasał sucho i wydmuchał nos w pogniecioną i chyba już co najmniej raz użytą chusteczkę higieniczną, którą sapiąc, wygrzebał z kieszeni spodni. Przy okazji skonstatował, że w kręgosłupie nic nie łupnęło, co



nastroiło go łaskawie do świata i doktora Silviu. Odstawił niedopitą szklanke, bo alkohol jednak mu nie smakował, i ciężko myślał, jak mógłby skomentować opowieść lekarza. Nie dopatrył się w tej całej historii niczego niepokojącego. Rumun wyglądał na bardzo przejętego, ale zapewne pomylił się w ocenie stanu zdrowia staruszki, i tyle. Może była bardziej schorowana, niż się to wydawało, może zjadła coś, co spowodowało kryzys? Może zapomniała łyknąć leki albo wzięła podwójną dawkę? – Szczerze mówiąc – odezwał się w końcu – nie wydaje mi się, żeby śmierć tej pani była szczególnie podejrzana. Wybacz pan, też mam swoje lata, i jeśli nagle umrę, to wcale mnie to nie zdziwi. Może właśnie w tej chwili gdzieś formuje mi się jakiś zator, albo odwrotnie, coś szykuje się do pęknięcia czy jakieś tam zawory właśnie się luzują. Diabli wiedzą. A pan się będzie zadreślał i węszył dramat, bo przecież mnie pan zbadał i oprócz smarków w nosie niczego nie zauważył.

Lekarz skrzywił się i pokręcił głową.

– Tak, wiem. Widzi pan, to nie pierwszy raz. W zeszłym miesiącu nagle zmarł pan Court. Patrick Court, może go pan znał?

Serge wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Nazwisko Court nic mu nie mówiło.

– Taki tęgi jegomość z czerwoną twarzą. Właściwie jego największym problemem była otyłość. Cukier miał nieco podwyższony i za wysokie ciśnienie. Normalne w jego wieku i wszystko do opanowania. Wziął się za siebie. Przepisałem mu nawet Orlistat, żeby wspomóc chudnięcie. Spotykaliśmy się co dwa tygodnie. Bardzo dobrze mu szło i wyniki miał coraz lepsze...

– I co się stało? – Olovski powstrzymywał ziewanie, wyczyniając dolną połowę twarzy jakąś dziwną gimnastykę.

– Pojechał do Strasburga, żeby zobaczyć się z wnukami i tam zmarł. Rozmawiałem telefonicznie z córką, twierdziła, że ojciec miał zawał.

Tym razem Serge'owi nie udało się powstrzymać ani ziewnięcia, ani lekkiego zniecierpliwienia w głosie.

– Doktorze, bardzo doceniam to, co pan dziś dla mnie zrobił, ale wybacz pan, jestem wykończony, a w pana opowieściach naprawdę nie widzę nic, co mogłoby niepokoić. To bardzo dobrze o panu świadczy, że tak pan przeżywa śmierć swoich pacjentów...

Doktor Silviu zerwał się z fotela. Okrył Olovskiego kocem, przeprosił kilka razy, jeszcze raz poradził wizytę u lekarza, gdyby przeziębienie się przedłużało, i najwyraźniej zawstydzony swoim gadulstwem, wyszedł, starannie zatrzaskując drzwi.

I to był ostatni dźwięk, jaki otepiały umysł Serge'a odnotował. Zdążył jeszcze tylko przyłożyć wymiętą chusteczkę do ciekącego nosa i zasnął.

---

<sup>1</sup> *Plat du jour* (fr.) – specjalność dnia.

## ROZDZIAŁ II

Ewa Maria Wolny była z wykształcenia nauczycielką. Zatrważająco dawno temu, na Uniwersytecie Jagiellońskim, skończyła z całkiem niezłym wynikiem pięcioletnie studia pedagogiczne na kierunku nauczanie początkowe. Jeszcze przed obroną pracy magisterskiej zorientowała się, że nie przepada za swoim zawodem i zaczęła mieć poważne wątpliwości, czy da radę wykonywać go do emerytury. Praca była męcząca, niedoceniana, nie najlepiej płatna i na dodatek wymagała ciągłego dokształcania się. Po trzech latach spędzonych w jednej z krakowskich podstawówek zauważyła, że w tym samym stopniu irytują ją zarówno „kochane dzieciaczki” (jak o uczniach klas młodszych mawiał dyrektor szkoły), jak i ich wszystkowiedzący, przemądrzali, nadopiekuńczy rodzice, a jej ulubionym cytatem stał się fragment wiersza: „W iskier krzesaniu żywym; materiał to rzecz główna”<sup>2</sup>. Pewnie była niesprawiedliwa i pewnie trochę za bardzo niecierpliwa. Niemniej jednak pierwszą ciężą i konieczność pójścia na urlop wychowawczy przyjęła z radością i ulgą. Uciekła w pełnoetatowe macierzyństwo, licząc, że życie podsunie jakieś rozwiązanie, że po drodze coś się wydarzy. No i wydarzyło się. Druga ciąża, narodziny Piotrka, a po drodze likwidacja szkoły, w której była zatrudniona. Na szczęście jej mąż Paweł z sukcesami rozwijał swoją informatyczną karierę. Jeździł na szkolenia, zmieniał firmy (zawsze na lepsze), no i zarabiał całkiem niezłe pieniądze. Na tyle niezłe, że odważyli się wziąć kredyt na zakup mieszkania. Trzeba było w końcu uciec od apodyktycznej teściowej i jej zapędów do kontrolowania wszystkiego i wszystkich wokół. Dwa dziecięce łóżeczka, rozkładana wersalka i zajmujący coraz więcej miejsca sprzęt Pawła ściśnięte w pokoju Pawełka; teściowa z westchnieniem ścierająca z kuchennych blatów najmniejszy nawet ślad dziecięcych zupek i papek, komentująca kolor suszących się na sznurku pieluch w stylu: „Jakieś takie niedoprane. Za moich czasów pieluchy się gotowało...”. Spłata kredytu nie wydawała się najgorsza w zamian za własny kąt, spokój i komfort życia po swojemu. No więc uciekli do własnych sześćdziesięciu metrów kwadratowych, na czwartym piętrze bez windy. Potem znów uciekli. Tym razem do Francji. Może to przez ten drugi kredyt, który trzeba było wziąć na remont mieszkania, a może po prostu marzyli o wielkiej przygodzie?

Ewa szukała swojego miejsca w życiu, od kiedy Piotrek skończył trzy latka i poszedł do przedszkola. Zatrudniała się w różnych instytucjach, przedsiębiorstwach, ale nigdzie nie zagrzała miejsca na długo. W końcu założyła własną jednoosobową firmę. Wtedy prawie wszyscy tak robili i niektórym się udawało. Na początku szło jej całkiem dobrze. Miała zapał, miała pomysły, a jeśli czasami brakowało poważnych zleceń, nadrabiała drobnymi usługami, które wprawdzie czasochłonne i męczące, to jednak przynosiły jakieś pieniądze. Mimo to zdarzały się miesiące, że nie obeszło się bez pomocy teściowej.

Paweł był zmęczony. Miał inny pomysł na rozwój firmy niż jego szefowie, co rodziło nieustające konflikty. Ona była zmęczona pogonią za klientami, za pieniędzmi, użeraniem się z dziećmiakami, z kredytami, z remontami... O tak, była zmęczona. I czasami miała wielką ochotę uciec od tego wszystkiego jak najdalej. Atmosfera w ukochanej firmie Pawła psuła się coraz bardziej. Owszem, rozrosli się, poszerzyli zakres działalności, ale konkurencja na rynku nie próżnowała. Paweł był co prawda świetnym informatykiem, ale te wszystkie rynkowo-giełdowe mechanizmy ani go nie interesowały, ani niespecjalnie się w nich orientował. Od początku kontakty z Francuzami były na jego głowie, bo znał język. Jeździł do Paryża z szefami, brał udział w rozmowach dotyczących współpracy. Propozycja kilkuletniego kontraktu wyszła podobno od Francuzów. To trochę osładzało fakt, że tak naprawdę zarząd zamierzał pozbyć się kilku osób z krakowskiego oddziału. Już wtedy zaczęła się moda na oszczędności czynione głównie poprzez redukcję etatów.

No więc tak, to też była ucieczka. Nie taka najgorsza. Z lądowaniem na cztery łapy, ale jednak ucieczka. A teraz, w tym swoim francuskim domu, który tak ją niegdyś cieszył, leży przykryta dwoma kocami, popija przesłodzoną herbatę z cytryną i użala się nad sobą. Paweł umarł tak nagle i tak jakoś bez sensu, że jeszcze teraz, czasami, budząc

się rano, nie pamięta, że go nie ma. Dzieci wyrwały się w dorosłość z równą bezwzględnością, jak kiedyś ona sama. Dalszą rodzinę i bardziej zażyłe znajomości zostawiła za sobą w Krakowie, a nowe przyjaźnie jakoś nie chciały się pojawić. Czuła się więc samotna, zaziębiona i trochę głodna. Rozpamiętywała te wszystkie swoje życiowe ucieczki chyba tylko po to, żeby jeszcze bardziej się zdołować. Ulitować się nad sobą, taką biedną, opuszczoną przez wszystkich, taką zakatarzoną i głodną. Spędziwszy trzy dni pod kocem, na zmianę drzemiąc lub gapiąc się w telewizor, zdała sobie sprawę, że gdyby ponownie chciała gdzieś uciec, gdyby naprawdę miała dość tego wszystkiego tutaj, musiałaby chyba uciec z powrotem do Krakowa, no bo gdzież indziej? Tylko czy można uciec „z powrotem”? Przecież nie ma już tego Krakowa z Pawłem, z ich mieszkaniem na czwartym piętrze bez windy. Z Zosią zapominającą plecaka z tramwaju i Piotrkim, który upierał się, że będzie jeździł do szkoły rowerem i wytrzymał cały rok mimo ciągłych spóźnień i przeziębień.

Strasznie to wszystko smutne. Na potwierdzenie siąknęła nosem i podciągnęła koc pod samą brodę. Spędziła na kanapie trzy dni. Piła herbatę, łykała aspirynę i od czasu do czasu rozpuszczała w kubku gorącej wody pół kostki rosołku Knorra. Nie wychodziła nawet do ogrodu, nie myła się ani nie przebierała. Na stoliku obok kanapy leżała biała słuchawka telefonu stacjonarnego, komórka i iPad podłączony do ładowarki, bo bardzo szybko tracił moc i bezczelnie świecił w oczy rozjarzonym na zielono ekranem z napisem „niski poziom baterii”. Tyle tylko, że przez ostatnie trzy dni żadne z tych urządzeń nie wydało z siebie najdrobniejszego dźwięku. Komórka milczała, milczał telefon domowy, iPad nie sygnalizował wiadomości na Messengerze ani nawet nowych postów na Facebooku. Cisza. Kompletna cisza, która doprowadzała ją do łez, do czarnej rozpaczki i do niezdrowego wzburzenia. Nawet Justyna nie zadzwoniła. Ukochana przyjaciółka Justyna, z którą znały się od podstawówki, nie zadzwoniła! Zosia nie napisała nawet najkrótszego SMS-a, a z Piotrkim wprawdzie rozmawiała trzy dni temu, ale oznajmił, że skoro łapie ją przeziębienie i musi się położyć, to on jej nie będzie zwracał głowy. Taki troskliwy, kochający syn. Chciało jej się płakać. Ale jednak jeść trochę bardziej. Wstała więc, wepchnęła telefony do kieszeni bluzy i szurając kapturami, poczłapała do kuchni. Jajecznica i kubek gorącego kakao zdecydowanie poprawiły jej humor. Uznała, że da radę wejść pod prysznic i tę noc przespać wreszcie w łóżku.

Świeżo odzyskana umiejętność oddychania przez nos i kilka godzin snu w czystej pościeli nastroiły ją przyjaźniej do świata. Nie myślała już o ucieczce, samotności, odrzuceniu przez przyjaciół, tylko popijając pierwszą poranną herbatę, sprawdziła zawartość lodówki i przejrzała łazienkową szafkę, w której trzymała leki. Na zrobienie większych zakupów nie miała jeszcze siły, ale wyprawa do piekarni wydawała się możliwa. Przy okazji postanowiła wpaść do apteki po jakiś syrop, zestaw witamin i zapas aspiryny, przez trzy dni zjadła bowiem całe opakowanie, a przecież sezon przeziębień nawet się jeszcze porządnie nie zaczął.

Miała wrażenie, że w piekarni wszyscy przyglądają jej się dziwnie, bo była jedyną osobą w dzinsach i bluzce z długimi rękawami. Na dodatek szyję owinęła lekkim szalem, od którego nie mogła oderwać wzroku spocona ekspedientka, ubrana jedynie w króciutką sukienkę na cienkich ramiączkach.

– Źle się pani czuje?

– Bardzo. Chyba nadal mam gorączkę, a już na pewno straszny katar.

– Coś takiego!? A tu taki upał! Ale proszę sobie wyobrazić, że moja córka też pokasłuje. Podobno to z przegrzania.

– Przegrzanie i przeziębienie mają takie same objawy – wtrąciła autorytatywnie kostyczna kobieta w kwiaciastej bluzce i słomkowym kapeluszu na przetłuszczonych włosach. – Mój mąż w największe upały zawsze chodzi z katarzem. Wszędzie te klimatyzacje i napoje prosto z lodówki. Ludzie teraz nie umieją dbać o zdrowie...

Ewa przywołała na twarz coś w rodzaju niewyraźnego uśmiechu, chwyciła swoją bagietkę i z ulgą wyszła na ulicę, gdzie wreszcie mogła porządnie wydmuchać nos. Ciężar dialogu z kompetentną damą przejęła na przegrzane barki sympatyczna ekspedientka, która z pewnością nie miałaby nic przeciwko klimatyzacji ani szklance zimnego napoju prosto z lodówki. Było naprawdę gorąco. Słońce prażyło, a nagrzone ściany budynków dodatkowo podnosiły temperaturę. Zerwała z szyi zupełnie niepotrzebny szal i zanim włożyła go do torebki, otarła pot z twarzy i karku, podciągnęła rękawy bluzki, jeszcze raz hałaśliwie wytarła nos i wolnym krokiem, oddychając ciężko, skierowała kroki w stronę apteki.

W La Ferté apteki były dwie. Ta bardziej lubiana przez mieszkańców, nowoczesna i dobrze zaopatrzona, mieściła się w niewielkim parterowym pawilonie sąsiadującym z przychodnią lekarską. Wygodnie było od razu po wyjściu od doktora zrealizować receptę. Farmaceuci znali preferencje przyjmujących w przychodni specjalistów i upodobania pacjentów. Wszystko funkcjonowało wspaniale, a migający kokieteryjnie zielony neon w kształcie krzyża już z daleka zachęcał do odwiedzin. Ewa kilka razy realizowała tam recepty swoich podopiecznych – starszych pań, które z racji wieku i dolegliwości często korzystały z domowych wizyt lekarskich. Raz nawet dała się skusić i w dziale drogerijnym kupiła polecany krem, który miał jej zlikwidować zmarszczki, poprawić owal twarzy i ujędrnić skórę. Reklamująca specyfik modelka owal miała bez zarzutu, a skórę najprawdopodobniej jędrną, niestety twarz Wolny pozostała bez zmian. Skurczył się natomiast jej miesięczny budżet, i to dość znacznie. Krem kosztował bowiem tyle, ile zwykle przeznaczala na tygodniowe zakupy spożywcze. Rozczarowanie drogerijnym eksperymentem nie przełożyło się na niechęć do apteki. Dziś jednak nie miała siły iść aż na odległą Avenue Pasteur. Dużo bliżej, bo w centrum La Ferté, w piętrowym starym domu mieściła się apteka zupełnie innego typu. Ewa wpadała tam czasem pod pretekstem kupienia środków przeciwbólowych, witamin czy choćby paczki chusteczek do nosa. Tak naprawdę fascynowało ją stare wnętrze, które oglądała za każdym razem z jednakową przyjemnością. Wrażenie robiła już obudowana drewnem witryna w przedziwnym grafitowozielonkawym kolorze. Nie było tu neonów ani dodatkowego oświetlenia, jedynie mosiężne litery tworzące napis „Pharmacie Lebreton”, a nad drzwiami kielich opleciony przez węża Eskulapa, również wykuty w mosiądzu. Szyby wydawały się zawsze nieco przykurzone, mimo że właściciel często zmieniał ekspozycję. Ustawiał w oknie wielkie szklane słoje z suszonymi ziołami albo sadzał za szybą starą lalkę z porcelanową twarzą i namalowanymi rumieńcami, która w strojnej koronkowej sukience i maleńkim kapelusiku na głowie uśmiechała się upiornie, oświetlona żółtym światłem słabej żarówki. Obowiązkowy dzwoneczek nad drzwiami uprzedzał o wejściu do wnętrza, które wyglądało równie fascynująco. Potężne, pokrywające całe ściany dębowe szafy skrywały porcelanowe butelki, buteleczki i pojemniki – wszystkie z etykietami zapisanymi czarnym atramentem pięknym charakterem pisma. Jedną ze ścian stanowiły całe kolumny szuflad, których monotonię przełamywały umiejscowione co kilka rzędów półki osłonięte przeszklonymi drzwiczkami. Dąb, szkło, biała porcelana i mosiądz. Mosiężne były tabliczki z tajemniczymi napisami informującymi, co zawierają kolejne szafy, mosiężne żyrandole i lampy z kloszami z mlecznego szkła. Nawet ustawiony tuż za drzwiami wejściowymi stojak na parasole, którego chyba nikt nigdy nie używał, wykuty był z mosiądzu. Pachniało dziwną mieszaniną suszonych ziół i jakichś chemicznych substancji. Był to jednak zupełnie inny zapach niż ten w nowej aptece, przy przychodni. Może dlatego, że wszelkie „nowoczesne” lekarstwa, wszystkie te kolorowe pudełeczka, tubki i plastikowe buteleczki właściciel wstydliwie, ale i z dużym wyczuciem stylu, ukrywał w szufladach i zamykanych szafach. Pan Lebreton, o dramatycznym imieniu Yorick, bardzo pasował do wnętrza swojej apteki. Nosił nieskazitelnie biały kitel, krojem przypominający wojskowy szynel. Znad kołnierza zawsze wystawał mu duży węzeł kolorowego krawata, a w górnej kieszonce połyskiwała złota skuwka wiecznego pióra. Na dźwięk dzwonka pojawiał się w drzwiach prowadzących na zaplecze bądź wstawał zza wielkiego dębowego stołu, który zastępował zwykły w takich przybytkach kontuar. Na zewnątrz słońce prażyło niemilosiernie, wnętrze jednak pogrążone było w lekkim półmroku.

Ewą wstrząsnął dreszcz. Opuściła rękawy bluzki, odchrząknęła i zaczęła rozpaczliwie szukać w torebce czystej chusteczki.

– Witam, w czym mogę pomóc? – usłyszała ugrzeczniony głos tuż nad głową i aż drgnęła, zaskoczona, że Yorick Lebreton pojawił się tak cicho i niepostrzeżenie. Pociągnęła nosem i pokonując chrypkę, wymruczała niezbyt wyraźnie:

– Dzień dobry. Eee, aspirynę poproszę. Rozpuszczalną, jeśli można.

Lebreton skinął głową i otworzył jedną z całego mnóstwa szuflad. Położył opakowanie na stole i przyglądał się znad okularów spoconej twarzy Wolny.

– Może powinna pani wziąć jakiś środek przeciw bólowi gardła? – zaproponował. – I proszę wybaczyć, ale chyba przydałoby się coś, co pomogłoby zwalczyć katar.

– Ma pan rację. Dopiero dziś wstałam z łóżka. Nie czuję się jeszcze najlepiej.

Farmaceuta pokiwał głową, jeszcze raz przyjrzał się Ewie znad okularów „połówek” zsuniętych na czubek nosa, po czym nad podziw sprawnie, mimo dość okrągłej postury, zaczął wspinać się na drewniane drabinki, schylać do nisko położonych szuflad raz w jednym, raz w drugim końcu apteki. Zanim Wolny wyczyściła nos, starając się zrobić to dyskretnie i niezauważenie, na stole piętrzył się już stosik medykamentów.

– Proszę łaskawie spojrzeć, co mogę zaproponować. Tutaj ma pani ogólnodostępne leki: krople do nosa, syrop, pastylki do ssania. Tutaj zaś są ziołowe środki wyprodukowane przeze mnie na bazie starych sprawdzonych receptur, od pokoleń funkcjonujących w naszej rodzinie. – Wypielęgnowana dłoń pana Yoricka przesunęła w stronę Ewy trzy nietypowe opakowania z wydrukowanym niewielką czcionką nazwiskiem „Lebreton” i schematycznym rysunkiem nieznanym jej roślin.

Wykład był dość długi, ale wygłoszony z pełnym przekonaniem. Wolny dała się skusić na polecane ziołowe specyfiki głównie za sprawą stylowych opakowań, atmosfery zabytkowego wnętrza i urokowi dziwacznej postaci szalonego alchemika w kolorowym krawacie. Wrzucała fiołki do torby, kiedy dzwoneczek nad drzwiami rozdzwonił się radośnie, anonsując wejście kolejnego klienta. Tęga niewiasta w szyfonowej kwiecistej sukni wtargnęła do wnętrza i głośno użalając się na upał, opadła na jedno z dwóch tapicerowanych krzeseł, ustawionych obok stołu pana Lebretona. Ten uśmiechnął się jeszcze raz do Ewy, życzył jej szybkiego powrotu do formy, następnie zwrócił się do spoconej kobiety, obdarzając ją dużo chłodniejszym profesjonalnym grymasem.

– Pani Chapot! Proszę spocząć. Może szklanek wody?

Pani Chapot za wodę podziękowała, zaczęła natomiast energicznie wachlować się jedną z ulotek reklamujących nowy rewelacyjny środek przeciwko grzybicy, które, ułożone w estetyczny wachlarzyk, leżały w zasięgu jej rąk. Farmaceuta poinformował, że maść przepisana przez lekarza jest już gotowa i udał się po lek na zaplecze. Dopiero wtedy Wolny zauważyła, że w niedomkniętych drzwiach apteki stoi spocony, wściekły i czerwony na twarzy Serge Olovski.

– Co za babsko! Omal mnie nie staranowała – powiedział zamiast „dzień dobry”. Obrzucił niechętnym spojrzeniem panią Chapot, spokojnie czekającą na swoją maść w chłodnym wnętrzu, a następnie zwrócił się do Ewy: – Poczekasz chwilę? Kupię tylko parę rzeczy. Podejźmy kawałek razem.

Widać było, że humor mu nie dopisuje, a i ze zdrowiem coś jest nie tak. Podpuchnięte oczy i zaczerwieniony nos ewidentnie nie były li tylko skutkiem upału. Ewa przyglądała się drobiazgom ustawionym w witrynie, pokasływała dyskretnie, palcem wskazującym kontrolowała stan nosa i czekała, aż Serge załatwi swoje sprawy. Pojawił się po chwili z papierową torebką wypełnioną lekami, równie wściekły jak przed kilkoma minutami. Oczy mu łzawiły i w widoczny sposób utykał.

– Źle się czujesz, Serge? Chyba widywałam cię w lepszej formie?

– Mądrała! Sama masz nos jak krasnoludek ogrodowy.

– Nie wypieram się – stwierdziła godnie i kichnęła w rękaw, bo nie zdążyła znaleźć chusteczki. Szli powoli. Wolny wysłuchiwała pełnej sarkazmu opowieści o nieudanej wyprawie do Paryża oraz o dolegliwościach, które stały się udziałem biednego Olovskiego. Pocieszenie, że sporo ludzi teraz choruje, a bóle kręgosłupa są częstą przypadłością osób w pewnym wieku, nie zostało najlepiej przyjęte. Najwyraźniej ból, słabość i poczucie bezradności źle wpływały na komisarza. Czepiał się wszystkich i wszystkiego. W końcu nawet cierpliwa z natury Wolny miała dość jego burkliwości.

– Wiesz co, Serge, idź ty do domu, łyknij te cudowne środki, które ci sprzedał nasz drogi pan Lebreton, zrób sobie herbatę z cytryną czy co tam chcesz, i spróbuj się zdrzemnąć. Też się zaraz położę, a po południu coś ugotuję i przyniosę ci, bo pewnie nie masz nic do jedzenia. Ja już dochodzę do siebie, ale jeszcze wczoraj żywiłam się herbatą i aspiryną, bo na nic innego nie miałam siły, więc wiem, jak to jest.

– Nie musisz, poradzę sobie – burknął Olovski, zasmarowaną chusteczką ocierając łzawiące oczy.

– Wiem, że nie musisz. Ale po zjedzeniu czegoś gorącego, na pewno poczujesz się lepiej.

Z drzemki nic nie wyszło, bo po wejściu z nagrzaną ulicy do chłodnego domu najpierw dostała napadu kichania, a potem z kubkiem herbaty i gęsią skórka na ramionach usiadła w słońcu, na tarasie, żeby się trochę ogrzać i obejrzeć

wszystkie te ziołowe specyfiki, które przyniosła od pana Lebretona. Przeczytała uważnie krótkie, niewiele mówiące opisy umieszczone na opakowaniach, wcisnęła do nosa obrzydliwie wyglądającą, ale przyjemnie pachnącą maść, która rzeczywiście po kilku chwilach zmniejszyła dyskomfort związany z katarą, połknęła dwie małe żółte pigułki i rozpuściła w szklance wody różową, pachnącą malinami zawiesinę. Westchnęła głęboko i uznała, że czas zabierać się za przygotowanie obiadu. Nie miała wątpliwości, co powinna ugotować. Oczywiście rosół. Powszechnie wiadomo, że rosół jest remedium na wszelkie choroby i dolegliwości. A przygotowanie go nie wymaga ani specjalnych umiejętności, ani czasu. Na szczęście w zamrażarce miała kawałek kurczaka, a w lodówce znalazła większość potrzebnych warzyw. Wprawdzie marchewka nieco przywiędła, a po odkrojeniu podejrzenie pociemniałych części z korzenia selera został jedynie mizerny kawałek, uznała, że to, co ma, zupełnie wystarczy. Zdrzemnęła się chwilę, skulona w fotelu, dopiero gdy zupa bulgotała cichutko, roztaczając wokół przyjemny domowy zapach.

U Olovskiego zjawiła się tuż przed siódmą. Upał nieco zelżał, lecz droga, którą musiała pokonać, w dodatku z ciężką torbą wypełnioną pojemnikami z gorącym jeszcze rosółem, okazała się bardzo męcząca. Zanim dotarła do domu Serge'a położonego tuż obok ruin zamku, w najstarszej części miasteczka, była nieźle spocona. Oddychała ciężko i musiała porządnie wyczyścić nos, zanim schyliła się po klucz wsunięty pod doniczkę z uschniętym geranium. Starła się nie hałasować, jednak dźwięk otwieranych szafek, stukanie garnków i podzwanianie sztućców obudziło Olovskiego. Pojawił się w drzwiach gabinetu i pewnie chciał się przywitać, lecz suchy szarpący kaszel nie pozwolił mu mówić. Jedną ręką zasłaniał usta i nos, drugą przyciskał do czoła. Wyglądał żałośnie. Wolny pokiwała głową i pomyślała, że chyba jednak łżej przeszła swoje przeziębienie. Zrezygnowała z nakrywania do stołu. Mimo protestów zagoniła Serge'a z powrotem do gabinetu, gdzie na stojącym na wprost okna szelongu wymościł sobie posłanie. Przyniosła z kanapy kilka poduch, żeby mógł wygodniej się oprzeć, oraz dodatkowy koc. Rosół podała mu w dużym kubku, a talerzyk z pokrojoną bagietką postawiła na stercie książek ułożonych w zgrabny stosik, na podłodze, tuż obok leżanki. Sama przysunęła sobie fotel i przysiadła ze swoją filiżanką zupy. Przyglądała się Olovskiemu ze współczuciem.

– Boli cię głowa?

– Tylko gdy kaszlę.

– A gardło?

– Tylko gdy mówię.

– Ale katar masz chyba mniejszy?

– Napchałem sobie do nosa takiego zielonego paskudztwa. Kiedy się obudziłem, zużyłem całą rolkę papieru toaletowego, ale teraz chyba rzeczywiście jest trochę lepiej.

– Mnie Lebreton też to dał. Pachnie majerankiem i na pewno lepiej działa niż te wszystkie krople do nosa, które tylko wysuszają śluzówkę.

– Oho, nawrócił cię szarlatan na ziołolecznictwo, homeopatię i inne czary-mary?

Ewa wzruszyła ramionami i poszła po drugą porcję zupy. Wróciła z parującymi filiżankami i torebką z firmowym napisem „Pharmacie Lebreton”.

– Wypij jeszcze trochę zupy i łyknij te leki. Sam mówiłeś, że maść pomogła na katar, więc może i reszta nie zaszkodzi, co? A tak swoją drogą dlaczego tak nie lubisz naszego pana aptekarza? Czym ci się naraził?

Serge wzruszył ramionami.

– Nie ma między nami chemii.

W odpowiedzi Wolny potrząsnęła torebką z medykamentami. Krzywy uśmiezek komisarza świadczył, że chyba rzeczywiście czuje się trochę lepiej.

– Wkurzył mnie. Jakiś taki śliski jest. I zarozumiały nieprzeciętnie. – Posłusznie połknął naszykowane przez Ewę pigułki, popił je resztką rosółu i podciągnął koc pod samą brodę. – Nie lubię, jak ktoś traktuje ludzi z góry. A poza tym chory jestem. Mam prawo być rozdrażniony. – Ziewnął potężnie, powieki zaczęły mu ciążyć i widać było, że za chwilę zaśnie.

– Wpadnę jutro i odgrzeję ci rosół. Wsadziłam też do lodówki trochę gotowanego mięsa z kurczaka, gdybyś zgłodniał... – Od drzwi krzyknęła jeszcze, żeby miał przy sobie telefon, ale sądząc po wyrównanym, choć chrapliwym oddechu, chyba już tego nie słyszał.

Dom przywitał ją zwykłym chłodem i nieco większym niż zwykle bałaganem. Pozamykała okna, zrobiła sobie herbatę do dzbanka-termosu, połknęła wieczorną porcję leków i z rozkoszą wsunęła się pod kołdrę. Czowała się na tyle dobrze, że nawet chwilę poczytała, zanim zaczęły jej się kleić oczy. Miała wieczorem zadzwonić do Justyny, wypomnieć jej brak zainteresowania i długie milczenie, ale biedny schorowany Olovski zajął jej czas i myśli, i jakoś zupełnie wyleciało jej to z głowy. Jutro. Może jutro zadzwoni.

.....

2 Cytat pochodzi z wiersza „Pytają mnie się ludzie” Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

## ROZDZIAŁ III

Przez kolejne dni Ewa Wolny pełniła rolę samozwańczej opiekunki komisarza Olovskiego. Ona sama czuła się już zupełnie dobrze. Czasami, tuż po przebudzeniu, o przebytej chorobie przypominał nieprzyjemny suchy kaszel. Ssała wtedy mlecznobiałe cukierki polecane przez pana Lebretona, i kaszel mijał. Serge zachowywał się natomiast jak rozpieszczony bachor. Znała jego upór i dziwactwa, dlatego podejrzewała, że leki łyka tylko wtedy, kiedy ona mu je podaje.

Poznali się rok wcześniej, rozwiązując wspólnie zagadkę śmierci młodego Duwała, pomocnika notariusza, a całkiem niedawno Serge prosił ją o dyskretną pomoc przy zbieraniu informacji na temat jego sąsiadki, pani Hibou. Starsza pani zmarła niedawno i chyba tylko oni dwoje w całym miasteczku znali jej tajemnice. Ewa lubiła Serge'a. Lubiła jego sarkastyczny dowcip i nie przeszkadzał jej gburowaty sposób bycia emerytowanego gliniarza. Odwiedzała go codziennie i przyrządzała coś ciepłego do jedzenia. Najczęściej były to proste zupy z dużą ilością warzyw albo odrobina gotowanego kurczaka. W środe zagoniła swojego podopiecznego pod prysznic i zagroziła, że jeśli nie pójdzie do lekarza, to ona osobiście zamówi wizytę domową.

– Zwariowałaś? Jeszcze nie umieram! – wykrzyknął, oburzony, i pozwolił zaprowadzić się do łazienki. Po kąpieli wyglądał trochę lepiej, ale ubranie na nim wisiało, oczy miał podkrążone i oddychał ciężko.

– Serge, daj się namówić. Ten kaszel mi się nie podoba. Zadzwoń i umów się z doktorem, niechże cię osłucha. Chyba nie chcesz złapać zapalenia płuc czy czegoś w tym rodzaju.

Zamierzał zaprotestować, ale kolejny atak kaszlu pozbawił go na dłuższą chwilę możliwości wydobywania z siebie głosu. Ewa wcisnęła mu komórkę w rękę.

– Dzwoni natychmiast. Dostyc tych kaprysów!

O dziwo, wziął telefon. Przez minutę grzebał w stosie gazet i książek leżących w nieładzie na stoliku obok kanapy. Wreszcie sapnął z satysfakcją i oddalając od siebie znalezione kartonik wizytówki na długość wyciągniętej ręki, zaczął wybierać numer.

– Pójdiesz ze mną? – upewnił się, czekając na połączenie.

– Pójdę, pójdę. – Westchnęła i pomyślała, że nie jest z nim najlepiej, skoro życzy sobie towarzystwa podczas wizyty u lekarza. Kończyła właśnie wkładać naczynia do zmywarki, gdy Serge zawołał:

– Wiesz, gdzie jest dom doktora Marlota?

– To ten duży z niebieskimi okiennicami, przy Rue du Parc?

– Tak. W sąsiedztwie mieszkała chyba jedna z twoich ulubionych pracodawczyń. Ta, która ciągle wysyłała cię na pocztę z paczkami i zawsze dawała za mało pieniędzy na opłacenie przesyłki. Pamiętasz?

– Ach, pani Poulain! – Ewa uśmiechnęła się na wspomnienie wiecznie skwaszonej i podejrzliwej staruszki. – Podobno była całkiem niezłą krawcową, zanim reumatyzm i słaby wzrok uniemożliwiły jej szycie. A te paczki wysyłała do swojej siostrzenicy, aż w końcu dopięła swego.

– To znaczy? – Olovski słuchał jednym uchem. Pakował do torby wszystkie specyfiki kupione u Lebretona.

– No, ściągnęła tę siostrzenicę do siebie. Teraz mieszkają razem, pracownia krawiecka pani Poulain znowu działa. I to podobno niezłe. Miejscowe elegantki zamawiają u nich kreacje na śluby i inne takie.

– To ta siostrzenica też jest krawcową?

– I siostrzenica, i jej syn. Sami krawcy w tej rodzinie.

– No to świetnie. I żyli długo i szczęśliwie. To co, idziemy?

Spacer w dół do centrum miasteczka, potem alejką niewielkiego skweru z placem zabaw dla dzieci i znów brukowaną uliczką dochodzącą do placu przy kościele, a stamtąd ruchliwą Rue de Paris aż do skrzyżowania z Rue du



Parc zajął im dobrze ponad pół godziny, chociaż zwykle tę odległość można było pokonać w piętnaście minut. Olovski sapał i mruczał pod nosem. Co chwila zatrzymywał się z powodu kaszlu albo żeby otrzeć spocone czoło.

W poczekalni nie było nikogo. Przez otwarte drzwi do pokoju przyjęć widać było młodego mężczyznę pochylonego nad klawiaturą komputera. Zauważył ich od razu i wstał na powitanie. Gestem zaprosił Serge'a do środka. Z gabinetu dochodził szmer przytłumionej rozmowy, wielki stojący zegar cykał monotonicznie i usypiająco. Wolny podskoczyła, a kolorowe czasopismo zsunęło jej się z kolan, kiedy drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich wysoki chudy mężczyzna z przepaszającym uśmiechem na podłużnej twarzy.

– Najmocniej panią przepraszam. Komisarz Olovski nie uprzedził, że czeka pani tu na niego. Proszę wejść i usiąść z nami. Zbadałem pani przyjaciela, a ponieważ nie mam już na dziś umówionych pacjentów, siedzimy sobie i rozmawiamy. Zapraszam serdecznie.

Jak zwykle w takich przypadkach, Wolny nie brała udziału w rozmowie. Wolała przysłuchiwać się i obserwować. Bardzo niepewnie czuła się w nieznanym towarzystwie ze swoim słaubiutkim francuskim i musiało minąć trochę czasu, zanim odważyła się odezwać. Zwłaszcza jeżeli nowo poznani ludzie peszyli ją lub nie wzbudzali sympatii. O doktorze Ionucie Silviu nie można było tego powiedzieć. Jego poskręcane w świderki, przydługie czarne włosy drżały śmiesznie przy każdym ruchu głowy. Co chwila poprawiał podwinięte rękawy błękitnej koszuli albo przesuwiał leżące na biurku przedmioty. Uśmiechał się do niej i do Olovskiego, a minę miał nieco zawstydzoną, jak mały chłopczyk, któremu każą głośno powiedzieć wierszyk. Komisarz, rozparty na krześle, z nogami wyciągniętymi na całą długość, ręce oparł na brzuchu i kręcił młynka palcami. Gdyby nie fakt, że Silviu siedział za biurkiem, można by pomyśleć, że to Serge jest u siebie, a Ionut usiłuje załatwić jakąś skomplikowaną urzędową sprawę. Rozmawiali o pacjencie, który niedawno zmarł. Doktor porozkładał na biurku zapiski dotyczące leczenia i sprawdzał coś w komputerze. Serge minę miał sceptyczną, ale Ewa znała go dobrze – te zmrużone oczy i gest pocierania podbródka, jakby sprawdzał, czy dokładnie się ogolił.

Olovski chyba coś zwęszył. Zaczęła przysłuchiwać się uważniej, starając się zrozumieć jak najwięcej. Potem, kiedy już wyjdą z gabinetu i będą mogli przejść na polski, dopyta go o szczegóły.

– Tak więc widzi pan, komisarzu, że mam powody do zaniepokojenia. Poszperałem trochę w dokumentacji, sprawdziłem dokładnie historię chorób tych pacjentów i powtarzam panu raz jeszcze, że to mi się nie podoba. Uważam, że warto się temu bliżej przyjrzeć – doktor zakończył wypowiedź energicznym uderzeniem w blat biurka. Skrzywił się i zaczął rozcierać bolącą dłoń. Patrzył na Serge'a wyczekująco.

Komisarz wznosił w górę obie ręce w geście błogosławiącego patriarchy, po czym stwierdził:

– W porządku, doktorze. Rozumiem pana niepokój, chociaż nadal uważam, że skoro pana pacjenci to w większości ludzie wiekowi, chorzy mniej lub bardziej poważnie, leczący rozmaite przypadłości, to fakt, że umarli wcześniej, niż pan zakładał, nie wydaje mi się czymś szczególnym. Może to po prostu nieszczęśliwy zbieg okoliczności? Ale żeby pana uspokoić, i tak będę teraz przez kilka dni wylegiwał się na mojej kanapie. Sam mi pan to zalecił. Będę łykał te wszystkie magiczne mikstury, które mi pan przepisał, jak i specyfiki od Lebretona, skoro pan je obejrzał i gwarantuje, że mi nie zaszkodzą, i będę się nudził.

Silviu każde zdanie Olovskiego kwitował potaknięciem głowy i co jakiś czas nerwowo i zupełnie bez potrzeby naciskał klawisz spacji na klawiaturze.

– Niech mi więc pan zrobi zestawienie na tym swoim komputerze. Jak pan tam chce: w postaci tabeli, w punktach, albo po prostu opisując kolejno wszystkie przypadki, które pana niepokoją. Ja się temu przyjrzę, pomyślę, może poproszę panią Wolny, żeby też popatrzyła...

– I co? – rzucił niecierpliwie lekarz.

– Ba! Nie wiem co. Może znajdziemy coś, co tych ludzi łączyło, coś podejrzanego. Ale sam pan mówił, że nie przeprowadzono autopsji, bo wszystkie zgony uznano za naturalne. Ja się na medycynie nie znam, ale skoro lekarze nie dopatrzyli się niczego dziwnego, to raczej potraktowałbym to jako taką, powiedzmy, intelektualną zagadkę.

– Dobrze, niech i tak będzie. Jeśli państwo przyjrzy się temu zupełnie obiektywnie i nic nie znajdziecie, to ja się w końcu uspokoję. A takie zestawienie to właściwie mam już gotowe. – Silviu włożył do drukarki sporą ryzę

papieru i klikając myszką, kontynuował z wyczuwalnym w głosie lekkim zawstydzeniem: – Bo wiecie państwo, może ja błędnie diagnozuję albo stosuję niewłaściwe leki. Tego boję się najbardziej. Nikt mi jeszcze nie zarzucił błędu w sztuce, ale jeśli... – głos mu się załamał, schylił się do drukarki, która monotonicznie wypływała z siebie kolejne zadrukowane strony, i zupełnie niepotrzebnie poprawił ułożenie papieru. – Chciałbym wiedzieć. Nieważne, co się okaże. Rozumiecie państwo? – Odchrząknął i włożył wydruk do tekturowej teczki. – Proszę. Staralem się zrobić to w miarę szczegółowo. Jest nawet rubryka „sytuacja rodzinna”, bo niektórzy pacjenci lubili o sobie opowiadać.

Serge wstał i wepchnął papiery do swojej płóciennej torby. Pożegnali się i wyszli na ciągle jeszcze rozgrzaną ulicę, zostawiając lekarza w pustym gabinecie. Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi, Wolny przystąpiła do ataku:

– No to teraz wyjaśnij mi po ludzku, o co tu chodzi.

– Właściwie nie ma wiele do wyjaśniania. Wszystko przecież słyszałaś. Nasz nowy doktorek ma obsesję. Uważa, że jego pacjenci umierają, a nie powinni. Sympatyczna cecha u lekarza, nie sądzisz?

– Ale że co? Ktoś ich morduje, dusi, spadają ze schodów, wpadają pod samochody... Coś takiego?

– No więc nie. Oni zupełnie zwyczajnie umierają na serce, na niewydolność nerek, wylewy i inne takie. To są starzy ludzie. Silviu razem z gabinetem przejął pacjentów doktora Marlota, nowych ma pewnie niewielu.

– No to dlaczego powiedziałeś mi, że się tym zajmiesz, skoro nie masz żadnych podejrzeń?

Serge zatrzymał się przed przejściem dla pieszych, wytarł nos i najwyraźniej nie miał zamiaru ruszać dalej, dopóki nie skończy kwestii. Zrozumiała, że nie musi go odprowadzać, tylko rozstaną się tutaj i każdy pójdzie w swoją stronę.

– Bo widzisz, ja się naprawdę nudzę. – Parsknął śmiechem, co spowodowało, że wycieranie nosa wymagało poprawek, ale, niespeszony, ciągnął: – Serio. Gorączki już nie mam. Śpię po tych lekach jak dziecko, tylko katar mnie męczy, no i ten kaszel. Ale nasz drogi Ionut stwierdził, że moje płuca dają jeszcze radę. A poza tym... Słuchaj, czy ty dostajesz taką darmową gazetkę z ogłoszeniami i wiadomościami lokalnymi?

– Tak, co dwa tygodnie wrzucają ją do skrzynki.

– No właśnie. I jakoś ostatnio, pewnie po pierwszej rozmowie z doktorem i po pogrzebie twojej znajomej Gisèle Ambroise, zwróciłem uwagę na dział z nekrologami...

Przerwa spowodowana atakiem kaszlu pozwoliła Ewie odpowiednio wyrazić zainteresowanie.

– No i?

– No i strasznie dużo nekrologów w La Ferté w ostatnim czasie. Miałem czas, więc przejrzałem stare numery tych gazetek. Ścierwa się nie da spalić w kominku, bo wydają to na jakimś plastikowym papierze, więc cały stos leży mi w kotłowni i czeka na wywózkę. Porównałem z kilkoma poprzednimi miesiącami i powiedziałbym, że rzeczywiście jest w tym coś zastanawiającego. Nie wiem jeszcze, o co chodzi, ale mam zamiar przyjrzeć się temu bliżej.

– No to widzę, że mogę być spokojna o twoje zdrowie. Najwyraźniej dochodzisz do siebie – roześmiała się Ewa i poklepała go po ramieniu. – Ale jednak przyniosę ci jutro coś do jedzenia. Wątpię, żebyś miał siłę sam sobie coś ugotować.

\*\*\*

Może powinnam mieć psa? Albo przynajmniej kota? – zastanawiała się Wolny, mieszając w rondlu duszące się z warzywami kawałki kurczaka. Takie myśli przychodziły jej już wcześniej do głowy i nie brały się bynajmniej z miłości do zwierząt. Po prostu, nie pierwszy raz zauważyła uzdrawiające działanie opiekowania się kimś. Po jej przeziębieniu nie został ślad, a co ważniejsze, odkąd zajmowała się niedomagającym Olovskim, przestała wyczekiwać na telefony od dzieci i przyjaciółek. Wymieniła, owszem, kilka niezobowiązujących SMS-ów z córką, ale obydwie unikały tematu odwiedzin. Ewa, bo nie chciała się narzucać, Zośka, bo najwyraźniej nie miała czasu ani ochoty. Prosto z wakacji w Portugalii, które spędziła ze swoim chłopakiem, wróciła na uczelnia i od razu wpadła w wir zajęć. Piotr również się nie nudził. A przynajmniej tak wynikało ze skąpych informacji, które od niego

przychodziły. Znajomi w Polsce mieli rodziny, pracę i własne problemy. Tylko ona przez całe lato nie mogła znaleźć żadnej roboty. Nikt jakoś nie potrzebował pomocy przy sprzątanii, zakupach czy innych pracach domowych. Tak więc od połowy czerwca nie zarobiła nawet paru euro, za to cierpiała na nadmiar wolnego czasu. Pewnie dlatego zaczęła rozmyślać o życiu, ucieczkach, samotności i innych takich. Nie od rzeczy była zapewne podwyższona temperatura, ból gardła i zapchany nos. Zadziwiające, że przy biegunce i wszelkich niesympatycznych dolegliwościach żołądkowych człowiek mniej jest skłonny do filozofowania na temat sensu życia – przeszło jej przez głowę, kiedy dosypywała do potrawki odrobinę oregano.

U Olovskiego zjawiała się wczesnym popołudniem. Zjedli razem, a Serge czuł się na tyle dobrze, że wyjął z lodówki butelkę otwartego kilka dni temu białego wina. Po obiedzie przenieśli się do gabinetu, gdzie wokół leżanki walały się wydruki doktora Silviu, stare numery lokalnego informatora oraz luźne kartki z odręcznymi notatkami. Komisarz nie próżnował.

– I coś ci z tego wychodzi? – zapytała Ewa znad filiżanki herbaty malinowej.

– Jak na razie tylko to, że powinienem mieć mocniejsze okulary.

Serge podniósł plik kartek i przekładał je bezmyślnie. Ze stosu wysunęły się dwa nieco mniejsze arkusiki i upadły na podłogę. Wolny spojrzała na nie ze swojego fotela.

– To są przecież twoje recepty! Nie wykupiłeś ich wczoraj?

– A, nie. Zapomniałem. Jak ci tak bardzo zależy, to odprowadzę cię do skrzyżowania i przy okazji zajdę do Lebretona.

– Jak mnie zależy? Niepoważny jesteś! To chyba tobie powinno zależeć. Dopijaj tę herbatę i zbieraj się.

– To sjesty nie będzie? – zapytał Olovski z miną niewiniątka, ale posłusznie wstał ze swojego szezlonga i sięgnął po sweter.

Yorick Lebreton na dziś wybrał krawat szafirowy w złote i purpurowe wzory. Musiał nad czymś pracować w swoim laboratorium na zapleczu, bo szyba w drzwiach dzielących te dwa pomieszczenia była zaparowana, a on dość długo nie pojawiał się, mimo że dzwonek, gdy wchodzili, zadzwieczał jak zwykle. Ewa na powitanie uśmiechnęła się promiennie. Aptekarz wzbudzał w niej szczerą sympatię. A jego krawaty wręcz zachwycały. Odwzajemnił uśmiech i skinął głową.

– Czym mogę służyć?

Olovski bez słowa położył na stole recepty. Lebreton przez chwilę studiował je w milczeniu, po czym, również bez słowa, zaczął swój taniec między szufladami, półkami i szafkami. Kiedy wszystko było już zgromadzone na dębowym blacie, farmaceuta wyjął z górnej kieszonki kitla pióro (jak słusznie podejrzewała Ewa, był to Mont Blanc, edycja ze złożoną skuwką) i zwrócił się do Serge'a:

– Pozwoli pan, że wyjaśnię i zapiszę, w jaki sposób stosować te leki. Nie wątpię, że lekarz poinformował pana, ale z doświadczenia wiem, że takie rzeczy wylatują z głowy. Tak więc...

Ewa starała się uśmiechać za dwoje, bo widziała, że Olovski mruży oczy i robi minę, jakby chciał powstrzymać kichanie. Nie wróżyło to niczego dobrego.

Farmaceuta z pewnością również zauważył te mimiczne popisy, ale niewzruszenie objaśniał sposób zażywania pigułek i syropów:

– A to jest maść, którą...

– Niech zgadnę – nie wytrzymał Serge – pewnie mam ją wcinać po łyżce trzy razy dziennie przed jedzeniem i zagryzać tymi żółtymi pigułkami?

– Proszę jej używać przed snem. Ma działanie przeciwbólowe i przeciwzapalne. Przy okazji lekko rozgrzewa, co daje przyjemne uczucie zmniejszenia napięcia mięśni i odprężenia.

Płaskie pudełeczko z maścią wylądowało w przepastnej torbie komisarza. Położył na stole dwa banknoty dwudziestoeuroowe, jednak Lebreton nadal uważnie przyglądał się recepcie.

– Pan jest w okresie rekonwalescencji po niedawno przebytej infekcji, nieprawdaż? Proszę mi w takim razie oddać opakowanie tych właśnie małych żółtych pigułek, jak je pan nazwał. Mam świeżo przygotowane nieco

silniejsze. Zwiększona dawka substancji czynnych znacząco przyspieszy zdrowienie.

Nieco zbity z pantaląku, ale cały czas naburmuszony, Olovski podał farmaceucie kształtny tekturowy sześcian ze stylizowanym rysunkiem kwiatków.

– To to?

– Tak. To fenomenalny lek na bazie ziół. Stara receptura, którą opracował mój dziad George Lebreton. Oczywiście mój ojciec, a potem ja, wprowadziliśmy pewne drobne modyfikacje, dostosowując lek do zróżnicowanych potrzeb naszych pacjentów. Ale w zasadzie to cały czas ten sam znakomity ziołowy środek Lebretonów. Składniki i proporcje są dobrane tak, że działa wyjątkowo skutecznie. Sam pan zresztą już go stosował, a i pani chyba dała się namówić?

Wolny skwapliwie pokiwała głową i rozplywając się w uśmiechach, zapewniła, że żółte tabletki błyskawicznie postawiły ją na nogi. Żeby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie wywarł Serge, poprosiła o jedno opakowanie dla siebie.

Yorick uśmiechnął się.

– W takim razie proszę wziąć to. Pani może przyjmować tylko dwie tabletki każdego ranka. To zupełnie wystarczy, żeby utrzymać się w formie. A panu – tu odwrócił się w stronę Olovskiego i uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy – proponuję silniejszą dawkę. – Pudełeczko, które wyjął z jednej z szafek, miało taki sam rysunek, identyczny odręczny napis „Pharmacie Lebreton”, i tylko w rogu na jednej ze ścianek widniały maleńkie cyferki „02”.

Wyszli w końcu na zewnątrz i zaraz za progiem Ewa naskoczyła na Serge’a:

– Coś ty taki wredny dla niego?! Nawet „do widzenia” czy „dziękuję” nie przeszło ci przez gardło. Podpadł ci czymś?

– Zarozumiały dziwak.

– Olovski! – wrzasnęła tak, że mężczyzna spacerujący z psem spojrzął na nich uważnie, a wystraszony jamnik szczeknął kilka razy, ostrzegając ewentualnych agresorów przed atakiem.

– Oj, no nie lubię go.

– Sam jesteś dziwakiem, i wybacz szczerą, ale nie u wszystkich wzbudzasz sympatię.

Wzruszył ramionami. Wcale nie wyglądał na przejętego reprimendą. Mruknął coś pod nosem, poprawił pasek torby na ramieniu i zmieniając temat, zaczął opowiadać o liście pacjentów doktora Silviu.

– Całkiem sensownie zrobił to zestawienie, ale nie mogę się tam dopatrzyć żadnych prawidłowości czy raczej nieprawidłowości. Jeśli masz ochotę się temu przyjrzeć, to wpadnij jutro wczesnym popołudniem. I nie musisz mnie już dokarmiać. Czuję się na tyle dobrze, że sam sobie coś przygotuję, a nawet kawę ci zrobię.

– To się świetnie składa, bo już nie mam pomysłu, co gotować. Najwyżej przyniosę jakieś ciasto do kawy.

Rozstali się na rogu. Serge rozpoczął powolną wędrówkę w górę zamkowego wzgórza, a Ewa przebiegła przez ulicę, żeby wpaść jeszcze do piekarni, którą łąda chwila mieli zamknąć. Kupiła chleb, dwa croissanty z rodzynkami na śniadanie, i wróciła do siebie.

## ROZDZIAŁ IV

Lato w tym roku nie poddawało się tak łatwo. Mimo połowy września ciągle panowały upały. Nawet noce były wyjątkowo ciepłe i Ewa złapała się na tym, że z utęsknieniem wypatruje oznak jesieni. Stała w otwartym oknie sypialni, spoglądała w bezchmurne niebo i zapowiedź kolejnego pogodnego dnia wcale jej nie cieszyła. Miała dość lata z tymi nigdy niespełniającymi się obietnicami, zbyt szybko wędnącą urodą i hałaśliwym fałszywym optymizmem. Brakowało jej deszczu, kotłujących się chmur i dającego oczom odpoczynek łagodnego jesiennego słońca. Tylko trochę współczuła zaspanym dzieciakom niechętnie ciągnącym szkolne walizeczki na kółkach albo przygarbionym pod ciężarem kolorowych plecaków, i już tęskniącym za wakacjami. Te dzieci o określonych porach pokonujące drogę do szkoły i z powrotem, szkolne autobusy, które znów pojawiły się na ulicach, i większy niż przez ostatnie dwa miesiące ruch w godzinach dojazdu do pracy i potem w godzinach powrotów – to były, jak na razie, jedyne oznaki jesieni. No i może jeszcze ptasie sejmiki w nadrzecznych zaroślach, pierwsze pożółkłe liście na starej czereśni w rogu ogrodu i coraz wcześniej zapadający zmrok.

Zamknęła okno i zeszła na dół. W piżamie i szlafroku wypila pierwszą kawę, zagryzając croissantem. Otworzyła drzwi na taras i wystawiła twarz na słońce. Na zewnątrz było dużo cieplej niż w domu. Kamienne mury nie nagrzewały się zbyt szybko. Spoglądała na defilujące po trawniku sroki i szykowała sobie porcję leków do połknięcia. Tabletkę magnezu, następnie okrągłą, powleczoną czerwoną polewą multiwitamina oraz maleńka kuleczka jakiegoś cudownego specyfiku, który miał poprawić stan jej włosów, paznokci i skóry. To ostatnie przysłała Justyna, twierdząc w liście, że „środek jest rewelacyjnie skuteczny”. Paznokcie przestały jej się rozdawać, pryszcze zniknęły, a włosy wiją się w bujnych puklach i w ogóle nie siwieją. Justyna zawsze miała skłonność do przesady i do poszukiwania cudownych środków (zwłaszcza tych poprawiających urodę), ale po przeczytaniu ulotki Ewa postanowiła wypróbować ten cud. Producent zapewniał, że to mieszanka ziołowa, więc nie powinno zaszkodzić. Jako ostatnią połknęła żółtą tabletkę od Lebretona. Znów uważnie oglądała eleganckie tekturowe opakowanie. Słoneczny kwiatek coś jej przypominał, więc ciągnąc za sobą pasek szlafroka, poszła w stronę komputera. Wpisywała na chybił trafił kolejne nazwy i oglądała zdjęcia. Oczywiście. To był zwykły nagietek. W krótkim artykule na Wikipedii znalazła nawet bardzo podobną rycinę. Zadowolona z siebie, jeszcze raz obejrzała opakowanie, tym razem w okularach. To, co wzięła poprzednio za kropkowane tło, okazało się baldachem kwiatu czarnego bzu. Niestety rysunki były jedyną sugestią co do składu tabletek. Ani na pudełeczku, ani wewnątrz nie znalazła informacji, co właściwie zawiera duma rodziny Lebretonów. Pozostawało zaufać farmaceucie, no i wiedzy doktora Silviu, który nie zabronił Olovskiemu tego łykać, a nawet zasugerował kupno kolejnego opakowania.

Zasiedziała się przy komputerze. Weszła na facebookowe konto Zośki, potem Piotrka, żeby sprawdzić, czy nie zamieścili czegoś nowego, napisała krótkiego maila do Justyny i kilku innych koleżanek z Krakowa. Wszystkie listy miały zasmucająco podobną treść, bo tak właściwie chciała się tylko przypomnieć, licząc, że ktoś odpisze. Nie miała nic szczególnego do opowiedzenia, a to dodatkowo psuło jej humor. O czym tu pisać, skoro nie może się podzielić nawet nieco wysilonymi anegdotami o starszych paniach, u których sprzątała, ani ponarzekać na dzieci. Od czerwca nie miała pracy, a dzieci nie dawały powodów do narzekań, bo po prostu się nie pojawiały, nie dzwoniły, i nawet jeśli miały jakieś problemy, ona nic o tym nie wiedziała.

Wizyta u Olovskiego pozwoli przynajmniej wyjść z domu i zająć czymś myśli. Nawet do głowy jej nie przyszło, by piec obiecane ciasto. Chwilowo miała dość kulinarnej aktywności. Odczekała do czternastej trzydzieści, kiedy w piekarni kończyła się przerwa obiadowa, i dopiero wtedy ruszyła, żeby kupić po drodze jakieś ciastka. Serge nawet nie spojrzął na pakunek z piekarni. Obiecany dzbanek kawy rzeczywiście stał na podgrzewaczu, ale sądząc po smaku i temperaturze, zaparzył ją rano. Nie protestowała. Nalała sobie odrobinę do podstawionego kubka, a małe tarteletki

z gruszką położyła po prostu na stole, nie szukając talerzyków. I tak nie było za dużo miejsca, bo wszędzie piętrzyły się papiery. Stary komisarz, robiąc choćby tylko listę zakupów, potrafił urządzić prawdziwy papierowy kataklizm.

– Serge, może powinienes ustawić tu taką wielką tablicę. Widziałam na filmach. Mógłbyś przyklejać zdjęcia ofiar i podejrzanych, a potem rysować między nimi kolorowe strzałki. Ogromnie mi się to podoba, jak oni dzięki tej grafice rozwiązują najbardziej nieprawdopodobne i skomplikowane zagadki kryminalne.

– Strzałki, powiadasz? – Strzepnął okruchy ciastka ze stołu, zrzucając przy okazji kilka luźnych kartek.

– Ano strzałki. A kolorowe pisaki dostaniesz ode mnie. Po dzieciach mi jakieś zostały. Chyba jeszcze nie wyschły. – Wolny podniosła papiery, wiedząc, że po ostatnim ataku rwy kulszowej schyłanie się ciągle sprawia Olovskiemu trudność. – A swoją drogą zrobiłeś tu taki bałagan, że może raczej wypijemy tę kawę na tarasie? Jak myślisz? Jest bardzo ciepło.

– Pod warunkiem że weźmiesz tacę z tym wszystkim. Ja wybiorę kilka najważniejszych kartek, które chcę ci pokazać.

Przenieśli się na zewnątrz, gdzie Olovski natychmiast zdjął gruby rozpinany sweter, z którym nie rozstawał się od kilku dni. Dłonią zmiótł z ogrodowego stołu liście czy też źdźbła i rozłożył się z papierami. Ewa, oprócz kawy i ciastek, położyła na tacy paczkę chusteczek i lekarstwa, bo jak słusznie podejrzewała, Serge nie łyknął jeszcze nawet swojej rannej porcji. Lubiła ten ogród. Był bardzo zaniedbany, co tylko dodawało mu uroku. Trawa gdzieniegdzie zbrązowiła po kilkumiesięcznym okresie upałów i wyjątkowej w tym roku suszy, ale stare drzewa dawały cień, a kępy krzewów urozmaicały ogrodowy krajobraz. Tu i ówdzie widać było nawet kolorowe kępy kwiatów, mimo że Serge z pewnością nie podlewał ich regularnie. Lubiła też duży, wyłożony wapiennymi płytami taras i stare żeliwne meble ogrodowe, które stały tam cały rok, więc już dawno zniknął z nich najmniejszy nawet ślad farby. Na dodatek widok stąd był przepiękny. Lekka pochyłość terenu sprawiała, że drzewa nie zasłaniały widoku na panoramę miasteczka i odległe wzgórze, a kamienny mur izolował od posesji sąsiadów, która zresztą od kilku miesięcy była niezamieszkała. Geneviève Hibou, sąsiadka Olovskiego, zmarła niedawno, nie pozostawiając bliskiej rodziny. Dom wystawiono na sprzedaż, ale jak dotąd nie pojawił się nikt chętny do kupienia okazałej rezydencji. Komisarz dokarmił więc osieroconego kota pani Hibou i cieszył się spokojem. W chwilach gorszego nastroju roztaczał pesymistyczne wizje, prorokując, że zamieszka tu rodzina z gromadką wrzeszczących nieustannie dzieci, szczekającymi po nocach psami i trzema samochodami, które będą blokować dojazd do jego bramy. Póki co za murem panował całkowity spokój, nie licząc sporadycznych wizyt agentów biur nieruchomości z kolejnymi potencjalnymi klientami.

Siedzieli, wsłuchani w ciszę, pograżeni każde w swoich myślach. Kot pani Hibou pojawił się nie wiadomo skąd i licząc widocznie na ponadprogramową porcję mortadeli, otarł się kilka razy o nogę Serge'a. Mortadelę uznał komisarz za podstawę żywienia kotów i kupował ją specjalnie w tym celu, czasami tylko urozmaicając kocie posiłki drobno pokrojonym ementalerem. Ponieważ człowiek nie zareagował, kot powtórzył proces ocierania się (wzbogacając komunikat o ochryple mruczenie), choć tym razem jako obiekt wybrał nogę ogrodowego stołu. Efekt był taki sam, więc zniechęcony zwierzak ułożył się w płamie słońca na kamiennej płycie, przeczyścił od niechcenia fragment futra, i zapadł w drzemkę.

– Chciałaś strzałki, to masz – przerwał ciszę Olovski, wyciągając w stronę Ewy dwie pokreślone w dziwne wzory kartki.

– Nic z tego nie rozumiem.

– No popatrz...

– Zostaw, pozwól mi się spokojnie przyjrzeć. – Wolny marszczyła czoło i wodziła palcem po liniach. – Jakoś to rozgrzyzę, a ty łyknij wreszcie te lekarstwa, bo znowu zapomnisz.

Serge dolał sobie całkiem już zimnej kawy. Odkręcał kolejne buteleczki, wysypywał pigułki na dłoń i połykał je, przechylając głowę do tyłu. Potem zielonkawą maścią wysmarował podrażnioną skórę wokół nosa. Na koniec pociągnął wprost z butelki spory łyk syropu i odsunął od siebie tacę z lekarstwami.

– Jeszcze to. – Wolny, pozornie skupiona na analizowaniu zapisków, kontrolowała przyjaciela. Znała jego niechęć do stosowania się do zaleceń lekarzy, a i do samych lekarzy również. Podała mu ostatnie pastylki, te małe, żółte, cudownie wzmacniające, z kwiatkiem na opakowaniu.

– Oj, nudzisz! – sarknął i tak niezręcznie sięgnął po kartonik, że wytrącił go Ewie z ręki. Pudełko odbiło się od brzegu stołu, spadło na taras, a małe żółte kuleczki rozsypały się na blat i na kamienne płyty. Podskakiwały wesoło i grzechotały cichutko. Serge zaklął, Ewa łapała tabletki, które jeszcze nie zdążyły dotknąć podłoża, kot zaś z nadszpodziewaną szybkością i gracją rzucił się na polowanie. Oczywiście najbardziej interesowały go te, które umykały jego pazurkom, turlając się po kamiennych płytach. Przyciskał je łapami, chwycił pyszczkiem lub w ostateczności rzucał się na nie sprężystym ruchem i unieruchamiał krnąbrnego wroga. Olovski z jękiem schylił się i zbierał tabletki leżące najbliżej stołu. Dmuchał na każdą, wsadzał z powrotem do pudełka, a te leżące dalej z wyraźną satysfakcją kopał w trawę. Kot pobiegł za ostatnią toczącą się żółtą kulką, złowił ją, schrupał, rozejrzał się czujnie dokoła i nie widząc innych kusząco poruszających się obiektów, wsparty łebkiem o nogę stołu, znów pogrążył się w drzemce. Coś go jednak najwyraźniej zaniepokoiło, bo po chwili zerwał się i dostojnym kocim krokiem powędrował w głąb ogrodu. Z cichym szelestem potrącanych suchych traw zniknął w chaszczach obrastających mur. Wolny wróciła do analizowania improwizowanych grafik.

– W sumie to z tych strzałek wynika, że wszyscy leczyli się u doktora Silviu i mieszkali w La Ferté albo w okolicy, ale niezbyt blisko siebie. Nic innego w ewidentny sposób ich nie łączy. Rodzinnie nie są powiązani, duża rozpiętość wieku, choroby też przeróżne...

– No właśnie – Serge przerwał jej, zdruzony – to ci chciałem pokazać. A to znaczy, że jeśli ci biedni ludzie nie umarli śmiercią naturalną, czego obawia się nasz rumuński geriatra, to co? Sam ich wykończył, czy jak?

– Nie żartuj. A teraz niby sumienie go ruszyło?

– Ma do mnie słabość. Oprócz lekarstw przepisał mi też trochę rozrywki. Wymyślił sobie, że zabawa w zagadki kryminalne ożywi starego komisarza. A on lubi starszków. Sam mi mówił.

Ewa zbierała porozrzucane kartki i układała je w równą stertę.

– Rozczarowana? Myślałaś, że naprawdę coś tu nie gra?

– Trochę tak. Wydawał się bardzo przekonujący w swoich podejrzeniach, szczerze zmartwiony, a jednocześnie zakłopotany. Przyznaję, dałam się nabrać. – Westchnęła i wstała, szurając metalowym krzesłem. Zamierzała wrócić do domu, poczytać coś radośnie niepoważnego albo zaplanować, w miarę sensownie, kolejny dzień. Bezczyność wprawiała ją w zły humor. Na dodatek po zimnej kawie w ustach miała niesmak, a w żołądku przykre uczucie ssania.

– I nic ci nie przychodzi do głowy? – kontynuował Serge, nie zwracając uwagi na jej zniechęcenie i brak humoru.

– Nie wiem. Może tylko jakieś katastroficzne scenariusze typu coś w wodociągach lub fabryka w pobliżu, która truje mieszkańców.

– To tu jest w ogóle jakaś fabryka?

Ewa przycupnęła na brzegu krzesła, obiecując sobie, że to tylko na chwilę. Uciskała skroń, wyczuwając pod palcami boleśnie pulsującą żyłkę. – Jest spółdzielnia rolnicza, warsztaty samochodowe, duży warsztat stolarski czy coś w tym rodzaju, no i ta fabryczka, która produkuje jakieś opakowania. Nie wiem co jeszcze... Naprawdę myślisz, że to może być coś takiego? Jakies nielegalne ścieki? Toksyczne odpady?

– Ewa, ja naprawdę nie wiem, co myśleć. Dałabyś radę pogrzebać w internecie pod tym kątem? No wiesz, rodzaj produkcji, zanieczyszczenia, kontrole urzędów. Nie wiem, cokolwiek przyjdzie ci do głowy. Może jakieś dane o stanie środowiska, czystości wód, i tak dalej. – Olovski też zaczął odczuwać zmęczenie, bo przeciągał się i wiercił na krześle, szukając najwygodniejszej pozycji. W końcu wstał i zaczął ustawiać na tacy filiżanki i opakowania leków. – Ja zadzwonię do kilku znajomych. Może uda mi się dowiedzieć czegoś o naszym doktoru.

– O Silviu? Żartujesz!

Serge wzruszył ramionami.

– Nie zaszkodzi lepiej mu się przyjrzeć. W końcu tyle wiemy, ile sam zechciał nam powiedzieć. A to trochę mało...

\*\*\*

W domu od razu włączyła komputer i nieco po omacku zaczęła poszukiwania. Zrobiła listę wszelkich możliwych przedsiębiorstw, zakładów mniejszych i większych, dołączyła nawet zarejestrowanych rzemieślników. Po namyśle wytypowała trzech potencjalnych trucicieli, ale dane, które mogła znaleźć w internecie, przypominały folder reklamowy. Trafiała na artykuły sprzed kilku lat dotyczące konfliktu w jednej ze spółdzielni rolniczych. Pracownicy skarżyli się na warunki pracy, niskie zarobki i zatrudnianie sezonowych robotników z Europy Wschodniej. Nowsze informacje donosiły o awarii systemu ogrzewania w niewielkiej przetwórni należącej do innej spółdzielni. Najciekawsze, co znalazła, to krótka wzmianka na oficjalnej stronie merostwa o skargach mieszkańców osiedla domków jednorodzinnych na nieznośny smród i dym snujący się nad zakładem produkującym plastikowe opakowania. To było osiedle, na którym mieszkał pan Renard, jeden ze zmarłych pacjentów doktora Silviu. Trop urywał się w lutym 2017 roku, wtedy bowiem zorganizowano spotkanie mieszkańców z kierownictwem zakładu i wyglądało na to, że udało się dojść do konsensusu. W miejscowej, a tym bardziej ogólnokrajowej prasie nie pojawiły się już potem żadne notki na ten temat, z wyjątkiem ozdobionej kolorowymi zdjęciami informacji na stronie zakładu o wymianie filtrów, naprawie drogi dojazdowej i nowym ogrodzeniu parkingu. Sielankowa wizja pełna dobrej woli i współpracy. Aktualny konflikt, o którym wzmiankowano w prasie i w lokalnej telewizji, dotyczył propozycji właściciela małego zakładu o wdzięcznej nazwie Endive, również związanego z produkcją rolniczą, dotyczącej wybudowania dwóch niewielkich metanizerów, które produkowałyby energię, wykorzystując odpady organiczne. Inicjatywa, w zamyśle chwalebna, wzbudziła wściekły protest mieszkańców, zwłaszcza tych z osiedla sąsiadującego z Endive. Sądząc po nazwie, zakład produkował cykorię, co samo przez się mocno Ewę zdziwiło, bo całe życie uważała, że sałata rośnie sobie zwyczajnie w ziemi, na grządkach, nawet jeśli te grządki są przemysłowo wielkie. Produkcja energii z pozyskiwanego z odpadów metanu wydawała jej się sensownym rozwiązaniem. Ludzie jednak wieszali transparenty, pikietowali przed merostwem i demonstrowali przed bramą zakładu. Zwłaszcza starsi mieszkańcy La Ferté bali się wzmoczonego ruchu ciężarówek, smrodu, hałasu, a co za tym idzie spadku cen nieruchomości. Tak jakby tu kiedykolwiek było drogo, pomyślała. Ale nie była w stanie opowiedzieć się po którejkolwiek ze stron konfliktu. Za mało wiedziała na ten temat, a i same wydarzenia umknęły jej uwadze.

– Konflikt to konflikt – mruknęła i wydrukowała kilka stron bardziej dla spokoju sumienia niż z przekonania, bo nie miała pojęcia, jak można powiązać te wydarzenia z przedwczesną śmiercią kilkorga starszków. Obiecała sobie poszperać jeszcze rano przed wizytą Serge’a, umówili się bowiem na wczesne popołudnie, tym razem u niej.

\*\*\*

Z porannego letargu wyrwał ją telefon. Do wywabienia przybyły kolejne plamy z kawy, bo podskoczyła na dźwięk dzwonka i gorący płyn chlapanął na piżamę i klapy szlafroka. Dzwonił Olovski. Wyczuła, że jest zdenerwowany. Przeprósł wprawdzie za wczesną porę i zatroszczył się, czy przypadkiem jej nie zbudził, ale zbyt często przechodził na francuski i niewiele wyjaśniając, kazał jak najszybciej przyjść na rue du Château. Poważnie zaniepokojona, pobiegła do łazienki. W kabinie wyczyniała dziwne wygibasy, żeby nie zamoczyć włosów. Byłoby to łatwiejsze, gdyby nie paskudnie zakamienione sitko prysznicza i woda pryskająca na wszystkie strony. Kolejny raz obiecała sobie, że wieczorem wyczyści natrysk, a przy okazji zaleje octem muszlę, bo szary osad wewnątrz wyglądał bardzo nieapetycznie. Kawę, ledwo ciepłą, dopijała w biegu. W ostatniej chwili wrzuciła do torby wczorajsze wydruki. Pod drzwiami Serge’a stanęła spocona jak mysz. Dzwoniła kilka razy, w końcu poruszyła klamką. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

\*\*\*

Pierwsze, co zrobił po wyjściu Ewy, to sięgnął po swój stary notes oprawiony w nieprzekonującą imitację skóry. Używał go od piętnastu lat, najpierw nieco na siłę, żeby sprawić przyjemność małej Nathalie, która podarowała mu go na Boże Narodzenie, a potem już z konieczności, bo nie potrafił się bez niego obejść. Okładka była odbarwiona i poprzecierana, gdzieniegdzie łuszczyła się gumowata okleina, a poplamione i pozółkłe stronicy były gęsto zapisane, z licznymi przekreśleniami, poprawkami i dopiskami. Tylko on orientował się w tych zapiskach, a i tak trafiał



czasami na nazwisko lub adres, nad którymi musiał się dobrze zastanowić. Wertował strony notesu i dzwonił, notując od czasu do czasu kolejne numery, które mogły się kiedyś przydać. W końcu dotarł do kogoś, kto polecił kogoś, kto znał kogoś, kto mógł to sprawdzić. Nawet nie musiał się rozłączać. Chłopak przy komputerze, z dostępem do odpowiednich programów i akurat niezawalony robotą, w ciągu kilku minut potwierdził to, czego Serge się domyślał lub w co chciał wierzyć. Ionut Silviu miał czyste konto. Olovski na wszelki wypadek notował: data przyjazdu do Francji, kolejne zezwolenia na pobyt, zezwolenia na pracę, dyplomy, zaświadczenia, rejestracje, wnioszek o przyznanie obywatelstwa, daty rozmów w prefekturze, data przyznania obywatelstwa, data wydania paszportu... Nic kryminalnego, nic przestępczego. Najcięższe wykroczenie, jakiego dopuścił się doktor, to dwukrotne przekroczenie prędkości na N2, ale mandaty zapłacił w terminie.

Odłożył telefon, rozmasował zaczerwienione od przyciskania słuchawki ucho i wrócił do przyglądania się nekrologom w regionalnych gazetkach reklamowych. Wrzesień, październik, marzec, kwiecień – w tych miesiącach w dziale „Nekrologi” pojawiało się po kilka nazwisk z La Ferté. Popijając herbatę, rozrysował to sobie graficznie i wyszła mu całkiem zgrabna sinusoida. Zadziwiająca cykliczność, której nie podlegały pozostałe miejscowości. W takim Villers, Crouy czy Lizy sur Ourcq ludzie umierali z niefrasobliwą nieregularnością, zupełnie nie sugerując się porami roku, i w sumie dość niechętnie. Przesilenie jesienne? Jego żona, Marie-Hélène, chciwa wszelkich bioterapeutycznych nowinek, lubiła usprawiedliwiać przesileniem jesiennym każdą niedyspozycję, jaka przytrafiała jej się między wrześniem a listopadem. Potem cierpiała na zimową depresję, aż do przesilenia wiosennego, które rozpoczynała już na początku marca, tyle że u niej i jej koleżanek objawiało się to chandrą, migrenami, fochami, co najwyżej katarem. Problem zgonów nie dotyczył sąsiednich miejscowości, zawężyło to poszukiwania, ale niespecjalnie je ułatwiało. Miejscowy sklep? Jakies sezonowe produkty, które pojawiają się na placu przed kościołem w każdy piątek? Oparł się wygodnie w fotelu, poprawił poduszkę podłożoną pod plecy, przymknął oczy i usiłował przypomnieć sobie wszystko, co pamiętał o siewie, nawożeniu i zbiorach. Nie było tego wiele, mimo że ojciec przez lata prowadził spore gospodarstwo i eksperymentował z uprawą różnych warzyw. Serge skutecznie unikał wszelkiego kontaktu z ziemią, a począwszy od wczesnego wieku szkolnego, sojusznika znalazł w matce, która wybraniała go przed wszelkimi pracami w polu i zaganiała do książek. To pewnie ta cykliczność naprowadziła go na myślenie o porach roku, rolnictwie, kupowanych na ryneczku warzywach, ale mimo całej swojej ogrodniczej ignorancji nie podejrzewał, żeby nawożenie czy jakieś trujące opryski mogły mieć bezpośredni wpływ na wzmożoną śmiertelność pacjentów doktora Silviu. Zatrucia musiałyby przecież dotyczyć bardziej zróżnicowanej wiekowo grupy. No i ktoś podniósłby alarm dużo wcześniej. Błądził po omacku. Usiadł przy komputerze i trochę z nudów sporządził długą listę zmarłych mieszkańców. Nazwiska przepisywał z lokalnego periodyku. Potem zaznaczył kolorowym mazakiem te z listy doktora. Silviu powinien się ucieszyć, że w La Ferté starzy ludzie umierali w półrocznych cyklach już dwa lata przed jego przyjazdem. Być może wcześniej, tyle że niepalne gazetki Serge gromadził w kotłowni zaledwie od trzech lat. Trzeba będzie chyba starą dobrą metodą porozmawiać z sąsiadami i bliskimi kilku osób z listy Silviu. A może Ewa wpadnie na coś ciekawego w swoich internetowych poszukiwaniach? Wyłączył komputer i sprawdził, czy w dzbanku zostało jeszcze trochę herbaty. Miał zamiar położyć się i porządnie wyspać. Choroba sprawiała, że był wyjątkowo znużony, co miało tę zaletę, że przynajmniej nie dręczyła go bezsenność, nie snuł się po domu w polarowym szlafroku, nie mogąc zdecydować, którą książkę wybrać albo jakiemu programowi telewizyjnemu pozwolić się usnąć. Wyjrzał przez okno, żeby sprawdzić, czy czujnik światła na tarasie znowu się zaciął i wtedy to zobaczył. Wpatrzone w niego dwie kocie źrenice, rozszerzone tak, że prawie zasłaniały tęczęwki, i przyklejony do szyby pyszczek. Od czasu do czasu spomiędzy wyszczerzonych ostrych zębów wysuwał się różowo-szary języczek. Wyglądało to tak, jakby kot chciał polizać szybę, ale nie wystarczało mu siły albo przekonania. Miauczał, a właściwie skrzeczał rozpaczliwie i najwyraźniej domagał się wpuszczenia do środka. Dziwne, bo nie byli jakoś szczególnie zaprzyjaźnieni. Można powiedzieć, że szanowali nawzajem swoją prywatność. Zdarzało się kotu, szczególnie w letnie miesiące, kiedy okna i drzwi pootwierane były na przestrzał, że z ogonem sztywno wyprężonym w górę patrolował mieszkanie. Obchodził pokoje, na dłużej zatrzymywał się w gabinecie, zaglądał do łazienki, prychnął znacząco, domagając się obejrzenia piwnicy albo otwierał łapą wypaczone drzwiczki i włąził do kredensu. Bywało, że zdrzemnął się gdzieś między książkami, na stertach papierów, które zalegały kąty w gabinecie lub na

jednym z krzeseł przy kuchennym stole. Noce zawsze jednak spędzał poza domem. Serge podejrzewał, że kot urządził się w którymś z budynków gospodarczych albo w garażu sąsiedniej posesji i uważa się (słusznie zresztą) za jedyne go właściciela posiadłości rodziny Hibou. Przyglądał się kotu z ręką na kłamce i nie bardzo wiedział, co zrobić. Nigdy nie miał w domu żadnego zwierzęcia i nie był w nastroju, żeby akurat dziś to zmieniać. Wyobraził sobie, jak nasłuchuje kroków albo rozgląda się, czy żółtawozielone oczy nie świecą gdzieś w ciemnościach. A co będzie, jak zachce mu się sikać? Nie miał pojęcia, jak często koty sikają, a kombinowanie, z czego i jak urządzić kuwetę, z całą pewnością przerastało go w tej chwili.

– W głowie ci się przewraca, stary. Może lepiej niech każdy śpi u siebie, co? – powiedział w końcu i poszedł na górę.

Nie dawało mu jednak spokoju wspomnienie wykrzywionego kociego pyszczka. Nasłuchiwał najmniejszych szmerów, przewracał się z boku na bok, skopywał koc, poprawiał poduszki i zapadał w krótkie niespokojne drzemki. Nad ranem zszedł na dół, napił się wody z kranu i na palcach podszedł do okna. W szarościach przedświtów niewiele mógł dostrzec. Wydawało mu się, że jakiś ciemniejszy kształt majaczy tuż obok drewnianej ławy stojącej przy ścianie kotłowni, ale nie był pewien, czy to kot, czy może tak ułożyły się cienie. Oczywiście bolały i piekły z niewyspania, ale obawiał się, że już nie zaśnie. Pogrzebał chwilę w kredensie i z blaszanego pudełka z herbatą wyciągnął torebkę, która pachniała cytrusami. Z gotowym napojem poszedł do gabinetu. Postanowił doczekać świtu, czytając i słuchając radia. A jeśli zaśnie nad książką, to tym lepiej. Zlekceważył ćmy i komary, i otworzył na całą szerokość jedno skrzydło okna. Radio szemrało cichutko i nie zagłuszało odgłosów budzącego się do życia ogrodu. Przy każdym głośniejszym dźwięku odkładał książkę. Szelesty, chroboty, pierwsze wysokie ptasie świągoty. Miał wrażenie, że gdzieś tam z daleka dochodzą rozpaczliwe kocie miauknięcia, ale nie miał już siły wstać. Zasnął. Obudził go jakiś nietypowy dźwięk. Stuknięcie, skrobanie? Herbata zdążyła wystygnąć, za oknem zaczęło robić się jasno. Poprawił poły szlafroka i wyszedł przed dom. Kot leżał, przytulony grzbietem do drewnianej skrzyni, i wyglądał nie najlepiej. Pyszczyk spoczywał w kałuży pienistej cieczy, którą zwymiotował, od czasu do czasu targały nim skurcze, a łapy drżały konwulsyjnie. Dyszał chrapliwie albo skrzekliwie miauczał. Serge drgnął na odgłos ni to kaszlu, ni to charkotu. Przykucnął, przyjrzał się zwierzakowi i położył mu rękę na głowie. Oddech biedaka uspokoił się trochę, z pyszczka gwałtownym chluśnięciem wylała się jeszcze jedna porcja spienionego żółtawego płynu i drobne kocie ciało znieruchomiało. Wszystko znieruchomiało. Wydawało się, że powietrze zgęstniało, nie poruszały się liście na drzewach, a z hałaśliwego o tej porze miasteczka nie docierał nawet najmniejszy szum. Poglądził ostrożnie ciemny szary łebek, wsparł się o brzeg ławy i wstał powoli. Otarł rękę o szlafrok. Chwilę stał, niezdeterminowany, w końcu wszedł do domu. Do Ewy zadzwonił zaraz po wyjściu spod prysznica. Czekał na nią, siedząc z filiżanką kawy nad małym trupkiem.

\*\*\*

Leżała i wpatrywała się w sufit. Kręciło jej się w głowie, gdy tylko zamknęła oczy, a jeśli próbowała czytać, natychmiast pojawiały się mdłości. Pozwalała na chaotyczną kotłowaną myśl i czekała, aż armagnac, którym napoił ją Serge, pozwoli jej wreszcie zdrzemnąć się na chwilę. Brytyjczycy mają swoją herbatę, która pomaga na wszystko, Amerykanie dyszą w papierowe torebki, które jakimś cudem zawsze mają pod ręką, a Olovski, żeby postawić człowieka na nogi w różnych kryzysowych sytuacjach, podaje armagnac. Kiedy więc ona kiwała się nad kocimi zwłokami, nie mogąc ani się poruszyć, ani przestać wpatrywać w znieruchomiałe zwierzę, Serge pojawił się na tarasie z rulonem worków na śmieci, sporej wielkości kartonowym pudłem, do którego wrzucił ogrodowe rękawice, czerwoną śmietniczkę i dwa kieliszki. Z kieszeni wystawała mu butelka. Nalał i do zeszywniałej ręki wcisnął jej pełny kieliszek. Wypiła. Gdy już udało jej się odzyskać oddech, rzeczywiście przez chwilę czuła się lepiej. Olovski w tym czasie wypił swoją porcję, odstawił kieliszek na parapet, założył ogrodowe rękawice i zajął się kotem. Ewa z chorym zafascynowaniem patrzyła, jak pomagając sobie szufelką, wkłada truchełko do foliowego worka i szczelnie zawija.

– Podstaw mi to pudło. – Drgnęła, gdy zwrócił się do niej, wskazując głową karton. Postawili makabryczny pakunek przy oknie, ale komisarz nie zakończył na tym czynności porządkowych. Plastikową łyżeczką zaczął zbierać

z kamieni do płaskiego słoiczka mazisty płyn kocich wymiocin. Postawił to potem obok kartonu, zdjął rękawice i pod ogrodowym kranem umył ręce. Drugi kieliszek wypili w milczeniu, starannie omijając wzrokiem ciemne wilgotne plamy na kamieniach tarasu.

Serge z nowym zainteresowaniem przeglądał notatki doktora Silviu i naniesione na nich strzałki. Ewa masowała skronie, bo zaczynała boleć ją głowa. Było jej zimno, chciała iść do domu i właśnie przypomniało jej się, że nie zjadła nawet porządnego śniadania.

– Pracujesz dzisiaj? – Papiery wylądowały na stole, a Olovski patrzył na nią tymi swoimi zmrużonymi oczami z nowym ożywieniem.

– Nigdzie nie pracuję. Od miesiący nie mam roboty, mówiłam ci przecież.

– To może wybierzemy się pod wieczór do naszego rumuńskiego przyjaciela?

Wiedziała, że jeśli Serge mruży oczy jak krótkowidz usiłujący czytać drobny druk bez okularów, to znaczy, że coś mu chodzi po głowie. Ale była zbyt oszołomiona, żeby zadawać pytania.

– Dobrze. Nie ma sprawy. Zadzwoń do mnie, gdy już się umówisz. A teraz pójdę do siebie. Łeb mi pęka.

Serge pokiwał głową i wstał, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru jej zatrzymywać.

– Pomożesz mi wnieść to do środka?

– Oczywiście.

Olovski pochylił się nad pudłem, a ona zabrała miotełkę, śmietniczkę i worki na śmieci. Omal nie upuściła wszystkiego na podłogę, gdy spostrzegła, że Serge postawił karton z kotem i słoiczek z wymiocinami na kuchennym stole. Otworzył lodówkę i poprzestawiał (nieliczne zresztą) produkty tak, żeby zwolnić trochę miejsca. Następnie ułożył ostrożnie zawiniętego w folię kota na pustej półce. Zupełnie przy tym nie zwracał uwagi na okrzyki: „Zwariowałaś? Co ty wyprawiasz?”.

– Daj mi ten słoik. – Wyciągnął rękę, a ona podała mu słoiczek. Bardzo starała się nie patrzeć na zawartość. Przysiadła na krześle, bo zrobiło jej się niedobrze.

Serge, usatysfakcjonowany, patrzył na swoje dzieło. Kiwnął głową, mruknął coś i chyba nie do końca świadomie sięgnął po niezbyt świeży kawałek Le Carré Roux<sup>3</sup>. Zatrzasnął drzwiczki lodówki i dopiero wtedy spojrzął na Wolny.

– Chcesz kawałek? – Wyciągnął rękę z serem, którego oślizła skórka kojarzyła jej się z czymś bardzo, ale to bardzo nieprzyjemnym. Pokręciła tylko głową, bo przez zaciśnięte gardło nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku.

– Coś błada jesteś – stwierdził i nalał jeszcze po jednym kieliszku. Miała poważne obawy, że nie przełknie palącego alkoholu, ale w końcu jakoś jej się udało. Olovski uśmiechał się, popijał swój ulubiony trunk i od czasu do czasu mówił coś na zupełnie obojętne tematy. Zapytał o dzieci, uprzejmie zainteresował się brakiem pracy, skomentował pogodę. Zaczęła się obawiać, że stary zwariował. Karcił tego kota, ale nie przypuszczała, że jest do niego aż tak przywiązany. A najbardziej niepokoił ją ten jego głupawy uśmieszek. Zupełnie jakby podłożył komuś na krześle pinezkę i czekał, aż ofiara usiądzie.

Nie dopiła ostatniego kieliszka. Zerwała się nagle. Złapała za głowę, bo w skroniach łupnęło z podwójną siłą, i prawie bez pożegnania wybiegła. Możliwe, że nawet trzasnęła przy tym drzwiami. Spacer pustymi uliczkami dobrze jej zrobił. Wybrała dłuższą trasę: obok muzeum Racine’a, potem przez plac kościelny, w dół brukowaną rue des Bouchers, a koło Starej Remizy skręciła w lewo, żeby jeszcze dodatkowo wydłużyć drogę i przez łukowaty mostek nad Ourcq dojść do spacerowej nadrzecznej promenady. Oddychała głęboko, licząc, że świeże powietrze rozproszy ból w skroniach i pozwoli uporządkować myśli.

Dopiero spory kubek miętowej herbaty sprawił, że poczuła się lepiej. Postanowiła łyknąć aspirynę, położyć się, zdrzemnąć, zapomnieć o koszmarnych widokach i dziwnym zachowaniu komisarza. Może to jakieś przepisy sanitarne, o których ona nie ma pojęcia? Może tutaj padłe zwierzęta domowe trzeba jakoś specjalnie utylizować, zgłaszać gdzieś, a nie, jak to się najczęściej robi w Polsce, zakopywać w ogródku? Trochę ją ta myśl uspokoiła. A telefon od Serge’a, w którym zawiadamiał, że umówił się z lekarzem pod koniec godzin pracy, dodatkowo uspokoił. Świetnie się składa, że zobaczy go lekarz. Przymknęła oczy i bezskutecznie czekała na sen. W końcu zeszała

na dół i zaparzyła kolejną herbatę. Włączyła telewizor, spoglądała od niechcenia na jakiś irytująco pogodny film, popijała napar. Zadziało. Obudziła się po dwóch godzinach pokrzepiającego snu, zamotana w dwa koce, z obolałym karkiem i zdętwiałą ręką. Nawet nie pomyślała o obiedzie. Zadowolona się kawą i kanapką z serem. Wyciągając z lodówki mleko, poczuła dziwny niepokój w okolicach żołądka. Butelkę zostawiła na kuchennym blacie. Pomyślała, że odłoży ją na miejsce, gdy już skończy kawę. Może przecież potrzebować dolewki, a po co tak tę lodówkę bez przerwy otwierać, zaszkodzi tylko niepotrzebnie. Nie wiedziała, co zrobić z pozostałym czasem. Może przytnie kilka krzaków, które wyczerpane suszą już dawno prosiły się o sekator, albo wreszcie umyje okna? Przynajmniej te od strony ulicy, wiecznie pokryte białym pyłem.

Od kilku tygodni nie spadła ani jedna kropla deszczu. Słońce bezlitośnie paliło. Dziennikarze prześcigali się w snuciu apokaliptycznych wizji klęsk i pożarów, a plansze z efektownymi grafikami krzywej temperatur były obowiązkowym urozmaiceniem każdej prognozy pogody. Rolnicy zmagali się z narzuconymi przez prefektów ograniczeniami zużycia wody, za to w co drugim domu dzieciaki pluskały się w ogrodowych basenach. Trawniki brązowiły, ludzie w ciągu dnia chowali się przed upałem, a ożywiali nieco dopiero wieczorem. Takie było całe lato, aż do teraz. Właśnie, teraz, kiedy ona postanowiła zrobić porządek w ogrodzie albo umyć okna, po niebie przetaczały się bure chmury. Deszcz zacinął z najróżniejszych stron, a kotłujący się wiatr strząsał z osłabionych upałem drzew pierwsze pożółkłe liście. Zniechęcona, odwróciła się tyłem do ponurego spektaklu za oknem. Ogarnęła wzrokiem zapuszczone wnętrza i żeby nie zmarnować zapалу, wyjęła ze schowka wiadro, mopa i butelkę detergentu. Porządne sprzątanie zawsze poprawia samopoczucie. Zaczęła od kuchni. Czuła dojmującą potrzebę wyszorowania lodówki.

---

<sup>3</sup> Le Carré Roux (fr.) – rodzaj sera pleśniowego.

## ROZDZIAŁ V

Wieczne zamykanie okiennic należało do jego obowiązków, odkąd skończył sześć lat. Wychodzili z ojcem na trotuar, miotełką na długim kijku omiatali ramy okien i delikatnie odkurzali szyby od strony ulicy. Potem przyglądali się krytycznie wystawie i sprawdzali, czy nie przepaliła się któraś z żarówek. Jeśli wszystko było w porządku, można było wrócić do środka i zamknąć ciężkie skrzydła płycinowych okiennic. Czasami jeszcze musiał wspiąć się na szeroki wewnętrzny parapet i poprawić jakiś element dekoracji, który ojciec uznał za niedoskonały, albo uzupełnić ekspozycję nowym detalem. Okiennice były znakomicie wkomponowane w wysoką dębową boazerię i jedynie ciemne kute zasuwki wyodrębniały je z jednolitej drewnianej zabudowy ścian. Po zamknięciu zapalało się zawsze tylko jedną, stojącą na stole lampę z witrażowym abażurem. Dawała ciepłe żółto-zielone światło i zostawiała wystarczająco dużo plam cienia, żeby mógł się w nich ukryć i przyglądać ojcu pochylonemu nad księgami rachunkowymi. Ojca już od dwudziestu lat nie ma, ale poza tym nic się nie zmieniło w wieczornym rytuale. Omiatał kurz i pajęczyny, sprawdzał stan wystawy, czasami coś na niej zmieniał, dodawał jakiś zaskakujący eksponat. Następnie z prawdziwą przyjemnością odcinał się od zewnętrznego świata ciężką dębową przesłoną.

Dziś zdjął z witryny zabytkową miedzianą aptekarską wagę i wydrążoną skorupę kokosa, którą położył tam na początku lata. W to miejsce wstawił sporej wielkości szklany alembik z imponującym bukietem suszonych ziół. Alembik miał uszkodzoną rurkę, więc przekreślił go tak, żeby odłamane szkło nie było widoczne z ulicy. Porcelanowa lalka w strojnej sukience i słomkowym kapelusiku zwracała pucułowatą buzią w stronę kwiatów. Strzepnęła maleńkiego pajaczka wędrującego po przykurzonych falbankach i pomyślał, że najwyższy czas zmienić lalce ubranie i ją umyć. Zwykle robił to dwa razy w roku, na wiosnę i tuż przed Bożym Narodzeniem. Bardzo rozstrajała go ta czynność. Potem przez kilka dni był niespokojny i osobliwie podminowany. Zdejmując sukienkę, haleczki i miniaturową bieliznę, czuł się winny i miał wrażenie, że ojciec obserwuje go znad połówkowych okularów z kpiącym uśmiechem. Ostatnia wiosna minęła tak szybko, miał tyle roboty, tak intensywnie pracował nad swoim projektem, że nie miał czasu zająć się lalką. Teraz widział, że malowane rumieńce przyblakły, a batyst sukienki żółkł od kurzu. Czuł, jakby to jego oblepiał brud, a łapki pajaków nieprzyjemnie łaskotały skórę. Zamknął wreszcie okiennice, a przedtem rzucił lalce ostatnie przeproszające spojrzenie. Zrobi to w sobotę. Zaraz po zamknięciu przebierze ją w drugi komplet ubranek. Ten z miodowego aksamitu z purpurowymi wstążkami i śmiesznym czekoladowym berecikiem do kompletu. Ale najpierw umyje i inaczej upnie jej włosy. W sobotę powinien ostatecznie zakończyć sprawy ze swojej listy, będzie więc odprężony i w dużo lepszej formie.

Zaświecił lampę na stole w pierwszym pomieszczeniu i przeszedł do laboratorium. Kilka pozyskanych świeżo olejów wymagało przelania do butelek z ciemnego brązowego szkła. To zajmie tylko chwilę. Potem trzeba jeszcze uzupełnić zapas „Wzmacniających Tabletek Lebretona”. Chodziło o specjalne tabletki typu „02” dla kilku szczególnych pacjentów. I jeden zestaw uniwersalny, na wszelki wypadek, gdyby niespodziewanie pojawił się ktoś, kogo nie miał na swojej liście. Był zadowolony, bo udało mu się uzyskać jeszcze większe stężenie substancji czynnych, co gwarantowało większą skuteczność. Wszystko było jeszcze w słojach. Należało tylko dodać dekstryny i przełożyć do praski. Używał ciągle starej ręcznej praski i jeszcze starszej wyciskarki do tabletek. Nie były może zbyt wydajne, dość skomplikowane w obsłudze, miały jednak w sobie tę spokojną elegancję dawnych mechanicznych urządzeń, którą tak lubił. Przeglądał czasami katalogi z nowoczesnymi przyrządami tego typu, ale jakoś nie przyszło mu do głowy zaopatrzyć się w nie. Dla jego potrzeb laboratorium było wyposażone zupełnie wystarczająco.

Założył biały kitel i starannie zapiął wszystkie guziki. Potem zdjął z wieszaka gumowany fartuch, zawiązał go mocno w pasie i sięgnął po lateksowe rękawiczki. Świetłówki brzęczały cichutko, kiedy w skupieniu nasypywał

jasnożółty proszek do praski i skręcał cylindry urządzenia. Gotowe tabletki przekładał od razu do opisanych słoiczków, żeby się nie pomylić. Kiedy skończył, zbliżała się północ. Włączył płytę z koncertem e-moll Mendelssohna, której nigdy nie wyjmował ze starego odtwarzacza i mrużąc „pa pam pam, pa pa pam pam, pa pa papa pam param”, zabrał się za składanie tekturowych pudełeczek i oznaczanie opakowań sobie znanym kodem. Czarnym cienkopisem na spodzie pudełka dopisywał cyferkę i symbol literowy. Mimo późnej pory (starał się zasypiać przed północą) nie zaniedbał żadnej z czynności związanych z wieczorną toaletą. Równie starannie przygotował strój na kolejny dzień. Zasnął prawie natychmiast. Mimo że nic mu się nie śniło, obudził się jakiś nieswój. Popijał poranny napar ziołowy i jak zwykle sporządzał przy tym notatki mające na celu uporządkowanie rozpoczynającego się dnia. Sprawdził zapiski z minionego tygodnia. Z przyjemnością skonstatował, że ten nowy lekarz dotrzymuje obietnicy. Zamówień na „leki robione” było coraz więcej. Przeważnie maści o lekkim działaniu antyseptycznym albo rozgrzewające, które tak lubią starzy ludzie zmagający się z bólami stawów. Przygotowywał je z przyjemnością. Czasami nawet sugerował pewne modyfikacje, które zawsze konsultował z doktorem Silviu. Musiał przyznać, że współpraca układa im się całkiem dobrze. A przecież kiedy dowiedział się, że Silviu jest Rumunem, miał pewne wątpliwości i zastanawiał się, czy śmierć doktora Marlota przyniesie oczekiwane zmiany na lepsze. Nie lubił cudzoziemców. Nie ufał im. Te wszystkie różnice kulturowe, inna mentalność męczyły go. Przeważnie byli brzydacy, źle ubrani, zbyt emocjonalni, na dodatek mówili niezrozumiale i niepoprawnie. Silviu na szczęście okazał się inny. Wprawdzie jego akcent i dość niestaranny sposób ubierania się pozostawiały sporo do życzenia, ale za to stosunek do pacjentów, otwartość, zainteresowanie ziołowymi lekami uznał za naprawdę godne pochwały. Był przyjemnie zaskoczony już od pierwszej rozmowy. A ostatnio coraz częściej przychodziło mu do głowy, żeby zacieśnić kontakty z doktorem i może, kto wie, zaprosić go na skromny aperitif w któryś sobotni wieczór. Poczucie obowiązku i zamiłowanie do porządku kazały mu jednak najpierw zakończyć sprawy wcześniej zaplanowane. No i bał się. Przyjemnie było wyobrazić sobie sympatyczne wieczory spędzane na rozmowach z inteligentnym bądź co bądź człowiekiem, sączeniu wspaniałych oryginalnych nalewek własnoręcznie wytworzonych. Układał w myślach dialogi. Wygłaszał interesujące kwestie. Opowiadał w sposób ciekawy o swoim życiu, badaniach i odkryciach, a Ionut Silviu, zafascynowany, wsłuchiwał się w jego niski, pięknie modulowany głos. Ćwiczył te sceny wieczorami, w czterech ścianach sypialni albo podczas obiadu. Udawał, że po drugiej stronie stołu siedzi jego gość. Czasami nawet stawiał drugie nakrycie, żeby uwiarygodnić scenę. Wpadł w swego rodzaju nałóg. Ilekroć odczuwał pustkę, która ostatnio przytłaczała go coraz częściej, zwłaszcza kiedy sprzedawał kolejny ze swoich specjalnych leków i czekał, czy specyfik zadziała we właściwy sposób, uciekał się do tych inscenizacji. Wystarczyło, że półgłosem powiedział: „Ach, doktor Silviu! Jakże się cieszę, że pana widzę” i potem improwizował w zależności od nastroju. Polubił to swoje dziwactwo, mimo że niebezpiecznie przypominało poprzednią słabość. Delphine. Nie zwracała na nią uwagi. Chuda, z włosami związanymi ciasno w mały koczek, wiecznie w nierzucających się w oczy ciemnych sukienkach, przemykała cicho w tle gabinetu swojego ojca, doktora Marlota. Rejestrowała pacjentów, sprzątała poczekalnię i gabinet, dbała o dom, gotowała i podawała starym posiłki. Była od Yoricka jakiegoś piętnaście lat starsza i jak wszyscy mieszkańcy La Ferté nie myślała o niej inaczej niż „stara panna Marlot”. Aż do tego wieczoru.

Był początek marca. Mokry i zimny koniec zimy. Ludzie masowo chorowali na wszelkie infekcje górnych dróg oddechowych, pojawiały się przypadki grypy. Yorick zauważał coraz więcej błędów w receptach od Marlota. Lekarz mylił dawki, szafował antybiotykami, a na dodatek robił błędy w nazwiskach pacjentów i zapominał podpisywać recepty. Telefoniczna próba wyjaśnienia sytuacji nie powiodła się. Stary był opryskliwy, a nawet chamski. To Delphine zadzwoniła wieczorem, przeprosiła za zachowanie ojca i zaproponowała spotkanie. Zapakował wymagające wyjaśnienia druki i pół godziny po zamknięciu gabinetu stał przed drzwiami narożnego budynku przy rue du Parc.

– Przyszedł mi pan głowę zwracać? – warknął Marlot na powitanie. Najpierw zwróciło jego uwagę cichutkie, subtelne stukanie obcasów czarnych pantofli. A potem drżąca dłoń z wysmukłymi palcami. Filiżanki brzęczały na spodeczkach, kiedy podawała herbatę. Tak bardzo trzęsły jej się ręce. Naburmuszony doktor z zaczerwienioną twarzą fukał, chrząkał i sprawiał wrażenie, że nie rozumie, o co chodzi. Marszczył siwe krzaczaste brwi, popijał herbatę łyżeczką, mlaskając przy tym i siorbiąc. Wykrzykiwał od czasu do czasu:

– Głupoty mi pan opowiada!

Delphine stała, milcząca, za fotelem. Oczywiście miała spuszczone, a jeśli rzucała krótkie spojrzenia w stronę Lebretona, to tak jakoś ponad jego głowę. Dziwny to był wieczór. Wtedy Yorick zdał sobie sprawę, że doktor Marlot jest skończony. Zestarzał się, zdziwaczał i zbrzydł. Śmierdział potem, przetrwionym winem i zjełczałym tłuszczem. Wygadywał bzdury na temat leczenia, wyśmiewał ziołowe specyfiki Lebretonów, lżył swoją nieszczęsną córkę, a na koniec rzucił ze stołu teczkę z receptami i kazał się wszystkim wynosić do diabła. Wtedy ona bez słowa schyliła się, pobierała papiery, obeszła stół dookoła, podała ojcu pióro i spokojnie powiedziała.

– Podpisz tu, tato, proszę.

Potem, wskazując palcem odpowiednie miejsca, dyktowała, co ma wpisać, co skorygować, a stary robił to wszystko posłusznie, sapiąc i strzykając drobinkami śliny. Na koniec podała Yorickowi porządnie ułożone w tekturowej teczce kartki.

– Przepraszam za ojca. Ostatnio nie czuje się najlepiej.

Urzekła go gracją ruchów, emanującym z niej spokojem, zgaszonym spojrzeniem orzechowych oczu. Według niego nie była chuda, lecz wiotka. Jej skóra nie była poszarzała, tylko świetliście blada, a promyczki zmarszczek wokół ust dodawały jej tajemniczości i subtelnego uroku, podobnie jak sine cienie pod oczami. Wtedy zaczęła się jego obsesja. Wyobrażał sobie wieczory spędzane z nią na długich rozmowach. Ze starego albumu wyciął portret Marii Portinari Memlinga, oprawił go i powiesił w swoim gabinecie na piętrze, bo przypominała mu córkę Marlot. Posunął się nawet do tego, że w jednym z dość drogich paryskich butików kupił sukienkę z cudownie miękkiego materiału o kroju, który Delphine tak lubiła: proste długie rękawy, podkreślona talia i lekko rozszerzający się dół. Kupił ją tylko po to, żeby wyobrażać sobie, jak wręcza prezent pannie Marlot, a ona dziękuje mu, uszczęśliwiona.

Pewnego dnia pojawiła się w aptecce z karteczką, na której zapisana była nazwa leku. Zmieszana, podała mu świstek i cicho poprosiła:

– Czy może mi pan to sprzedać, bardzo proszę? Ojciec potrzebuje.

Karteczka była wymięta i wilgotna od potu. Jej potu. Te fizyczne konteksty pojawiające się w myślach o starej pannie Marlot wytrącały go z równowagi. Ale nie czas było myśleć o tym teraz. Zmarszczył brwi, zsunął okulary na czubek nosa i odczytał nazwę leku.

– Czy pani ojciec źle się ostatnio czuje?

– Och, to trwa już kilka tygodni. Ale wie pan, jaki on jest. Poświęca swoje zdrowie dla lokalnej społeczności. Ledwie go namówiłam, żeby nieco mniej pracował. Teraz przyjmuje pacjentów tylko w środy i piątki. Na wizyty domowe, dzięki Bogu, już w ogóle nie jeździ. To go zawsze najbardziej męczyło. Mimo to... Wiem, że bardzo źle sypia i ogólnie jest bardzo... no wie pan, bardzo rozdrażniony. Z pewnością cierpi, ale nie pozwala sobie pomóc. – Wyciągnęła z rękawa chusteczkę i przytknęła na chwilę do oczu. Patrzył jak urzeczony na zaczerwienione spojówki i błyszczący czubek nosa. Biedna dziewczyna. Stary robi z siebie ofiarę i udaje wielce chorego.

– A apetyt tatusiowi dopisuje?

– O, tak! Na szczęście. Właściwie ostatnio głównie poświęca się lekturze, a lubi przy tym podjadać różne smakołyki.

Aptekarz pokiwał głową i uśmiechnął się ze zrozumieniem. Szybko podjął decyzję. Wyjął z szuflady lek zapisany na kartce i zaproponował dodatkowo wzmacniające tabletki Lebretona. Kupiła opakowanie dla ojca i drugie dla siebie. Pastylki dla niej były różowe, pachnące truskawkami. Dla niego te mocniejsze, żółte. Z rozczeniem śledził przez okno oddalającą się szczupłą sylwetkę, a kiedy zniknęła za rogiem, wyrzucił do kosza karteczkę zapisaną ręką Marlot. Stary idiota wysłał córkę po Stomedine. Zwykły, popularny środek na zgagę. A Yorick karmił się marzeniami o Delphine i nawiązaniu głębszej relacji. Przyjaźni? Zażyłości? Poufałości? Aż do śmierci doktora Marlot. Pobiegł wtedy jak na skrzydłach, żeby podtrzymać ją na duchu w tych trudnych chwilach. Był przecież przyjacielem, wybawcą, obrońcą.

Nawet nie poprosiła, żeby usiadł. Stała ze spuszczonej oczami i miętosiła w rękach chusteczkę. A kiedy wyczerpał już zapas stosownych w takich razach frazesów i odważył się zbliżyć do niej z zamiarem objęcia,

uściśnięcia bodaj dłoni, odsunęła się.

– Doceniam pana gest i dziękuję za kondolencje. Ale proszę tu więcej nie przychodzić. Wybacz pan, że to mówię, ale tatuś nie miał o panu najlepszego zdania. A ja... a ja bardzo cenię i zawsze ceniłam jego opinię. Był nadzwyczaj wartościowym i mądrym człowiekiem. Niezastąpionym. A teraz pana pożegnam.

Skinął głową i wyszedł. I tak prześnił się jego sen.

Teraz to zupełnie co innego. Teraz widział siebie w towarzystwie doktora Silviu, rozprawiającego o badaniach z dziedziny chemii, farmakologii i farmakognozji. Nie chciał wiele. Już raz się sparzył. Tym razem wystarczyłoby kilka sympatycznych wieczorów przy kieliszku rozgrzewającej nalewki i muzyce cicho rozbrzmiewającej w tle. Kto wie, kto wie? Silviu zapewne celowo przepisywał swoim pacjentom leki, które tylko on, Yorick Lebreton, potrafił sprepować. Leki lekkie, wspomagające organizm, dostosowane do starszej potrzeby leczenia się i indywidualnego traktowania. Dzięki takiemu podejściu pan Toutlemonde<sup>4</sup> miał zupełnie wyjątkowe zapalenie stawów i dopasowaną do tego specjalną maść, a wątroba pani Lemême<sup>5</sup> zasługiwała na zupełnie wyjątkową kurację oryginalnymi tabletkami robionymi na zamówienie. Mieszał więc w swoim laboratorium czarną rzodkiew z węglem, dodawał wyciąg z karczocha i trochę kwasu dehydrocholowego, na koniec zaprawiał to wszystko olejkami mentolowymi, i tabletki gotowe. Pacjent zachwycony, że lek działa, lekarz spokojny, że biedne przeciążone wątroby miejscowych obzartuchów dostaną lekkie ziołowe wsparcie, a obroty znacznie wzrosły w ciągu ostatniego miesiąca. Na szczęście farmaceutom z apteki przy ośrodku zdrowia nie chciało się bawić w robienie leków. U nich obroty zawsze były wysokie. Nowocześni, postępowi, rozbudowali dział drogerijny, a przede wszystkim mieli świetną lokalizację, więc nigdy nie narzekali na brak klientów. Nie dziwił się, że nie mieli czasu na żmudne mieszanie składników, i to tylko po to, aby zadowolić kaprysy hipochondrycznych emerytów. Potrząsnął głową i wrócił do planowania dnia. Sporządził kilkopunktową listę rzeczy do zrobienia, dopił herbatę i po umyciu filiżanki przeszedł do holu, gdzie starannie poprawił węzeł krawata, przygładził włosy i zapiął dwa guziki marynarki. Czas otworzyć okiennice i rozpocząć kolejny dzień.

\*\*\*

Doktor Ionut Silviu siedział w tym czasie w swoim gabinecie i przeglądał dokumentację pierwszego zarejestrowanego na dziś pacjenta. Spodziewał się pana Cousina za niecałą godzinę i wolał być na jego przyście dobrze przygotowany, ponieważ Jean-Jacques Cousin chorowanie traktował profesjonalnie. Miał siedemdziesiąt cztery lata, był szczupły, sprawny, odżywił się w sposób bardziej niż poprawny i oprócz lekkiego nadciśnienia Silviu nie był w stanie doszukać się u niego żadnych innych schorzeń. Tyle tylko, że od śmierci żony pan Cousin cały swój czas i siły poświęcał trosce o zdrowie. Wsłuchiwał się w swój organizm, konsultował podejrzenia z internetowymi poradnikami, wyszukiwał kolejne terapie i przybiegał z tymi rewelacjami do jego gabinetu średnio dwa razy w miesiącu. Na dodatek był osobą apodyktyczną i mającą o sobie dość wysokie mniemanie. Już przy pierwszej wizycie Ionut dowiedział się, że państwo Cousin kupili stary młyn, że wyremontowali go i przerobili na imponującą posiadłość, i że sprzedali duży apartament w czternastej dzielnicy Paryża, ale dopiero wtedy, kiedy małżonka zaczęła chorować i koszty leczenia sukcesywnie rosły. Następne rozmowy wzbogaciły doktora o wiedzę na temat poziomu intelektualnego i ogólnie cywilizacyjnego mieszkańców La Ferté, czasami z rozszerzoną opinią na temat jakiejś konkretnej osoby. No i pieniądze! Od pierwszej chwili, w taki czy inny sposób, Cousin dawał do zrozumienia, że pieniędzy mu nie brakuje. Był bardzo dumny ze swojej sytuacji materialnej, a Ionuta to raziło i wprawiało w zakłopotanie. Przez lata pobytu we Francji zdążył przyzwyczać się do wyjątkowej powściągliwości i skromności Francuzów w kwestiach finansowych. Taka postawa bardzo mu się podobała. Sam o pieniądzach zbytnio nie myślał. Jeśli tylko wystarczało na przeżycie, był zadowolony. Oczywiście musiał prowadzić różne rozliczenia, płacić podatki, planować wydatki, ale już w kwestiach konsumpcji był wyjątkowo mało wymagający, niezorientowany w przeróżnych modach, czy trendach i absolutnie wolny od przymusu posiadania. Sporo rzeczy stresowało doktora przed wizytą pana Cousina, ale najważniejszą w tej chwili była wysypka. Umawiając wizytę, starszy pan opisał dokładnie krostki na skórze, które, jak się obawiał, mogły świadczyć o rakowych zmianach w jelicie grubym. Silviu zastanawiał się, czy odcięcie dostępu do internetu nie byłoby dla Jean-Jacques'a najlepszą terapią. Na dodatek nie



mógł poświęcić mu zbyt wiele czasu, chociażby ze względu na zaplanowane wizyty, a po południu musiał pojechać do trzech obłożnie chorych pacjentów i zdążyć wrócić do gabinetu przed osiemnastą. Na tę bowiem godzinę zapowiedział się komisarz Olovski. Miał nadzieję, że stary glina ma coś nowego do powiedzenia w sprawie tych podejrzanych zgonów. Sam już nie wiedział, co o tym myśleć. Najbardziej bał się tego, że przeoczył jakiś symptom choroby, nie dostrzegł, że stan tych ludzi był poważniejszy, niż się wydawało. Zobojeźniał? Lekceważył narzekania i rozwlekł opisy dolegliwości, w których tak lubowali się niektórym pacjentom?

Starał się przecież. Zależało mu na tej pracy. Miasteczko było urokliwe, spokojne, gabinet wygodny i całkiem nieźle wyposażony, a córka doktora Marlota z własnej inicjatywy oddała mu do dyspozycji całe piętro domu, mimo że w kontrakcie była mowa o pokoju z łazienką. Panna Marlot korzystała z kilku pomieszczeń gospodarczych na parterze i zajmowała pierwsze piętro. Budynek miał zewnętrzną klatkę schodową, więc zupełnie nie wchodzili sobie w drogę. Ionut musiał przyznać, że przez całe swoje życie nie zdarzyło mu się mieszkać w tak komfortowych warunkach. Wiedział, że czeka go przełamywanie nieufności mieszkańców, i jak dotąd nieźle mu szło. Pacjentów przybywało, urządził się jakoś w nowym mieszkanku, przywiózł książki przechowywane u znajomych, a nawet kupił telewizor. Od jakiegoś czasu chodziło mu po głowie, czyby nie zaprosić na święta kuzynki. Liliana studiowała w Paryżu i wraz ze świeżo poślubionym mężem wynajmowała małe *chambre de bonne* na siódmym piętrze haussmannowskiej kamienicy w szesnastej indelicacy. Byłaby okazja poznać się bliżej. W końcu nie miał innej rodziny. I oczywiście gdy tylko zaczął mieć wrażenie, że jego życie osiągnęło etap jakiejś takiej stabilizacji, że wreszcie może odetchnąć i spokojnie pracować, nie martwić się, co będzie za miesiąc, gdzie będzie spał za pół roku, musiało się coś spieprzyć. Uważnie przestudiował przypadki zmarłych pacjentów. Uskarżali się na różne dolegliwości, byli w różnym wieku i w różnym stopniu zaawansowania swoich chorób. Nigdy nie lekceważył żadnych objawów ani obaw chorego. Wręcz przeciwnie – wolał narazić się na zarzuty, że męczy ludzi niepotrzebnymi badaniami, niż zmagać się z wątpliwościami albo pozostawiać pacjenta z utajonym strachem. Na chodniku przed oknami gabinetu zatrzymał się biały citroen cactus z charakterystycznymi ciemnymi prostokątami na drzwiach. Pan Cousin nie przejmował się żółtą linią namalowaną wzdłuż jezdni i uparcie parkował dokładnie na wprost drzwi. Silviu umył ręce i wycierał je właśnie papierowym ręcznikiem, gdy usłyszał przez drzwi podniesione głosy. Wystawił głowę i uspokoił nadmiernie gorączkową wymianę zdań. Czarnoskóra kobieta z kilkuletnią dziewczynką przekonywała zirytowanego Jean-Jacques'a, że powinna wejść pierwsza, bo przecież czeka dłużej niż on, i to z chorą córeczką.

– Jest pani zapisana na wizytę?

– Tak, na dziesiątą trzydzieści.

– Znakomicie. W takim razie zaraz panią przyjmę. A teraz poproszę pana.

Cousin, naburmuszony, już od progu zaczął się rozbierać, żeby co prędzej zademonstrować swoje najnowsze odkrycie – wysypkę. Krostki sugerowały alergiczne zapalenie skóry, ale badany, wyedukowany przez internetowe strony z poradami medycznymi, przedstawił cały wachlarz objawów świadczących o ciężkich rakowych zmianach w jelicie grubym. Nie pomogło przypomnienie, że przecież całkiem niedawno brał udział w bezpłatnych badaniach przesiewowych, które nic nie wykazały, nie pomogła też uspokajająca rozmowa. Ionut przepisał maść na wysypkę, zbadał chorego tak szczegółowo, jak tylko było to możliwe w warunkach gabinetowych, i w końcu, nieco już zmęczony uporem pacjenta, podjął decyzję.

– Nie podejrzewam, żeby pana obawy się potwierdziły, jednak jeśli miałoby to pana uspokoić, mogę wypisać skierowanie na szczegółowe badania. Zastrzegam, że jest to badanie dość nieprzyjemne, ale tylko ono może ostatecznie stwierdzić obecność jakichkolwiek zmian albo je wykluczyć. Zgadza się pan?

– Myśli pan o...?

– Tak, myślę o kolonoskopii. A żeby mieć całościowy ogląd sprawy, zaproponowałbym również gastroskopię. Przygotowanie jest właściwie takie samo, a uzyskamy pewność co do stanu pana układu trawiennego.

Cousin pobladł nieco i Silviu prawie widział, jak przebiegają procesy myślowe pacjenta. Ten bał się, jednocześnie czuł się doceniony, poważne leczenie potwierdzało jego obawy, ale i łaskotało przyjemnie poczucie własnej wyjątkowości. Wszystkie te uczucia widoczne były na pobladłej twarzy starszego pana, tak wyraźnie, że doktorowi

zrobiło się go szkoda. Teraz byłoby głupio i niepoważnie wycofać się z tej propozycji. Wreszcie Cousin wziął się w garść i dzierżąc w dłoni skierowanie na badania, wyszedł z gabinetu z dumnie uniesionym podbródkiem. Obrzucił osoby zgromadzone w poczekalni spojrzeniem człowieka doświadczonego cierpieniem, lecz niepoddającego się losowi. Myjąc ręce, doktor Silviu spoglądał w zawieszony nad umywalką lustro.

– Kawał gnoja z ciebie – poinformował swoje odbicie. Odbicie usmiechnęło się lekko. No cóż, Jean-Jacques zyska pewność, że jego jelita są w całkowitym porządku, a w przyszłości dobrze się zastanowi, zanim wymyśli kolejną przypadłość do natychmiastowego leczenia.

Następna pacjentka, czteroletnia Marie-Anne, która przyszła z mamą, miała mocno zaczerwienione gardło, biały nalot na migdałkach i podwyższoną temperaturę. Ona dla odmiany upierała się, że jest zupełnie zdrowa, a syropku piła nie będzie, bo jest niedobry.

.....

4 *Tout le monde* (fr.) – wszyscy; tu: Pan Každy.

5 *Le même* (fr.) – taki sam, ten sam; tu: Pani Takasama.

6 Dawne pokoje dla służby w domach burżuazji, współcześnie wynajmowane studentom i niezamożnym pracownikom. Zwykle znajdują się na poddaszach i można się do nich dostać tylko oddzielnymi „schodami serwisowymi”.

## ROZDZIAŁ VI

Ionut był zmęczony. Zanim włączył silnik, pogrzebał w bałaganie na tylnym siedzeniu samochodu. Znalazł torebkę z zeschniętym croissantem. Jadąc, skubał kawałki rogalika. Na sypiące się wszędzie okruchy nie zwracał uwagi. Nie miał czasu zjeść w południe, a po wizytach domowych czekała go przecież jeszcze rozmowa z komisarzem Olovskim. Miał do pokonania osiem kilometrów – tyle dzieliło to maleńkie *hameau*<sup>2</sup> od centrum La Ferté. Dla czterech niskich kamiennych domków, przycupniętych na brzegu sporego stawu czy też niewielkiego jeziora, czasy świetności dawno minęły. Jeden z budynków, nieco bardziej oddalony od pozostałych, miał zabite deskami okna, uszkodzony dach i wyblakłą tablicę z napisem „Na sprzedaż” przymocowaną do drzwi. Następny w kolejności odznaczał się przystrzyżonym trawnikiem, na którym poniewierały się kolorowe plastikowe zabawki. Jako jedyny ogrodzony był zieloną siatką, a w oknach stały skrzynki z kwitnącymi begoniami. Pozostałe dwa domy różniły się tylko kolorem okiennic, bo stan zapuszczenia był podobny. Pacjentka Ionuta, Odile Listonoszka, mieszkała w tym z białymi okiennicami, zaś sąsiedzi, Patrick i jego dwudziestoletni wnuk Kevin, preferowali kolor niebieski.

Silviu lubił Odile. Miała osiemdziesiąt sześć lat, hodowała kury i za nic w świecie nie chciała zgodzić się na pobyt w szpitalu. Na zamieszkanie w domu starców zwyczajnie nie było jej stać. Odile częściowo straciła wzrok w idiotycznym wypadku. Rąbała szczapy do kominka i kawał drewna tak nieszczęśliwie odprysnęła, że zranił ją w oko. Opatrunek zrobiła sobie sama i gdyby nie Patrick, który bez jej wiedzy wezwał strażaków, mogło się to skończyć jeszcze gorzej, bo rana jątrzyła się i stan zapalny obejmował coraz większy obszar. Od tamtej pory Listonoszka bez fałszywej skromności paraduje po świecie z odsłoniętym, brzydko zabliźnionym oczodołem, nie widząc potrzeby zasłaniania się ciemnymi okularami czy innymi opaskami, ale za to godzi się od czasu do czasu na pomoc lekarzy. I tak naprawdę nazywa się Odile Hautecoeur, o czym nikt już prawie nie pamięta, bo od zawsze wszyscy mówią na nią po prostu Odile Listonoszka. Trochę od niej samej, a trochę od Patricka (jej równolatka) Silviu dowiedział się całkiem sporo o tej upartej, twardej kobiecie. Zaczęła pracować jako listonoszka, jeszcze zanim skończyła dwadzieścia lat. Najpierw jeździła po okolicy rowerem, z torbą przewieszoną przez ramię, potem przesiadła się na skuter. Znała wszystkich w okolicy i wszyscy znali ją. Nigdy nie wyszła za mąż, nie miała dzieci. Była jedynaczką i oprócz pracy na pocztce musiała zajmować się domem, niewielkim gospodarstwem, pomagać rodzicom, a w końcu opiekować się nimi, coraz bardziej bezradnymi i niedołączonymi. I tak minęło życie.

Ionut siedział teraz w jej maleńkim domku przy kuchennym stole przykrytym wypłowiałą ceratą, i zastanawiał się, w jaki jeszcze sposób może jej pomóc. Wewnątrz panowała wilgoć, a dawno niemyte szyby przepuszczały zaledwie nikłe światło. Odile męczył paskudny suchy kaszel, oddychała płytko, była blada i senna. Nie powinien tego robić, ale zostawił jej podstawowe leki, które woził ze sobą na takie właśnie okazje. Syrop, tabletki Lebretona i rozgrzewającą maść, która powinna nieco ulżyć zreumatyzowanym stawom. Wyszedł przed dom, żeby złapać zasięg i zadzwonił do pielęgniarki, umawiając wizyty u pacjentki dwa razy w tygodniu przez najbliższy czas. Przy okazji porozmawiał z Patrickiem kręcącym się niespokojnie po obejściu.

– No i co z nią, doktorze? Bo wie pan, jak tylko zauważyłem, że kury wyszła nakarmić dopiero koło południa, a i to jeszcze w koszuli nocnej, to tak sobie pomyślałem, że lepiej do pana zadzwonię.

– I bardzo dobrze pan zrobił. Jest osłabiona. Pielęgniarka przyjedzie jutro przed południem, a do tego czasu... Czy dałoby się jakoś to załatwić, żeby ona zjadła coś ciepłego? Wie pan, ja mam jeszcze pacjentów, a... – Rubaszny cios w plecy sprawił, że Ionut prawie się zachłysnął.

– Z tym nie będzie problemu. Odkąd przeszedłem na emeryturę, z przyjemnością zajmuję się gotowaniem, i całkiem nieźle mi to wychodzi, mówiąc szczerze. Mam cały rondel potrawy z kurczaka, a z wczoraj zostało sporo zupy z porów. Jakoś nie potrafię gotować małych porcji. A tak po prawdzie to czasami próbowałem coś podzucić

Odile, ale wie pan, jaka ona jest. Przyjąć niczego nie chciała i jeszcze mnie nie raz ofuknęła. No ale teraz to co innego, teraz to prawie jak na receptę – zaśmiał się, zakrztusił i splunął elegancko, w bok, przez ramię. – Teraz to można powiedzieć, że zje moją potrawkę na polecenie lekarza, no nie?

– Tak, ma pan rację. – Silviu uśmiechnął się, spojrzął na zegarek i dodał: – I wie pan, gdyby przy okazji dało się tam u niej trochę przewietrzyć, może rozpalic ogień w kominku?

– Niech się pan nie martwi, doktorze. Zagonię mojego Kevina do roboty. Odkąd się zapisał do strażaków, całkiem dobry chłopak się z niego zrobił. A już myślałem, że skończy jak jego ojciec. – Stary zamyślił się na chwilę, odchrząknął i znów splunął. – W końcu to Odile nauczyła go jeździć motorem. Niech chociaż tak się odwdzięczy.

– No, to byłoby świetnie. Dziękuję panu. Z pielęgniarką będę w kontakcie, ale gdyby coś się działo, coś by pana zaniepokoiło, niech pan dzwoni. Telefon mam zawsze przy sobie, na pewno odbiorę.

Szutrowa dróżka wyprowadziła go na nieco szerszą asfaltową. We wstecznym lusterku zobaczył jeszcze Patricka, jak zagląda przez okno do mieszkania Listonoszki, a po chwili, lekko kuśtykając, idzie w stronę swojego domu. Za kilka minut powinien być w La Ferté. Nawet jeśli podjedzie na parking pod dworcem i stamtąd przejdzie pieszo do gabinetu, nie powinien się zbyt dużo spóźnić. Miał nadzieję, że Olovski zaczeka. Na szczęście drzwi do poczekalni w ciągu dnia były otwarte, a miał wrażenie, że komisarzowi zależy na spotkaniu. Mimo to jechał szybciej, niż powinien. Dziesięcioletni peugeot pojeżdżał na wybojach i przypominał o zbyt sztywnym zawieszeniu, no i że najwyższy czas na bardzo dokładny przegląd techniczny.

W poczekalni zastał Olovskiego i Wolny siedzących w absolutnej ciszy. Komisarz postawił na krześle sporej wielkości kartonowe pudło, splótł ręce na brzuchu i zdawał się drzemać. Polka, skulona w kącie, ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w niewyraźny za matowym szkłem widok za oknem.

– Przepraszam za spóźnienie, dłużej mi zeszło u pacjenta.

– Nic nie szkodzi, doktorze, nic nie szkodzi – stwierdził łaskawie Olovski. Wsparł się na oparciu krzesła i niespiesznie wstał. Wolny, zgarbiona, nadal siedziała na swoim miejscu. Unikała spojrzeń i w ogóle wyglądała na bardzo spiętą.

– Proszę do gabinetu, proszę za mną. – Silviu otwierał drzwi kolejnymi kluczami. Marzył o szklance wody i możliwości zdjęcia butów. Wodę miał w lodówce, ze zdjęciem butów musiał się jeszcze wstrzymać. Karton wyładował na biurku, Olovski na krześle, a Wolny przycupnęła na składanym stołeczku pod ścianą.

– Co państwa sprowadza? – zagaił Silviu, bo nie był pewien, czy ma udzielić porady lekarskiej, czy też potraktować tę wizytę jako prywatną.

– Ma pan tu lodówkę, doktorze? – Serge rozejrzał się po gabinecie.

– Tak. Taką małą, na napoje. Tam, w kącie. A właśnie, może napijecie się państwo czegoś chłodnego?

– Ja chętnie. Spociłem się, dźwigając to pudło. – Stary wstał i podszedł do małej lodóweczki stojącej na szafce z lekami i środkami pierwszej pomocy. Otworzył drzwiczki i zlustrował wnętrze. Lodówka miała małą pojemność, ale Ionut trzymał tam jedynie butelkę wody mineralnej, karton soku owocowego i swoją wczorajszą kanapkę. – Nada się – mruknął komisarz. Wyjął wodę i sok, kanapkę obwąchał, po czym wyrzucił do kosza.

– To co, woda, sok? – Czuł się jak u siebie. – Ma pan tu szklanki?

Silviu poderwał się zza biurka i sięgnął po jednorazowe papierowe kubki. Zauważył przy okazji, że towarzyszka Olovskiego wdrygnęła się, pobladała i razem ze stołkiem przesunęła się bliżej okna. Podając jej kubek, zapytał, czy wszystko dobrze, ale kobieta machnęła tylko ręką i mrużąc: „tak, tak, w porządku”, wycofała się do swojego kąta. Nalewał napoje i obserwował poczynania komisarza. Nadal nie wiedział, o co chodzi. Pił łąpczywie chłodną wodę, Serge opróżnił od razu pół szklanki, i tylko Polka sączyła napój drobnymi łykami, jak ktoś, kto ma trudności z przełykaniem.

– Doktorze, niech mi pan powie, czy pan potrafi przeprowadzić sekcję zwłok? – zapytał Olovski tonem towarzyskiej pogawędki.

– Czy potrafię? No tak, teoretycznie potrafię. Wprawdzie ostatni raz zdarzyło mi się przeprowadzać autopsję dobrych kilka lat temu, ale myślę, że poradziłbym sobie, gdyby zaszła taka konieczność. Oczywiście musiałbym

sobie to i owo przypomnieć... Ale dlaczego pan pyta?

– A tutaj dałoby się to zrobić? W pana gabinecie?

– Tutaj? Absolutnie nie. Skądże znowu! Przecież...

Komisarz nie pozwolił mu dokończyć.

– A gdyby chodziło o kota?

Zapadła cisza. Ionut, mimo znakomitej znajomości języka francuskiego i po wielu latach pobytu w tym kraju, miewał trudności ze zrozumieniem niektórych wyrażeń idiomatycznych czy gwarowych. Niekiedy problem sprawiały osoby mówiące niewyraźnie albo z jakąś regionalną intonacją. Olovski nie używał *argot*<sup>8</sup>, wymowę miał bardzo poprawną, jednak w zmęczonej głowie Rumuna rozpuściła się chwilowa burza. Kota? Jakiego, na litość boską, kota? Bał się kompromitacji, tak jak kiedyś, na początku swojego pobytu we Francji, kiedy to rozmawiał z matką koleżanki, elegancką stateczną kobietą. Wiedząc, że Ionut jest lekarzem, opowiadała, jak to podczas wycieczki na wieś zemdlala<sup>9</sup>, a on, idiota, zaczął wypytywać ją o upodobania do owoców i snuć opowieść o starym sadzie dziadków, gdzieś pod Sinaią, w którym bawił się jako mały chłopak. Madame uznała, że jest bezdusznym arogantem, koleżanka cała w rumieńcach usiłowała załagodzić sytuację, a jej kilkunastoletni brat, który najwcześniej zorientował się, na czym polega nieporozumienie, dolewał oliwy do ognia, drażniąc na zmianę obrażoną matkę i zdeprymowanego Ionuta. Może więc ten kot to właśnie coś takiego? Jakiś policyjny slang? Dowcipne gwarowe określenie?

Wpatrywał się w komisarza, którego uśmiech byłby sympatyczny i niewinny, gdyby nie zmrużone oczy i dość niechlujny wczorajszy zarost. No i ta Polka. Kątem oka zauważył, że zbłądła jeszcze bardziej i jęknęła cicho.

– Kota? – upewnił się

– Kota – wyjaśnił życzliwie Olovski i zaczął rozpakowywać kartonowe pudło. – Mam go tutaj. Nie znam się na tym, ale chyba dobrze by było, żeby go pan do czasu... hmm, zabiegu przechowywał w lodówce.

Zaszleściła folia. Wolny wpatrywała się w sufit i raz za razem przełykała ślinę. Ionut podszedł bliżej i niepewnie zajrzał do środka. Żałosne kocie zwłoki spoczywały na dnie kartonu, spowite w czarny worek na śmieci. Nie przestając się uśmiechać, Serge wskazał na lodówkę w kącie gabinetu.

– Jak pan widzi, to w sumie mała kocina, zmieści się nawet w tej.

To był jeden z takich momentów, kiedy człowiek ma w głowie absolutną pustkę, a mimo to mówi i robi różne rzeczy, sam nie wiedząc jak i dlaczego. A wszystko dzieje się jakby obok, poza jego wolą i świadomością. Ionut bardzo chciał zdjąć buty i dać odpocząć zmęczonym stopom. To wydawało mu się teraz najistotniejsze. Założył jednak jednorazowe rękawiczki, odruchowo spróbował odszukać u kota puls, mimo iż na pierwszy rzut oka widać było, że zwierzak jest bardzo solidnie nieżywy. Następnie starannie zawinął zwłoki w ten sam worek, w którym przytransportował je Olovski i umieścił zawiniątko w swojej gabinetowej lodówce na napoje. Karton rozerwał, spłaszczyl, złożył i wcisnął za kosz na śmieci. Metodycznie uprzątnął papierowe kubki, butelki, poprawił ustawienie krzeseł, tak żeby gabinet był gotowy na przyjęcie pacjentów. Potem jeszcze wyłączył komputer i dopiero wtedy zaproponował swoim gościom:

– Zapraszam państwa do mnie, do mieszkania. Muszę się przebrać. Napijemy się czegoś mocniejszego, a pan, komisarzu, wszystko spokojnie mi wyjaśni, dobrze?

Wspinali się gęsiego, w półmroku krętej klatki schodowej: Silviu pierwszy, gnany myślą o wygodnych pantoflach i miękkiej bluzie, za nim milcząca Ewa Wolny, na końcu zaś zadowolony z siebie Olovski. Dopiero gdy usadowili się wszyscy w dość ciemnym i zagraconym pokoju, a komisarz zaczął swoją opowieść, Ewa poczuła się lepiej. Popijała mocną słodką herbatę, kocie zwłoki zniknęły z jej pola widzenia i, co najważniejsze, powoli odzyskiwała wiarę w jasność umysłu Serge'a. Bo trzeba przyznać, że ją to ociupinę dręczyło. Obawiała się, czy przyjaciel przypadkiem troszeczkę nie zwariował. Doktor Silviu też musiał mieć wątpliwości co do stanu psychicznego Olovskiego, bo wydawał się nieco zakłopotany, a nawet zagubiony. Kiedy wrócił do salonu ubrany w luźne dżinsy, jasną bawełnianą bluzę i dość zniszczone tenisówki, nalał sobie kieliszek wina, usiadł na wprost komisarza i tonem, jakim Ewa czasami przemawiała do rozkapryszonych dzieci, spokojnie, wyraźnie artykułując słowa, powiedział:

– Proszę mi teraz wszystko dokładnie opowiedzieć, panie komisarzu. I proszę się nie spieszyć.

Serge uśmiechnął się znad kieliszka.

– Przede wszystkim chciałem was uspokoić, że nie odbiło mi całkowicie, jak to obydwójce podejrzewacie. – W tym momencie jego uśmiech był wręcz promienny, jednak zaraz potem spowaźniał i mówił już zupełnie normalnie: – Poruszyły pana zgony niektórych pacjentów, które nazwał pan „nieoczekiwanymi”. Przyszedł pan z tym do mnie po pogrzebie nieszczęsnej pani Ambroise, która miała swoje lata, chorowała długo i ogólnie nie była w najlepszej formie. Pana może to zaniepokoiło, ale wybaczy pan, jak dla mnie była to śmierć niewzbudzająca podejrzeń. Ot, po prostu, umarła stara schorowana kobieta. – Komisarz zrobił krótką pauzę. – No ale zrobił mi pan to zestawienie. Obiecałem, że się przyjrzę i przyjrzałem się. Bez przekonania, to fakt, bardziej z nudów, ale przeanalizowałem wszelkie dane, które mi pan dostarczył. I cóż? Ano nic szczególnego, doktorze. – Olovski zakręcił kieliszkiem, łyknął wino. – Wiecie, pomyślałem, że trzeba to potraktować jako zwykłą zagadkę. Nie roztrząsać już, czy pan wymyśla, czy naprawdę coś tam było nie tak. Załóżmy, że bawimy się w „Znajdź mordercę” czy inną durną grę. Tylko w tym przypadku zabawa polegałaby raczej na udowodnieniu, że mordercy nie ma. Tak wtedy myślałem. – Pokiwał głową i poskrobał się po podbródku. – Na tej pana liście wypisał mi pan wszystko, co wie o „ofiarach”. A nasza droga Ewa kazała mi jeszcze do tego strzałki rysować. Najlepiej kolorowe. Znaleźć powiązania, punkty zbieżne i te różne rzeczy pokazywane w filmach kryminalnych. Tych danych mamy trochę mało, niewiele wiemy o życiu prywatnym tych ludzi, o ich przeszłości, przyzwyczajeniach, znajomych, no ale powiedzmy, że do naszej zabawy wystarczy. Przyjmijmy, że to takie celowe ograniczenie. – Silviu chciał coś wtrącić, ale komisarz powstrzymał go władcym gestem ręki. – No więc przeanalizowałem pana notatki, namalowałem całą masę strzałek. Na razie tylko czarnych, bo obiecane przez panią Wolny kolorowe pisaki ciągle jeszcze do mnie nie dotarły i wie pan, co mi wyszło? Jedyny punkt łączący ich wszystkich to pana gabinet. Czyli jedno z rozwiązań tej zagadki mogłoby brzmieć następująco: przepracowany lekarz pozbywa się co bardziej męczących pacjentów, a dla urozmaicenia nudnego życia emerytowanego gliny rozpętuje całą tę aferę.

Ionut poruszył się niespokojnie, ale nie przerywał, bo Olovski uniesionym palcem wskazującym zaakcentował efektowną przerwę w monologu i natychmiast wziął głęboki wdech z zamiarem kontynuowania:

– Ale to głupio brzmi, prawda? Mówił pan, że brał pod uwagę możliwość błędu w sztuce. Według mnie to także nie miało miejsca. Mógł się pan pomylić raz, źle zdiagnozować, coś przegapić, ale oni przecież uskarżali się na różne dolegliwości, a pan mi tu bardzo szczegółowo nawet ordynowane leki wypisał przy każdym nazwisku. No i właśnie, leki. Druga rzecz, która w sposób ewidentny łączyła tych ludzi, to konieczność kupowania leków. I tutaj musi pan uzupełnić moją wiedzę. Czy jest pan w stanie stwierdzić, gdzie pana pacjenci realizują recepty wypisywane przez pana?

– Recepty? No... nie wiem. Pewnie gdzie komu wygodniej. – Silviu pocierał czoło dłonią i bezradnie spoglądał na swoich gości. – Myśli pan, że to ważne?

– Myślę, że może być ważne.

– No cóż. Część na pewno kupowała u Lebretona, bo to tylko kilka domów dalej, no i w samym centrum. Czasami przepisywałem też leki robione, którymi nie dysponuje ta druga apteka. Różne maści, kremy. Przeważnie środki dermatologiczne. Czasami krople do oczu albo syropy dla dzieci przy nawracających infekcjach...

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego zaleca pan leki recepturowe?

– Cóż, starsi pacjenci nawet je wolą. Takie leki są tańsze, a swoją drogą to przy gotowych czasami ciężko dobrąć odpowiednią dawkę. Lebreton jest świetnym farmaceutą, doskonale zna się na swojej robocie. Mam pacjentkę z łuszczycą i od początku stosuję u niej maść, którą on robi. Zapewniam pana, że jest świetnie dostosowana do potrzeb tej kobiety. Gotowe preparaty nie działały u niej równie skutecznie... Ale niestety Lebreton ma mniej leków nowych, antybiotyków, sterydów. Jest, jakby to powiedzieć, trochę konserwatywny. I jeśli nie ma u niego czegoś, co przepisałem, to wtedy pewnie pacjent idzie do tej apteki obok przychodni albo kupuje gdzieś dalej, w Villers, w Soissons, w Paryżu nawet.

– Hmm... – Serge demonstracyjnie podstawił pusty kieliszek, a gospodarz skwapliwie go napełnił. – A te słynne cudowne tabletki Lebretona, to też pan przepisuje swoim pacjentom?

– To? – Silviu machnął lekceważąco ręką i zaśmiał się dobrotliwie. – To nie. To jest niegroźny suplement diety, na niego nie potrzeba recepty. Tutaj chyba wszyscy go kupują. Bardzo sprytnie go pan Yorick reklamuje i obraża się, jeśli się powie „suplement”. On woli określenie „lek naturalny”. Swoją drogą te tabletki mają bardzo ciekawy skład. Kiedyś, gdy tylko zacząłem tu pracować, zaprosił mnie do swojego laboratorium i towarzyszyłem mu przy produkcji. To są, wiecie państwo, wyciągi z...

– Dobrze, dobrze. Więc uważa pan, że to lek absolutnie nieszkodliwy?

– Absolutnie. Wręcz przeciwnie: wspomaga układ odpornościowy, trawienny, ogólnie wzmacnia witalność. Zwłaszcza że on je robi w nieco zmienionym składzie, na różne potrzeby, ale to są ekstrakty roślinne...

– Tylko że od tych nieszkodliwych wyciągów mój kot zdechł!

– Jak to zdechł?

– No, tak jak pan widział. Na śmierć zdechł. U pana w lodówce leży.

Ciszę zakłócały jedynie dochodzące z niższego piętra odgłosy włączonego telewizora. Silviu zastępnął z kieliszkiem wzniesionym jak przy toaście i nieefektywnie otwartymi ustami. Ewa usta miała wprawdzie zamknięte, ale czoło zmarszczone, bo przeprowadzała szybki proces myślowy, powszechnie znany jako dodawanie dwa do dwóch: żółte tabletki rozsypujące się po tarasie, kot polujący na toczące się małe kuleczki, potrącający je łapkami i wbijający w zdobyc zęby... To go zabiło? Spojrzała na Olovskiego. Palcem wydłubywał coś z kieliszka i udawał, że nie zwraca uwagi na nikogo. Nie wytrzymała.

– Serge, daj już spokój z tymi efektownymi pauzami! Wyjaśnij nam to do końca, dobrze? Myślisz, że kot się otrulił tabletkami Lebretona?

– Ale... – stęknął Silviu, a z piętra poniżej radośnie zagrał dzingiel Wiadomości TF1. – Kot nie powinien...

– Zgadzam się z panem, doktorze. Nie powinien, ale zeżał te pigułki i zdechł. Oczywiście na sto procent nie mogę być pewien, że właśnie od nich, i dlatego chciałbym, żeby pan mu zrobił sekcję i jakoś to sprawdził.

– Ale ja się nie znam na weterynarii! Wiem, że niektóre substancje są dla ludzi nieszkodliwe, a zwierzęta ich nie trawią...

– Tyle to i ja wiem. Pies mojej babki strasznie się pochorował, dyszał i latał w kółko, po tym jak go kuzynka nakarmiła czekoladkami. A co on potem zrobił w ogrodzie, to nawet nie chcę mówić...

– I nie mów, Serge! – wtrąciła Ewa.

– Teobromina – powiedział Ionut. – Przeżył piesek? – dopytał troskliwie.

– Rzygał, i w ogóle wszystko naraz, ale przeżył. Kuzynka też, ale do babki nie przyjeżdżała aż do pełnoletności. Bała się. Babki, bo pies to w sumie nie miał jej za złe.

– Panowie! Zostawmy tego psa i wróćmy do kota. – Wolny usiłowała zdyscyplinować towarzystwo, i udało jej się, bo obydwaj spojrzeli na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

– Mówił pan, że zna skład tych pigułek? Ja kilka połknąłem i żyję. Ale zapewniam was, że kot kilka zjadł i po jakimś czasie zaczął konać. W wymiocinach... A właśnie! – Olovski sięgnął po swoją nieodłączną torbę, wyjął z niej mały słoiczek i podał lekarzowi. – W wymiocinach zauważyłem coś jakby niestrawione resztki tych pastylek, takie jakieś ciemniejsze smugi. To może być po prostu żółć, ale na wszelki wypadek przyniosłem je do analizy.

– Chryste panie! – Ewa odstawiła z trzaskiem filiżankę.

– Może jednak czegoś mocniejszego się pani napije? – zapytał Ionut, zrywając się z fotela. Nie widział nawet, że skinęła głową, bo zniknęła w sąsiednim pokoju. Wrócił z tacą, na której ustawił butelkę z płynem w kolorze mocnej herbaty, trzy kieliszki, salaterkę z suszonymi bakaliami, orzeszki i torebkę chipsów. Rozlał każdemu ciemny trunk i dość łapczywie łyknął swoją porcję. – Sugeruje pan, komisarzu, że te tabletki otrują kota?

– Na razie tylko sugeruję. Ja żyję, a kot nie. Ewa też to łyka i, jak widać, jej też nie zaszkodziły, w dodatku twierdzi pan, że w La Ferté pastylki cieszą się dużą popularnością. Gdyby były trujące, to byśmy tu mieli pomór. Ale jeśli tak poznać przyczynę śmierci kota... No cóż, może przynajmniej udałoby się wykluczyć te moje niejasne

podejrzenia. Bo konieczność przyjmowania leków to jest, jak mówiłem, druga rzecz, jaka tych ludzi zdecydowanie łączy. – Serge wsadził sobie do ust całą garść bakalii i żuł w skupieniu. Doktor, marszcząc brwi, coś rozważał, a Ewa czuła, jak koniak rozgrzewa ją od środka i uspokaja.

– Jest pan w stanie zrobić tego typu badanie? – zwróciła się do Ionuta.

Silviu pokiwał głową.

– Tak. Chyba tak. Muszę sobie przedtem parę rzeczy przypomnieć, poczytać, no i zrobić odpowiednie zakupy. Jutro nie przyjmuję, więc do poniedziałku powinienem zdążyć... – Doktor stuknął palcem wskazującym w ułożone w dzióbek wargi i coś do siebie mruczał. Olovski obserwował go, czekając na ostateczną decyzję. – Myślę, że jutro wieczorem spróbuję. Ale nie obiecuję, że uda mi się coś wykryć. Gdzieś tu powinienem mieć jakieś stare książki o toksykologii, bo szukamy trucizny, prawda?

– Mnie to tak właśnie wyglądało – stwierdził Serge, odstawiając kieliszek. – Ale sam pan mówił, że kot mógł zareagować na któryś ze składników, który dla ludzi trujący nie jest. A właśnie, tabletki też panu przyniosłem. Da pan radę sprawdzić, co w nich jest? Mnie jakoś przeszła ochota, żeby sobie przy ich pomocy, jak pan to ładnie określił, „wzmocnić witalność”.

Doktor odprowadził ich do drzwi wejściowych. Na klatce schodowej starali się nie hałasować i może dlatego Ewa usłyszała skrzypnięcie zawiasów na pierwszym piętrze. Stara panna Marlot, zaspokoiwszy ciekawość, szybko wycofała się w głąb mieszkania.

\*\*\*

Był niedzielny wieczór, mimo to bar U Pascala świecił pustkami. Garstka zapalonych kibiców przed ekranem wiszącego na ścianie telewizora pokrzykiwała bądź pojękiwała, w zależności od sytuacji na boisku. Na szczęście transmitowano mecz rugby, i choć to sport bardzo we Francji popularny, kibiców gromadził znacznie mniej niż piłka nożna, no i zdecydowanie sympatyczniejszych, mniej agresywnych i nie tak hałaśliwych. Pascal od czasu do czasu spoglądał na ekran, głównie jednak zajmował się rozstawianiem na półkach naczyń przyniesionych właśnie ze zmywarki. Olovski i Wolny siedzieli przy swoim ulubionym stoliku. Był oddalony od telewizora, mogli więc rozmawiać spokojnie. Ewa, gdyby się nieco wychyliła, widziałaby z tego miejsca ciemne okna swojego domu, ale ten widok ją przygnębiał. Wolała spoglądać na przechodzących z rzadka przechodniów albo obserwować dom sąsiadów, państwa Bourdin, bo tam na tle oświetlonych wewnątrz można było dojrzeć czasem sylwetkę przesuwaną się za cienkimi zasłonami. Olovski przerwał jej szorowanie szafek kuchennych, więc bez żalu dała się wyciągnąć do Tabacu. Zmieniła tylko wypchane dresy na dzinsy, narzuciła cienki rozpinany sweter i dołączyła do Serge'a, który w tym czasie zamówił dla niej sok owocowy, a dla siebie lekkie piwo. Teraz siedział z nosem w „Le Parisien”, co jakiś czas sprawdzając telefon. Silviu nie dzwonił i nie odpowiadał na SMS-y. Olovski niecierpliwiał się i nie mógł usiedzieć w domu, co było najlepszym dowodem, że po katarze i bólu gardła nie został nawet ślad.

Rozmawiali chwilę na temat śmierci pani Ambroise, grubego pana Courta, Pierre'a Renarda i Veronique Delahaye, wyjątkowo żywej i ruchliwej staruszki. Serge, nawet jeśli znał tych ludzi, to tylko z widzenia. Z pewnością widywał ich czasem w miasteczku, ale nie znał nazwisk, losów ani chorób. Ewa dorabiała drobnymi pracami domowymi do niewielkiej renty po zmarłym mężu, z tej racji spotykała więcej osób i słyszała dużo więcej plotek.

Zdarzało jej się myć okna u pani Delahaye (a okien było sporo, wliczając dużą przeszkloną werandę), robić zakupy dla Pierre'a Renarda i wyprowadzać psy pani Ambroise. Patrick Court był natomiast częstym gościem u Renarda. Spędzali długie godziny, pisząc wspólnie opracowanie historii La Ferté. Najczęściej kończyło się to kłótniami o to, czyj artykuł jest lepszy, czyje zdjęcie ciekawsze i czyje materiały bardziej wartościowe. Była świadkiem tych sprzeczek, kręcąc się między kuchnią, łazienką a salonem, szorując, odkurzając i wietrząc, (zwłaszcza po każdym pobycie Pierre'a na chemioterapii), gdyż panowie nie zwracali na nią uwagi. Miała też okazję rzucić okiem na zgromadzone materiały. Renard chciał je uporządkować, kupił więc kiedyś stos papierowych teczek i poprosił Ewę o pomoc w selekcjonowaniu i segregowaniu całego tego bałaganu według jakiegoś nie do końca dla niej jasnego klucza. Wtedy pozbyła się resztek wątpliwości. Dzieje La Ferté w opracowaniu panów Renarda i Courta



raczej nie miały szans na sukces wydawniczy. Był to jedynie chaotyczny zbiór anegdot, starych listów, fotografii i pocztówek. Taka sympatyczna lokalna inicjatywa. Traktowanie powstającej książeczki jak wiekopomnego historycznego dzieła wyglądało na sporą przesadę. Obydwaj panowie mieli jednak poczucie misji, swój własny stolik w miejscowej bibliotece i pomysł, żeby zachęcić tutejszych przedsiębiorców do sfinansowania zarówno badań, jak i pokrycia kosztów wydawniczych. I tu pojawił się kolejny problem – lista firm była zasmucająco krótka, a ci nieliczni niezbyt palili się do współpracy, bo ledwo dopinali roczny budżet. Korzyści moralne, działalność dla dobra społeczności i inne tego typu argumenty nie przekonywały ani właścicieli kilku niewielkich knajpek czy warsztatów samochodowych, ani ponoć najbogatszego z nich – właściciela hotelu Alexandre. Tak więc praca merytoryczna utknęła, kłótnie zdarzały się coraz częściej, a śmierć Pierre’a Renarda załamałaby pewnie Patricka Courta, gdyby nie to, że wkrótce niespodziewanie sam zmarł na atak serca podczas podróży do rodziny.

Olovski z upodobaniem wysłuchiwał tych opowieści i od czasu do czasu zadawał pytania. Gromadził w ten sposób informacje bez konieczności opuszczania swojej samotni. Wiedział, że Ewa mimo trudności z mówieniem po francusku sporo rozumie. On sam po śmierci żony zamknął się w domu i nie wykazywał najmniejszej ochoty do nawiązywania nowych przyjaźni. Minęło już kilka lat, odkąd mieszkał w La Ferté, i wszystko wskazywało na to, że rola zgorzkniałego odludka całkiem mu odpowiada. Być może nie umiał sobie poradzić ze wstydem, bo to żal i wstyd były dojmującymi uczuciami po śmierci Marie-Hélène. Żal, bo ją kochał. A na pewno kiedyś kochał. A wstyd, bo powinien zauważyć, że pije, i jakoś zareagować. Wiedział przecież, że to hałaśliwe zachowanie, ta przesadzona gestykulacja i sposób mówienia z większym namysłem, z efektownymi przerwami, to nie jest jej nowy image, tylko skutek wypitych lampek wina. Tyle było różnych sygnałów, na które nie zwracał uwagi, bo nie chciał ich widzieć. To ona wymyśliła przeprowadzkę na wieś. Miała wizję sielskiej emerytury w pięknym domu z dziećmi przyjeżdżającymi na wakacje i proszonymi obiadami dla znajomych. On równie dobrze, a może nawet lepiej, czułby się w ich trzypokojowym apartamencie na drugim piętrze. Ale cóż, uległ bez walki. Godził się na wszystko. Dzieci już wtedy wyniosły się z domu, a on pracował, pracował, pracował. Trochę po to, żeby wystarczyło pieniędzy na te wszystkie plany, a trochę dlatego, że to, co kiedyś wydawało mu się w niej tak pociągające – ta niespożyta energia, te ciągle zmieniające się marzenia, znajomi, których zawsze było pełno i ciągle się zmieniali – to wszystko, co na zasadzie przeciwieństw przyciągało go do niej na początku związku, po latach coraz częściej męczyło i drażniło. Skwapliwie zgodził się na przeprowadzkę, zakup domu, urządzenie nowego życia. Miała zajęcie, a on – święty spokój. Aż do tego wieczoru, kiedy, wracając z zakupów, zabiła siebie i dwoje Bogu ducha winnych ludzi jadących z naprzeciwka. Pijana w sztok. Pewnie dlatego z jakąś masochistyczną determinacją zanurzył się w samotność.

Z Ewą Wolny zaprzyjaźnił się zupełnie przez przypadek. Jemu przypięto łatkę „starego dziwaka”, ona była „tą Polką, która sprząta”. Jeszcze nie przyzwyczała się do samotnego życia, nie chciała tego. Naznaczona przedwczesną śmiercią męża, gorzej znosiła usamodzielnianie się dzieci. Ale nie była nachalna i nie wchodziła mu na głowę. Udawało im się w tej przyjaźni zachować higieniczny dystans. No i dzięki niej miał okazję mówić po polsku, w języku, o którym myślał, że zupełnie wywietrzała mu z głowy. Rozmawiał po polsku z dziadkami. Rodzice nawet między sobą posługiwali się już tylko francuskim. Jedynie czasami podczas rodzinnych uroczystości, we własnym gronie, ktoś przypominał jakiś zwrot, przysłowie, anegdotę. Ale po śmierci dziadków brzmiało to jakoś obco i sztucznie. Zdarzało mu się przesłuchiwać Polaków zamieszanych w sprawy, które prowadził. Od razu zyskiwał wtedy ich sympatię, wiadomo – gada po naszymu, znaczy swój człowiek. Te rozmowy powiększyły wprawdzie jego słownictwo o zestaw inwektyw i wulgaryzmów, nieco odświeżały zapominane umiejętności, ale nijak miały się do barwnych opowieści ukochanej babci Dybukowej, matki jego matki. Pod koniec lat osiemdziesiątych za namową swojej ówczesnej dziewczyny wybrał się na tygodniowy urlop do Polski. W planie było zwiedzanie Warszawy, Krakowa, kopalni w Wieliczce i obozu w Oświęcimiu. Po powrocie wiedział na pewno dwie rzeczy: że nigdy więcej nie pojedzie na zorganizowaną wycieczkę, i że związek, z którym wiązał pewne nadzieje, właśnie się rozpadł. A wspomnienia z kraju przodków? Te zlały się w jakiś zamglony obraz: mieszaninę żywiołowości, nieszczerości, zagrożenia, zawziętości, kompleksów, dumy i nadziei. Ewa Wolny mówiła powoli i wyraźnie, rozumiała wtrącane zwroty francuskie i pomagała mu odświeżyć zapomniane polskie wyrażenia. Nie naciskała przy tym i nie zmuszała do wysiłku. Zaczęło go to bawić. Mówił coraz chętniej i coraz swobodniej, a nawet kupił pięćsetstronicowy *Słownik*

*idiomów polskich*, mocno przepłacając koszt przesyłki. Na dodatek mieli podobne problemy, zbliżone poglądy na wiele spraw i porównywalną miesięcznie ilość pieniędzy do wydania na przyjemności. Właśnie część tych środków zamieniali na napoje w zaprzyjaźnionym barze PMU<sup>10</sup> U Pascala, sprawiedliwie dzieląc się kosztami. Olovski miał ochotę na drugie piwo, Ewa zastanawiała się, czy nie poprosić Pascala o kieliszek *cointreau*<sup>11</sup>. Dawno zauważyła, że im mniej miała pieniędzy, tym częściej ogarniała ją straceńcza chęć na nierozsądne szaleństwa. Rozmowa przestała się kleić. Olovski powoli godził się z myślą, że Silviu pozostanie nieuchwytny do końca dnia. Plotki na temat osób z listy doktora niczego nowego do sprawy nie wносиły, a dopóki nie poznają rzeczywistej przyczyny śmierci kota, przypuszczenia Serge'a pozostaną ciągle tylko niepotwierdzonymi domysłami. – Mam ochotę przyjrzeć się bliżej temu Lebretonowi – powiedział w końcu Olovski, chowając telefon do kieszeni.

– W jaki sposób? Będziesz go podglądał przez okno? Wezwiesz na przesłuchanie do siebie na rue du Château? – Zlizywała z warg słodko-gorzki smak likieru i spoglądała na zamyślnego Serge'a.

– Nie wiem jeszcze, ale chętnie wybrałbym się do apteki i porozmawiał o jego cudownych tabletkach. Mam nadzieję, że do tego czasu Ionut odezwie się i powie, co udało mu się w tym kocie znaleźć.

Ewa wzruszyła ramionami.

– Nie wiadomo, co znajdzie. Mnie się po prostu wydaje, że koty nie powinny zjadać ludzkich tabletek. Zaskodziło mu, i tyle, a ty od razu snujesz jakieś mordercze teorie. Sam mówiłeś, że te tabletki łyka od lat całe La Ferté. Podobno ojciec Yoricka sprzedawał je, zanim jeszcze przyszła moda na suplementy. A może nawet i dziadek? I nikt się jakoś przez te wszystkie lata nie otruł. Tylko ten twój kot.

– No chyba że te kilka osób z listy Silviu – wtrącił Olovski z satysfakcją.

– Nie wiem, dlaczego tak się czepiasz tego biednego Lebretona.

Serge pochylił się nad stołem i teatralnym szeptem wyznał:

– Krzywo się na mnie popatrzyl.

I w tym momencie zadzwoniła mu w kieszeni komórka.

---

<sup>7</sup> *Hameau* (fr.) – osada, przysiółek.

<sup>8</sup> *Argot* (fr.) – gwara, żargon.

<sup>9</sup> Zemdlec – (fr.) *être dans les pommes*, co znaczy: być w jabłkach, upaść w jabłka.

<sup>10</sup> *Le Pari Mutuel Urbain* (PMU) to francuska firma bukmacherska. Na prowincji przyjmowaniem zakładów na wyścigi konne, sprzedają losów różnego rodzaju loterii zajmują się głównie małe bary i sklepiki. Właściciel posiadający zezwolenie na tego typu działalność umieszcza w widocznym miejscu charakterystyczne zielone logo z białym napisem „PMU”. Stąd w potocznym języku francuskim zamiennie używane są określenia „bar”, „Tabac” (zezwolenie na sprzedaż wyrobów tytoniowych) czy „PMU”.

<sup>11</sup> *Cointreau* (fr.) – likier z gorzkich pomarańczy, najczęściej hiszpańskich i haitańskich. Jest likierem typu triple sec. Pija się go bez dodatków, najczęściej z lodem, jako aperitif, najczęściej jednak stanowi składnik drinków (źródło: Wikipedia).

## ROZDZIAŁ VII

W soboty okiennice apteki zamknięte były już od południa. Zwyczajowo nad porcelanowym przyciskiem dzwonnka umieszczał tabliczkę z napisem: „W nagłych przypadkach proszę dzwonić”, ale w ciągu ostatnich kilku lat dzwonek odezwał się tylko raz. Była to młoda dziewczyna z plecakiem. Potrzebowała środków higienicznych. Towarzyszył jej przyszczaty chłopak w brudnej koszulce, z zapalką w kąciку ust, który unikał patrzenia w oczy i śmierdział ostrym młodzieńczym potem.

Dał jej paczkę podpasek i dorzucił tabletki z paracetamolem. Wygrzebane z kieszeni dzinsów pieniądze były wygniecione i ciepłe ciepłem jej ciała. Brakowało trzydziestu centymów. Zastanawiał się później, czy nie zrezygnować z tabliczki nad dzwonkiem, jednak w końcu zostawił wszystko po staremu.

W tę sobotę przyszła tylko jedna klientka. Cicha i spokojna pani Renard, była żona niedawno zmarłego Pierre’a. Byli rozwiedzeni od kilkunastu lat, ale to właśnie jej Pierre zapisał w testamencie swój rodzinny dom, czyli jedyny majątek, jaki posiadał. Przyjechała do La Ferté jakiś miesiąc temu w celu załatwienia formalności związanych ze spadkiem. Mówiono, że zamieszka w domu byłego męża, mimo że w czasie choroby ani razu go nie odwiedziła, nie uczestniczyła też w pogrzebie. Miejscowe wyrocznie w kwestiach moralności i savoir-vivre’u dawały jej odczuć swoją dezaprobatę chłodnymi spojrzeniami i towarzyskim ostracyzmem. Yorick ją lubił. W ładnej niegdyś, choć dziś już zniszczonej twarzy, było coś ujmującego. Smutek i spokój. I pewien rodzaj arystokratycznej dumy, który mu imponował. Patrząc na nią, myślał, jak dobrze się stało, że ten stary bufon Pierre odszedł wreszcie do lepszego świata. Nie dziwił się, że się z nim rozwiódła, raczej szukał usprawiedliwienia, dlaczego kiedykolwiek chciała za niego wyjść. Ignorant, megaloman, bezczelny fanfaron – taka była opinia Lebretona o powszechnie szanowanym Renardzie. A ten jego dom to żaden cud. Zwykły pawilon z otwartą kuchnią i dwoma sypialniami na poddaszu. Zdawał sobie jednak sprawę, że łatwo go ogrzać, a wszelkie instalacje są w dużo lepszym stanie niż w starych, setki razy przerabianych budynkach. Serdecznie więc życzył pani Renard, żeby jej się dobrze i wygodnie mieszkało. Zwłaszcza że, sądząc po strojach, nie powodziło jej się najlepiej. Ubierała się starannie i z dużym wyczuciem smaku, ale wszystko, co miała na sobie, nosiło ślady zużycia. Obsłużył ją z dużą atencją, dorzucił gratis opakowanie tabletek Lebretona, namawiając do systematycznego stosowania, żeby uchronić się przed jesiennym spadkiem formy, życzył dobrego dnia i z uśmiechem odprowadził wzrokiem oddalającą się sylwetkę. Potem pozostało mu już tylko zająć się wystawą.

Zaczął od przetarcia wilgotną ściereczką całej wnęki. Potem poprawił ustawienie bukietu, poprzesuwał pozostałe elementy wystroju i wreszcie delikatnie podniósł lalkę. Rozejrzał się przy tym dookoła, czy nikt nie przechodzi akurat ulicą. Zgasił lampę, tę z prawej strony witryny, i zamknął okiennicę od środka. Upewnił się jeszcze, czy przekręcił klucz w zamku i niosąc zabawkę przytuloną do ramienia jak małe dziecko, poszedł do łazienki. Wszystko było już przygotowane: mała plastikowa wanienka, gąbki i miękkie ręczniki, mydło i balsam do przecierania porcelanowej twarzyczki. Na komodzie obok leżał zestaw ubrań, które miał zamiar wykorzystać. Nieświadomie zaciskał usta, pociły mu się ręce i drżały trochę, gdy rozpinął małe perłowe guziczki, wszystkie te staroświeckie haftki i zatrzaski. Delikatnie, warstwa po warstwie zdejmował ubranka. Składał starannie i odkładał na bok. Praniem zajmie się jutro. Nerwowo nasłuchiwał odgłosów domu, gotów natychmiast przerwać, gdyby jakieś podejrzone dźwięki wzbudziły jego niepokój. Własny świszczący oddech przeszkadzał mu, więc co chwila zamierał w kompletnym bezruchu, i dopiero upewniwszy się, że to tylko trzeszczenie desek, szum wody w grzejnikach albo mruczenie lodówki, odważał się poruszyć. Jak zwykle musiał kilka razy głęboko odetchnąć, zanim zdjął ostatnią batystową haleczkę z koronkową falbanką. Nie mógł się powstrzymać. Zawsze kończyło się tak samo. Zaciskał powieki, żeby powstrzymać łzy. Pociemniały drewniany korpus lalki, poszarpane ze starości sznureczki łączące piękne porcelanowe ramiona, nogi i głowę z odrażającym drewnianym klockiem – najpierw doprowadzały go do

rozpaczy, a potem powodowały wściekłość. Po tych wszystkich latach wiedział już, że to nie jej wina, uczucia były jednak ciągle tak samo żywe. Bolały za każdym razem. Z przyzwyczajenia rozejrzał się, czy nikt nie patrzy. Zrzucił brudne ubranka na podłogę i deptał je zapamiętałe. Potem kopnął kosz na śmieci, w końcu uderzył pięścią w kafelki nad wanną i kilka razy głęboko odetchnął, rozcierając obolałą dłoń. Piekące łzy zebrały się w kącikach oczu i spływały, łaskocząc policzki. Przytknął czoło do chłodnych płytek nad umywalką i powoli uspokajał oddech. Teraz już mógł rogiem zamoczonej w mydlinach gąbki przemywać delikatnie malowaną buzię, pulchne rączki i krągłe nóżki. Potem zajął się myciem włosów. Omijanie wzrokiem obrzydliwego burego korpusu było w tym wszystkim najtrudniejsze. Kiedy wreszcie wytarł lalkę do sucha i wtarł w malowaną buzię odrobinę maści z aloesu, mógł z prawdziwą przyjemnością założyć jej czystą haleczkę. Była marszczona w pasie i obszyta na dole białym króliczym futerkiem. Wstrętny ciemny klocek wreszcie został zakryty delikatnym materiałem. Dopiero wtedy wziął się za suszenie i układanie loków. Skończył późnym wieczorem. Kolację zjadł w jadalni, mimo że w pokoju panował chłód. Znad talerza spoglądał na wystrojoną w aksamitny komplecik lalkę, od czasu do czasu przepijając do niej kieliszkiem wina. Czekala go pracowita niedziela. Zaplanował, że przedpołudnie spędzi w laboratorium, a po późnym obiedzie zajmie się poszukiwaniem dodatkowych elementów wystroju witryny. Współpraca z doktorem Silviu napawała go optymizmem. Postanowił nieco odważniej reklamować tabletki Lebretona i inne specyfiki własnej produkcji. Gdzieś na strychu powinny być oprawione stronice starego zielnika. Mógłby je umieścić na wystawie, nad kilkoma opakowaniami tabletek. Zasiadł się w laboratorium. Był pasjonatem. Praca go wciągała, tracił poczucie czasu i nie odczuwał zmęczenia, zwłaszcza kiedy to, co robił, miało w sobie element twórczy. A jego projekt taki właśnie był. Nieco ryzykowny, lecz twórczy. Wkrótce powinien przerwać na kilka miesięcy, bo czynnik ryzyka zwiększał się przy wydłużonym czasie, ale aparat Soxhleta bulgotał i syczał kusząco, a ekstrakty czekały w moździerzach lub szczelnie zamknięte w ekzykatorze. Wiedział, że ryzykuje, ale ostatnio ryzyko podniecało go, coraz odważniej eksperymentował. Tak trudno było się powstrzymać, widząc efekty. Przygotował zatem kilka opakowań specjalnych tabletek, opisał je sobie znanymi symbolami i schował do zamykanej na kluczyk dolnej szuflady. Potem uporządkował laboratorium i przygotował lekką kolację. Był w bardzo dobrym humorze. Podśpiewywał pod nosem, doglądając gotującej się soczewicy, a przechodząc obok fotela, na którym usadowił lalkę, delikatnie podskubywał jej świeżo ufryzowane loki. Miał zamiar posadzić ją w witrynie dopiero w poniedziałek, tuż przed otwarciem apteki. Do tego czasu chciał cieszyć się jej towarzystwem. Dzwonek telefonu wystraszył go. Zabrzmiał przeraźliwie głośno w wieczornej ciszy domu. Dzwonił doktor Silviu z propozycją spotkania! Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Jadł ze wzrokiem wbitym w szafirowe porcelanowe oczy lalki. Dopiero przy herbacie nieco oprzytomniał. Rozparł się w fotelu i zaczął układać scenariusze spotkania, mruczał pod nosem te swoje wymyślone dialogi, aż nabrał ochoty na kieliszek piołunowej nalewki. Budzik nastawił o kwadrans wcześniej niż zwykle, postanowił bowiem przygotować sobie szczególne ubranie – coś niezobowiązującego, lecz eleganckiego, coś, co pasowałoby do jego stanu ducha. Zastanawiał się nad grafitową kamizelką w srebrne prążki. Ale wtedy który krawat? Zasypiał z uśmiechem na twarzy i ogórkowymi kompresami na powiekach.

\*\*\*

Olovski nie spał najlepiej. Pocił się, nie mógł znaleźć wygodnej pozycji, a próby czytania kończyły się łzawieniem oczu. Zresztą i tak nie bardzo wiedział, co czyta, bo kłębiły mu się pod czaszką bezładne myśli. Wieczorna rozmowa z Ionutem Silviu potwierdziła to, czego był prawie pewien. Kot się otruł. Doktorek podawał w wątpliwość, czy spowodowały to tabletki Lebretona. Zupełnie jakby zamienili się rolami. Teraz to Silviu był sceptyczny.

– Mógł coś zjeść w ogrodzie. Zatruc się jakimś podtrutym gryzoniem lub ptakiem – przekonywał.

Mógł. Pewnie, że mógł, ale Silviu nie widział, jak kot rzucił się na spadające ze stołu i toczące się po tarasie pastylki. Połknął ich co najmniej kilka, jeszcze łapki potem wylizywał. Musiały mu smakować. Przeżył kilkanaście lat, leniwie przyglądając się ptakom, i nagle obudził się w nim instynkt łowcy? Wykluczyć tego nie można, ale byłby to naprawdę przedziwny zbieg okoliczności. No i Silviu mówił coś o alkaloidach roślinnych. Kto tym truje myszy? Tak często przewracał się z boku na bok, że prześcieradło zwinęło się pod nim, a kołdra zwiślała z łóżka. W takich

chwilach najbardziej brakowało mu papierosa. Przeszał palić, bo policzył, że przy aktualnych cenach wydawałby na papierosy co najmniej trzysta euro miesięcznie. Przeraziło go to bardziej niż kaszel, papierosowy osad na zębach i zadyszka przy wchodzeniu po schodach. Czasami łamał się i zapalił, poczęstowany przez kogoś, albo kupił paczkę, żeby uczcić jakieś swoje małe święto. Im dłużej trwała abstynencja, tym bardziej obrzydliwy wydawał mu się smak i zapach papierosów. Ale w momentach takich jak ten brakowało mu charakterystycznych gestów związanych z paleniem. Mógłby przecież wstać, zejść na dół, usiąść przy stole i zapalić. A tak to co? Ma w środku nocy tkwić w zimnej kuchni, patrząc w ciemne okno? Papieros dawałby jakieś zajęcie dłoniom i pretekst do opuszczenia łóżka.

Zszedł jednak. Usiadł ze szklanką wody z kranu, kartką i długopisem. Zwiłzył gardło i narysował kilka bazgrołów. Prześladował go widok konającego kota. Prześladowały wątpliwości. Nie dowierzał własnym domysłem, a brak możliwości weryfikacji zdobytych do tej pory informacji, brak całego tego aparatu, który wykorzystywał przez lata pracy sprawiał, że czuł się bezradny jak dziecko. Wolny miała rację, wyśmiewając jego buńczuczne deklaracje. „Wezwiesz go na przesłuchanie do swojego domu? Pomachasz mu przed nosem kartą stałego klienta z Leclerca, a ja wyciągnę z torebki kajdanki, sprytnie mu je założę, recytując z pamięci te wszystkie formułki, łącznie z prawem do adwokata i jednego telefonu?”. Był prawie pewien, że to świństwo było w tabletkach, ale Silviu upierał się, że zbadał je i niczego nie znalazł. Ledwie udało mu się namówić doktora na telefon do Lebretona i umówienie się na spokojne wieczorne spotkanie, gdyż jedyną szansę upatrywał w przyparciu Yoricka do muru, tak żeby sam wszystko wyśpiewał. No chyba że będzie to jedna wielka kompromitacja. Ośmieszy się, narazi na oskarżenia o pomówienie, a Wolny będzie miała powód, żeby drwić z jego detektywistycznych umiejętności. I tak mu wypomina, że nie nadaje się do tej roboty, bo za mało pije. Większość znanych jej z lektury detektywów nie wypuszcza z ręki szklanki z alkoholem. Może gdyby teraz siedział w jakimś zapluty barze i wlewał w siebie kolejne podwójne whisky, genialne rozwiązanie samo przysłoby do głowy? Tymczasem przy kuchennym stole marzną mu stopy i gdyby nie późna pora i wrodzone lenistwo, najchętniej przyrządziliby sobie gorące kakao. Silviu musi jutro dokładnie opowiedzieć, co udało mu się odkryć w kocich zwłokach. Jeszcze raz przyjrzą się kartom pacjentów, których śmierć nie spodobała się lekarzowi. Reszta to już tylko znajomość ludzkiej natury, sympatycznie przez Ewę nazywana psim węchem. Wolał psy niż kurczaki<sup>12</sup>, więc się nie obrażał. A psi węch podpowiadał mu, że z Lebretonem coś jest nie tak.

Silviu zasnął w ubraniu, okrył się jedynie patchworkową narzutą i zrzucił buty. Na więcej nie miał siły. Koszmar. To był jakiś koszmar. Najpierw spędził kilka godzin, wygrzebując z kartonowych pudeł swoje stare podręczniki, potem jakiś czas wpatrywał się w zwłoki kota, które ułożył w wannie z zamiarem przeprowadzenia sekcji. Wreszcie sam siebie zrugał za idiotyczne pomysły. Wsadził kota z powrotem do lodówki i zaczął wydzwaniać do znajomych. Na szczęście była sobota i prawie wszyscy odbierali telefony. Viorela udało mu się namierzyć po jakiejś godzinie. W wielkim skrócie powiedział mu, jaki ma problem, wywołując najpierw pełną niedowierzania ciszę, a następnie wybuch śmiechu.

– Bierz tego kota i przyjeżdżaj. Spróbuję coś wykombinować, ale nic nie obiecuję. – Podał mu adres i dorzucił kilka szczegółów ułatwiających znalezienie aktualnego miejsca zamieszkania.

Miał przed sobą co najmniej półtorej godziny jazdy do Clamart, południowego przedmieścia Paryża, praktycznie wchłoniętego już przez aglomerację. Zabrał bieliznę na zmianę, szczoteczkę do zębów, i wyruszył w drogę. Kot obłożony żelowym wkładem podróżował w samochodowej lodówce. Przegapił zjazd z A4 i natknął się na roboty drogowe gdzieś na wysokości Noisy-le-Grand, ale w końcu udało mu się znaleźć mały nieotynkowany budynek z szarych pustaków na tyłach niskiego pawilonu zamkniętego o tej porze na głucho.

Viorel musiał wyglądać przez okno, bo pojawił się na podwórzu, zanim zamilkł przegrzany silnik peugeota. Był chemikiem. Był świetnym chemikiem z trudnym charakterem. Poznali się na bukaresztańskim Uniwersytecie Medycznym, który Ionut ukończył z sukcesem, Viorel natomiast zniknął po trzecim roku, choć w Bukareszcie ich drogi nadal czasami się przecinały. Podobno kilka lat studiował na politechnice, w końcu wyjechał jednak ze stolicy i zdobył dyplom chemika w Brasov. Ożenił się, bo musiał, co oznaczało, że nie wyparł się ojcostwa wobec małej Mariany, która teraz była już nastolatką. Silviu pamiętał go jako wybitnie zdolnego, inteligentnego, kłótliwego ponuraka. Ostatnie spotkanie, już w Paryżu, skończyło się popijawą, męskimi zwierzeniami i użalaniem się nad sobą.

Trzeba przyznać, że Viorel miał powody zarówno do picia, jak i żalów. Zostawił w Rumunii żonę i córkę. Zanim jako tako urządził się we Francji, jego córka miała nowego tatusia, a nawet siostrzyczkę. Życie emigranta też nie okazało się usłane różami, a kłótnie z administracją, z pracodawcami i ogólnie z całym światem nie pomagały urzędzeniu się w nowym kraju. Potem spotkały go, jak to określał, dwie najlepsze rzeczy w życiu: praca u Pereza w firmie Transports Perez et Fils oraz znajomość z Amirą Ducros. Wydarzenia były ze sobą powiązane, chociaż nieco oddalone w czasie. Najpierw przyszła robota. Zaczął jeździć poobijającym renault masterem i rozwozić różne rzeczy różnym ludziom. Szef płacił regularnie i zgodnie z zasadami. Firma funkcjonowała dość pręźnie, bo klienci doceniali fakt, że stawki nie są wygórowane.

Okazało się, że spędzanie całych dni za kierownicą pasuje mu, a nawet uspokaja. Po kilku miesiącach zaczął zastanawiać się nad wynajęciem małego studia i uwolnieniem od swojej osoby znajomych, u których wynajmował łóżko. Klinika Weterynaryjna Ducros & Garet & Ducros była na liście stałych klientów Pereza. I to właśnie Viorel najczęściej woził dla nich materiały budowlane (Ducrosom zamarzyła się rozbudowa kliniki), klatki ze zwierzakami, zamówione leki czy wyposażenie gabinetów. Amira dopiero co skończyła École nationale vétérinaire d'Alfort i farba na szyldzie z jej nazwiskiem jeszcze nie zdążyła wyschnąć. Tato Ducros ciągle nie do końca godził się z faktem, że jego córka jest kobietą, ale postawiony przed faktem dokonany oraz dyplomem uznał ją w końcu za współnika w rodzinnym interesie. Nazwisko drugiej córki, Garet, umieścił na szyldzie z mniejszymi oporami, ponieważ zięć na psią sierść miał wprawdzie alergię, ale za to wniósł do rodzinnego interesu spory wkład finansowy. Tak więc Amira, która od algierskiej mamy dostała imię, piękne migdałowe oczy i cierpliwy upór, od pierwszych dni pracy starała się unowocześnić klinikę, wprowadzić nowsze sposoby leczenia, zwiększyć ilość proponowanych usług i w ogóle podchodziła do sprawy bardzo ambitnie. To był jej pomysł, żeby przywozić ciężko chore zwierzęta i odwozić je właścicielom po hospitalizacji, przeprowadzać na miejscu wszelkie badania i zabiegi chirurgiczne. Ducros senior demonstrował swój sceptycyzm wobec posunięć ambitnej córki i narzekał na niepotrzebny koszt wynajmowania firmy przewozowej, chociaż bilans półroczny mówił zupełnie co innego. Podpisywanie odbioru przesyłek spadało zawsze na Amirę. Pilnowała też załadunku klatek, zwłaszcza jeśli w środku uwięziony był jakiś przestraszony schorowany pacjent. Musieli się zaprzyjaźnić. Nie było innej możliwości. Viorel do psów miał rękę, z kotami się dogadywał i nie miał nic przeciwko innym okazom miejskiej fauny. Być może była to słabość z czasów, kiedy w uniwersyteckim laboratorium godzinami przebywał w towarzystwie szczurów, myszy, kotów, a nawet jednej małpy, którą wszyscy nazywali Elena, dokarmiali kanapkami i pozwalali spać w szatni na posłaniu z płaszczy i kurtek. Wątpła nić sympatii zamieniła się w całkiem solidne więzy za sprawą biszkoptowego labradora, który na spacerze stał się ze starszym i dużo silniejszym kolegą, a uznawszy przegraną, rzucił się do ucieczki wprost pod wyjeżdżający z parkingu samochód. Jego spanikowana pani zadzwoniła do Amiry w momencie, kiedy ta odbierała od Viorela przesyłkę. Było to marzenie młodej pani doktor – nowa waga z hydraulicznym regulatorem wysokości, wysuwanymi barierkami dla bardziej niespokojnych zwierząt, miękką nakładką dla osesków i innymi udogodnieniami. Pakunek był duży i ciężki, kobieta usiłowała więc pomóc Viorelowi umieścić skrzynię i zabezpieczać przy przewożeniu do lecznicy, żeby nie uszkodzić elektronicznych części. Skowyt rannego psa było słychać w telefonie prawie tak samo dobrze jak rozpaczliwe pokrzykiwania właścicielki. Po skończonej rozmowie panna Ducros popatrzyła na Viorela tymi swoimi sarnimi oczami, a on już wiedział, że w nosie ma nadgodziny, a z benzyny jakoś się z szefem rozliczy. No bo co miał zrobić? Nierozpakowaną wagę postawili byle jak w korytarzu, wsadzili klatkę i kilka koców do mastera, Amira zabrała torbę z medykamentami i pojechali. Dobrze im się razem pracowało. Przywieźli psa do gabinetu, a roztrzęsiona właścicielka przyjechała tuż za nimi własnym autem. Był wieczór. Nie mógł przecież zostawić uroczej pani doktor samej z tym wszystkim. Ułożyli psa na stole, podawał jej narzędzia, środki opatrunkowe, leki. Pracowali w ciszy. Trzeba było założyć kilka szwów. Zanim pies wybudził się z narkozy, przenieśli go do wygodnej klatki w części szpitalnej i poprosili jego opiekunkę. Pożegnała się z ulubieńcem, zapłaciła czekiem i ciągle roztrzęsiona, wróciła do domu. A oni, zmęczeni, usiedli w gabinecie, pili kawę i rozmawiali. A właściwie to ona zadawała pytania, a on odpowiadał. Zaczęła, marszcząc ślicznie brewki, od prostej kwestii, skąd wiedział, jakie preparaty jej podawać, gdy odkażała i zszywała rany. Jak to możliwe, że podał jej właściwe ampułki do znieczulenia, i w ogóle jakim cudem tak spokojnie i pewnie asystował przy opatrywaniu

śpiącego na stole zwierzęcia. No więc mówił. Najpierw nieśmiało i z czymś w rodzaju zawstydzenia, ale słuchała tak przekonująco, że w końcu sam nie wiedząc kiedy, opowiedział jej całe swoje życie, i chyba nawet więcej. Reszta była już tylko prostą konsekwencją. Nadal pracował u Pereza, ale zamieszkał w dawnym budynku gospodarczym na zapleczu lecznicy, przerobionym na niewielki apartamencik. Nie płacił czynszu, za to pełnił rolę kogoś w rodzaju dozorczy, złotej rączki, kierowcy, a nierzadko również pomocnika i laboranta. Amirze często nie chciało się wracać do centrum Clamart, gdzie wynajmowała mieszkanie, zwłaszcza jeśli późno kończyła pracę. A papę Ducrosa do poczyniń córki przekonały kwartalne rozliczenia, zaś do jej nowego przyjaciela – Iamblic. A właściwie roztrzepana stażystka zatrudniona na pół etatu, która w kale pupilka jednej z klientek nie zauważyła nic podejrzanego, Viorel natomiast dostrzegł charakterystyczną glikoproteinę, a nawet cysty pierwotniaka. Miał dość protekcyjnego traktowania przez starego weterynarza, w związku z czym poprosił o zbadanie krwi yorka. Począł, aż Ducros będzie w lecznicy i prawie siłą zaciągnął go do mikroskopu, gdzie pokazał widoczne w surowicy przeciwciała.

Ionut wysłuchał całej tej historii, przyglądając się zabiegom, jakie wyczyniał jego znajomy w niewielkim, lecz dobrze wyposażonym laboratorium kliniki. Przedtem, jeszcze w mieszkaniu Viorela, przekazał mu wszystko, co wiedział o śmierci kota i podejrzeniach Olovskiego. Viorel słuchał, kręcąc głową z niedowierzaniem i uśmiechając się pod nosem.

– Przecież takie badanie można zamówić legalnie. Fakt, że trochę to kosztuje i pewnie musielibyście poczekać na wyniki, ale zdziwiłbyś się, jak często się je wykonuje. Właściciel podejrzewa, że sąsiad otruł mu psa albo weterynarz postawił złą diagnozę, więc zlecają sekcję. No ale dobrze, chodź, zajmijmy się naszym przypadkiem.

W niewykończonej salce ze stołem sekcyjnym i stanowiskami laboratoryjnymi przyjrzeni się kotu.

– Jeśli szukamy trucizny, to daj najpierw ten słoik.

Pracowali w ciszy. Silviu był zmęczony. Miał wrażenie, że śni i te senne majaki nie chcą się skończyć. Już po sprawdzeniu próbek wymiocin Viorel wyglądał na zadowolonego i pewnego siebie. Pobrali jeszcze do zbadania fragment wątroby i jelita cienkiego, i dopiero wtedy chemik zarządził sprzątanie, mycie stołu i przyrządów.

– Chcesz te zwłoki z powrotem?

– No co ty, po co mi one?

– Nie ma sprawy. Zajmę się utylizacją, tylko mi tu podpisz jako właściciel.

Ionut podpisał formularz, nawet nie patrząc, co zawiera.

– Oczywiście ja ci to wszystko mówię nieoficjalnie, nawet Amira nie ma jeszcze uprawnień do robienia autopsji. Dopiero za rok kończy studia podyplomowe. Szykujemy tę salę, ale jak widzisz, zostało trochę roboty do wykończenia. A ja, nie zapominaj, jestem kierowcą i *homme à tout faire*<sup>13</sup>, analizy chemiczne chyba w to nie wchodzi. – Zaśmiał się, zdejmując kapsel z piwa. – Wyników jestem pewien. To jakiś roślinny alkaloid. I mogło się zdarzyć, zwłaszcza jeśli kot był z tych domowych, co to świata nie zna, że jak się wyrwał na zewnątrz, to skubnął jakąś roślinkę akurat z tych trujących. A wcale nie ma ich wokół. Spiszę ci listę najgroźniejszych, sprawdzicie, czy nie rośnie gdzieś w okolicy. Nie mam tu warunków, żeby na sto procent stwierdzić, ale strzelałbym, że to albo kolchicina, albo akonityna. – To znaczy?

– To znaczy, że mógł gdzieś znaleźć takie ładne fioletowe kwiatki, zimowity się nazywają, albo większe fioletowe kwiatki, czyli tojad.

– I zjadłby je?

– No właśnie nie wiem. Jeśli głupi, to mógłby zjeść, ale wtedy nie wystąpiłoby aż tak wysokie stężenie, zwierzak cierpiałby dużo dłużej, a ten twój znajomy zorientowałby się, że coś jest nie tak i zawiózłby kota do weterynarza. A tu mi wygląda, jakby pół krzaka wrębał. Najgłupszy kot aż tak głupi nie jest. Może mieć rację ten twój Olovski, że ktoś mu to podał celowo, jakoś wypreparowane.

Zdrzemnęli się w fotelach i dopiero po wypiciu kawy, około dziesiątej, Viorel odważył się zadzwonić do Amiry. Ustawił telefon na głośnik, więc rozmawiali we troje. Ionut notował co ważniejsze informacje, a po rozmowie z panną Ducros dodatkowo odpytał Viorela o alkaloidy, ich działanie, występowanie, i wszystko inne, co wydawało mu się przydatne. W południe wyskoczyli na pizzę. Po powrocie jeszcze kilka godzin spędzili przy komputerze

i wertowali podręczniki. W niedzielny wieczór ruch był minimalny, droga do La Ferté zajęła mu więc niespełna półtorej godziny. Zaparkował pod dworcem i w drodze do domu zadzwonił do Olovskiego. W skrócie zdał relację, ale mimo nacisków nie dał się namówić na spotkanie. Musiał odespać noc w laboratorium. Na szczęście w poniedziałki zazwyczaj nie było zbyt wielu pacjentów, a pierwszą wizytę zapisał dopiero na popołudnie. Spać! Chciał tylko spać.

.....

12 *Poulet* (fr.) – jedno z popularnych obraźliwych określeń policjantów we Francji

13 *Homme à tout faire* (fr.) – człowiek do wszystkiego, złota rączka.



## ROZDZIAŁ VIII

Pan Cousin bardzo się denerwował czekającymi go badaniami. Kobiecie, która przychodziła sprzątać, już w sobotę polecił naszykować elegancki i wygodny strój, który ułożył na fotelu w sypialni i nakrył arkuszem folii. Zdenerwowała go, bo użalała się nad jego dolą. Opowiadała niestworzone rzeczy, jak przy kolonoskopii cierpeli liczni członkowie jej rodziny, znajomi i dzieci znajomych. Sama nie miała tego typu doświadczeń, ale za to od jakiegoś czasu uskarżała się na hemoroidy, i jak to określiła: „miałam przedsmak tego, co mnie czeka, drogi panie Cousin”. Potem były szczegółowe opowieści o badaniu anoskopem, nasiadówkach i pełne pasji opisy bólu towarzyszącego „wiadomym czynnościom, wie pan, o czym mówię!”. Cousin wiedział, ale słuchać tego wszystkiego nie miał już ochoty.

– Droga pani, nie cierpię na żadne z wymienionych przez panią dolegliwości. Mam zupełnie inne objawy. U mnie jest podejrzenie czegoś poważniejszego. Tak. Czegoś dużo poważniejszego. – Siąknął nosem, uniósł podbródek i zaciął usta. – A teraz, jeśli pani już skończyła, proszę mnie, z łaski swojej, zostawić samego. Jestem bardzo zmęczony i chyba powinienem się na chwilę położyć.

Lekko nadąsana, wsiadła na rozklekotany rower i pojechała do siebie. Miał ochotę ją zwolnić. Denerwowała go jej gadatliwość i wścibstwo, a na dodatek myła podłogę brudną wodą, bo w kuchni i sieni zawsze potem widać było obrzydliwe szare smugi. No i nie znosił jej zapachu. Była tęgą rumianą kobietą, zawsze ubierała się za ciepło i pociła okropnie. Nie miał szczęścia do pań sprzątających. Po śmierci żony przez dom przewinęło się już kilka kobiet i żadna nie przypadła mu do gustu. Albo żądały sum, które wydawały mu się przesadzone, albo sprzątały byle jak i obrażały się, jeśli zwracał im uwagę, albo panoszyły zaudanym i spoufalają. Jego przyjaciel i powiernik, nieco może zbyt rubaszny, ale znający życie, Olivier Soller, pochował trzy żony, a od niedawna spotykał się z jakąś wdową, która wprawdzie nie grzeszyła urodą ani przesadnym obyciem, za to piekła znakomite *muffins aux pépites de chocolat*, a koszule Oliviera zawsze były nienagannie wyprasowane. Już od roku Soller namawiał go, żeby wreszcie poznać jakąś przyzwoitą panią i dzielił z nią trudy i radości codziennego życia. Oczywiście we właściwych proporcjach.

Tak się zamyślił nad zaletami proponowanego przez przyjaciela rozwiązania domowych kłopotów, że na chwilę zapomniał o czekających go zabiegach. O raku jelita już prawie w ogóle nie myślał. Oglądał na monitorze zdjęcia z kolonoskopii, techniczne opisy gastrokopii, komentarze pacjentów, którzy te badania przeszli, a także opinie o lekarzach. Ręce mu trochę drżały i coraz częściej pojawiały się nieśmiałe myśli, czyby nie odwołać wizyty umówionej na poniedziałkowy rano. Powstrzymywał go wstyd i świadomość, że doktor Silviu będzie dopytywał o wyniki. A zmiana lekarza pierwszego kontaktu jest jednak trochę kłopotliwa. No i co by nie mówić, Rumun zajmował się nim troskliwie i zawsze okazywał należyty szacunek. Niech już to wszystko będzie za mną, pomyślał, wsiadając już o ósmej trzydzieści do swojego cactusu.

Przed szpitalem w Soissons zjawił się z kilkuminutowym opóźnieniem. Nie wziął pod uwagę, że o tej porze ruch jest duży i przez miasto przebijają się w korkach. Słuchając uwag lekarza, który się nim zajął, nieświadomie zaciskał pośladki. Zupełnie niepotrzebnie. Okazało się, że pierwsza wizyta przeznaczona jest na szczegółowy wywiad oraz instrukcje, jak ma się zachowywać przez najbliższy tydzień: co jeść, ile pić i czego się spodziewać po zażyciu specjalnego leku przepisanego mu na tę okoliczność przez gastroenterologa. Dopiero przy wjeździe do La Ferté nieco się rozluźnił. Minął centrum, nie zatrzymując się przed apteką. Najpierw chciał coś zjeść i spokojnie przeczytać polecenia lekarza wydrukowane na trzech kartkach A4. Był tak zdenerwowany podczas wizyty, że niewiele z tego wszystkiego zapamiętał. Tuż przed badaniem czekała go ostra dieta, a kilka dni przedtem miał unikać niektórych potraw i napojów. Na samą myśl zrobił się głodny. Zostawił samochód przed bramą i pognął do łazienki. Następnie skierował kroki do kuchni. W lodówce czekał *boeuf de bourguignon* i dwa spore kawałki *quiche lorraine*. Zanim wołowina się odgrzała, nalał sobie spory kieliszek wina i zagłębił się w lekturze. Może nie będzie tak źle? Obiecali

mu znieczulenie, a sposób, w jaki przekazano informacje, pozwolił pozbyć się zakłopotania. W końcu dla nich to zwykła rzecz. Pokrzepiony posiłkiem i nieco otumaniony winem, po krótkiej drzemce w fotelu postanowił podjechać do apteki i wykupić receptę.

Brak miejsca do zaparkowania sprawił, że całkowicie odzyskał formę. Ten pajac Lebreton powinien się nauczyć kilku podstawowych zasad na temat prowadzenia biznesu, myślał, sapiąc wściekle, przy manewrowaniu sporych rozmiarów samochodem. Zablokował prawie cały chodnik, ale inaczej nie zmieściłby się między czerwonym peugeotem a metalową barierką ograniczającą wyjście z budynku. Po drugiej stronie ulicy było wprawdzie miejsce, ale musiałby nawrócić na najbliższym skrzyżowaniu, a na dodatek przebiegać potem przez ruchliwą jezdnię jak jakiś uczeń. Nie w jego wieku! I nie z jego zdrowiem! W końcu należy mu się chyba odrobina szacunku.

Wzburzony, wpadł do apteki, i gdyby mógł, trzasnąłby drzwiami. Niestety wyposażone w spowalniacz zamknęły się cichutko, potracając w końcowej fazie dzwoneczek zawieszony na futrynie. Lebretonowi zamarł na ustach służbowy uśmiech, gdy zobaczył minę starszego pana.

– To skandal, drogi panie! Pan zupełnie nie troszczy się o swoich klientów. Zdaje pan sobie sprawę, ile czasu straciłem i ile nerwów mnie kosztowało, żeby tu do pana dotrzeć? Jak można nie pomyśleć o miejscach parkingowych dla pacjentów? Jestem chorym człowiekiem i mam swoje lata.

– Dzień dobry. Czym mogę panu służyć? – Uśmiech Lebretona przerodził się w zimny grymas, ale doświadczenie pozwoliło zachować spokój i nie wdawać się w dyskusję z szukającym zaczepki starcem.

– Służyć? Przysłużyłby się pan i mnie, i sobie, i wszystkim pana klientom, gdyby pomyślał pan o piśmie do merostwa, czy gdzie tam się załatwia takie sprawy. To chyba nie jest skomplikowane, prawda? Prawie porysowałem samochód o tę idiotyczną barierkę... – Cousin miał jeszcze wiele do powiedzenia, ale jego sztuczna szczęka ostatnimi czasy nieco się poluzowała i omal nie wypadła mu z ust, gdy nabierał oddechu, aby kontynuować. Musiał szybko pochylić głowę i wprawnym ruchem języka docisnąć wyslizgującą się protezę. Prysnął przy tym śliną na kłapy marynarki z alpaki, zaczerwienił się z zakłopotania, wreszcie, pewien że jego użębienie wróciło na swoje miejsce, rzucił receptę na stół i ciągle ciężko oddychając, czekał już tylko na realizację recepty.

Yorick nasunął okulary na nos, uważnie wszystko przeczytał, łącznie z pieczętką lekarza, i pokiwał głową. Stawiając na stole spore opakowanie, poinformował sucho:

– Oto pana Fortrans. Płaci pan dziesięć euro i pięćdziesiąt centymów.

Cousin, fukając jak rozszłoszczony dzik, grzebał w portfelu w poszukiwaniu drobnych.

– Rozumiem, że został pan pouczony o sposobie zażywania leku? Do opakowania załączona jest bardzo starannie zredagowana ulotka. Proszę ją uważnie przeczytać, nie wyrzucać i zawsze mieć pod ręką.

– Tak, tak, niech się pan nie wysila – mruczał Jean-Jacques, wydłubując wyslizgujące mu się z palców monety.

– Po zabiegu będzie się pan z pewnością czuł nieco osłabiony i rozbity, pozwolę więc sobie zaproponować ten ziołowy środek wzmacniający. Wystarczą dwie tabletki trzy razy dziennie, żeby w ciągu kilku dni organizm całkowicie się zregenerował. Kosztuje tylko trzy euro.

– Daj pan! – zaordynował uprzejmie Cousin. Zmęczony nieskutecznym polowaniem na złoty bilon, zapłacił dwudziestoeurowym banknotem. Bębnił palcami w blat stołu i czekał, aż farmaceuta wyda mu resztę. Ten zaś nie spieszył się. Liczył drobne, instruując przy okazji:

– Ale na wszelki wypadek proszę zapytać lekarza, czy może pan przyjmować ten lek. Ze zdrowiem nie ma żartów. A w kwestii parkingu... To jest stare miasteczko, uliczki wąskie i od zawsze brakuje miejsc do parkowania. Obawiam się, że ani merostwo, ani nawet władze departamentu nic na to nie poradzą. Co najwyżej można wprowadzić całkowity zakaz parkowania w centrum, ale to by panu chyba nie odpowiadało?

– Też coś! – Cousin znów poczuł, że podnosi mu się ciśnienie. – Całkowity zakaz! Żarty pan sobie stroi, drogi panie, a ja nie jestem w nastroju do żartów. Czeka mnie poważne badanie...

– I nieprzyjemne – wtrącił Lebreton z tym samym zimnym uśmiechem.

– A tak! I nieprzyjemne. Żeby pan wiedział! Sprawę parkingu powinien pan rozwiązać, w przeciwnym razie moja noga więcej tu nie postanie. – Trzęsącymi się rękami zebrał pakunki i dumnym krokiem wyszedł z apteki. Nie

oglądał się. I dobrze, bo trochę krzywy, ale tym razem szczerą uśmiech aptekarza, zirytowały go jeszcze bardziej.

\*\*\*

Wszystko byłoby dobrze, gdyby jeszcze mokra po kąpeli nie stanęła na wadze. Z niedowierzaniem pokręciła głową i westchnęła ciężko, a zaraz potem zakłęła. Głośno i dość wulgarnie. Jakby tego było mało, spojrzała w wielkie lustro szafy w garderobie. Pech chciał, że miała na sobie tylko majtki. Zamarała ze skarpetką w dłoni naszykowaną do założenia i podniesioną w pokraczny sposób nogą. W tej pozycji wszystkie możliwe fałdy, zwisy, wypukłości i nadmiary uwidoczniły się w całej okazałości. Wyprostowała się gwałtownie. Próbowała odwrócić się tak, żeby zobaczyć swój tyłek. Strzyknęło jej w karku i jedyne, co zobaczyła, to jeszcze więcej fałd upodabniających plecy do młodego krajobrazu polodowcowego.

Znowu westchnęła i znowu zakłęła. Nie najlepiej zaczął się ten dzień. Już bez spoglądania w lustro dokończyła ubieranie się i zeszła na dół z zamiarem popracowania solidnie w ogrodzie. Ale tak do siódmych potów! Tak, żeby się ukarać za lenistwo i brak ruchu, a przy okazji wypocić chociaż trochę tych naddatków. Dopięła dzinsy (jedną z dwóch par, w której mogła swobodnie oddychać, a nawet wygodnie siedzieć), obciągnęła czerwoną koszulkę i poprawiła narzuconą na wierzch (ze względów estetycznych) kraciastą koszulę, którą donaszała po Pawle. Zbiegła ze schodów i zamaszystym krokiem podeszła wprost do ogrodowych drzwi. Otworzyła je energicznie, trzaskając okiennicami. Pomaszerowała do szopy z narzędziami.

Olovski zapowiedział się na późne popołudnie, miała więc przed sobą kilka godzin na spokojną pracę. Przycinała, grabiła, wywoziła chwasty na pryzmę kompostu. Pachniało ziemią, grzybami i słońcem. Czuła, że piecze ją twarz, a włosy przylepiają się do czoła. Od czasu do czasu przysiadła na składanym ogrodowym krześle, żeby napić się wody i odsapnąć. Obiecała sobie tego nie robić, ale i tak co jakiś czas sprawdzała godzinę na ekranie telefonu. Denerwowała się. Serge prawie ją przekonał, że tabletki kupione u Lebretona zawierały truciznę, ale nie była w stanie wyobrazić sobie, po co i dlaczego aptekarz miałby coś takiego robić.

Komisarz zaszły się u siebie i nie odpowiadał na telefony. A właściwie nie mogła się do niego dodzwonić, bo numer był cały czas zajęty. Tym bardziej niecierpliwie czekała na jego wizytę. Coś wymyślił, to pewne. Umówili się dość dziwnie i nieco wbrew woli doktora Silviu. Ionut czuł się niezręcznie, bo przypadła mu rola konia trojańskiego. Całą intrygę wymyślił oczywiście Olovski. Yorick bardzo chętnie zaprosił doktora na mały aperitif, twierdząc, że od dawna miał na to wielką ochotę, a powstrzymywała go tylko i wyłącznie świadomość, jak bardzo zajęтым człowiekiem jest Silviu. Serge wraz z Ewą mieli zamiar dać panom czas na wypicie jednego małego drinka i wprosić się do Lebretona. Obecność gościa prawdopodobnie powstrzyma aptekarza przed zatrześnięciem im drzwi przed nosem, zwłaszcza jeśli doktor odpowiednio to rozegra.

– Jakieś to wszystko pokręcone – mrucała Ewa, zbierając powoli narzędzia. Skubnęła jeszcze gdzieniegdzie jakiś wybujały chwast, ale uznała, że na dziś wystarczy prac ogrodowych. Musiała wziąć pryznic, przebrać się i na wszelki wypadek przekąsić coś przed przyjściem Serge'a.

Udało jej się nie spojrzeć w żadne lustro w łazience i dopiero przymierzając kolejne bluzki, ponurym wzrokiem oceniała efekt. Ta, która najskuteczniej maskowała niedoskonałości sylwetki, miała już swoje lata i związane z tym defekty. Wypływały kolor jej nie przeszkadzał, ale z nitką zwisającą z nadprutego rękawa trzeba było coś zrobić. Choćby dlatego, że łaskotała. Pociągnęła energicznie i oczywiście, jak można było przypuszczać, nitka się nie urwała, tylko wypruła wzdłuż całego obszycia. Teraz rękawy były różnej długości, na dodatek wykończenie tego dłuższego poszarpane i miało wzorek w postaci dziurek po grubej maszynowej igle.

– No dobra – mruknęła i zanurkowała w głąb szafy w poszukiwaniu „czegoś do zarzucenia”. Cienką długą koszulkę z indyjskiego sklepu znalazła tuż przed zbliżającym się atakiem kichania. – Cholera, trzeba by tu kiedyś posprzątać.

Dwie solidne kanapki z tuńczykiem zjadła w ogrodzie, popijając je kawą. Czuła się znacznie lepiej i miała wrażenie, że ogród również czuje się lepiej, mimo że efekty jej dzisiejszych wysiłków nie były oszałamiające.

– Gdybym tak codziennie rano popracowała dwie godzinki w ogrodzie...

– Byłoby super. – Usłyszała za plecami głos Olovskiego.

– O matko! Wystraszyłeś mnie!

– Przepraszam. Dzwoniłem, ale widocznie nie słyszałaś, a nie było zamknięte na klucz, więc wszedłem. – Serge rzucił na stół zieloną tekturową teczkę i przysunął sobie krzesło.

– Chcesz kawy?

– Nie. Dziękuję. Wypiłem dziś morze kawy. – Popatrzył na nią z uśmiechem, nakładając na nos swoje pokrzywione okulary. – Też gadam do siebie, gdy jestem sam.

– Pff. Chyba wszyscy to robią? – odpowiedziała, ale jednak było jej trochę głupio.

– Chcesz usłyszeć, co wymyśliłem?

Nie czekając na odpowiedź, otworzył teczkę i zaczął wyciągać z niej kolejne kartki pokryte notatkami, pełne skreśleń i poprawek.

\*\*\*

Jak to dobrze, że zdążył podjechać do Carrefoura przed zamknięciem i dokupił kilka potrzebnych rzeczy. Nie chciał, żeby to wypadło zbyt wystawnie, zbyt zobowiązująco, ale jednak powinien pokazać klasę. A to zawsze najtrudniejsze. Teraz kroił cieniutkie paseczki wędzonego łososa, owijał wokół kostek greckiego sera *manouri* i spinał wykałaczkami. Potem posypie je świeżo posiekany koperkiem. Na talerzach czekały już dwa inne rodzaje przekąsek, w tym niewielkie grzanki z pastą guacamole delikatnie przyprawioną kolendrą i sokiem z limonek. Na wszelki wypadek, gdyby doktor Silviu nie lubił ryb.

Przejrzał zapas alkoholi, wstawił białe i różowe musujące wino do lodówki, przetarł kieliszki. Nakrył w gabinecie. Uznał, że to najlepsze miejsce. Tuż obok laboratorium (gdyby Silviu chciał spojrzeć, nad czym aktualnie pracuje) z ciepłym nastrojowym oświetleniem, książkami, wśród których miło się rozmawia, z kilkoma wartościowymi obrazami i dobrym sprzętem grającym. Muzyka już teraz sączyła się z głośników, a repertuar przemysłał wczoraj w nocy.

Z podniecenia źle spał, ale na razie nie czuł się zmęczony. Mimo że jak na złość w aptece przez cały dzień ruch był spory. Nawet ten irytujący Cousin nie popsuł mu nastroju radosnego oczekiwania na wieczorne spotkanie. Był z siebie wręcz dumny, że tak spokojnie zniósł impertynencje starego aroganta. No i na szczęście miał zapasowe opakowanie pastylek wzmacniających z tej specjalnej serii. To już ostatnie i aż do wiosny wstrzyma się z ich produkcją. Może pomyśli nad dodatkiem tymianku i róży? Im bliżej zimy, tym więcej będzie przeziębień i bronchitów. To może być świetny temat do rozmowy z Ionutem Silviu, dający szansę wykazać się kompetencjami i fachowością. Spojrzał na zegar nad drzwiami i pobiegł do łazienki po butelkę wody kolońskiej. Delikatnie spryskał zasłony w gabinecie – trzy naciśnięcia gumowej gruszki na każdą zasłonę. Rozpylił chmurkę pachnidła na oparcia foteli. Przyjrzał się krytycznie wnętrzu i, zadowolony z efektu, zdjął kuchenny fartuszek, którym chronił marynarkę przed zabrudzeniem. Teraz mógł spokojnie umyć ręce, wetrzeć w nie odrobinę balsamu i usiąść za stołem w aptece, nad malowniczo rozłożonymi papierami. Wiedział, że przez witrażowy abażur lampa bardzo korzystnie oświetla twarz. W takiej scenerii dobrze zabrzmiał ta kwestia, którą przemysłał sobie już w nocy: „Och, już pan jest, doktorze? Proszę! Proszę wejść! Zasiedziałem się trochę nad papierami”. Tak. To będzie znakomite na początek. Potem rozmowa sama się już potoczy. Unikał patrzenia na zegar. Oddychał równo, głęboko i starał się nie pozwolić nadmiernie pracować wyobraźni. Bał się, że będzie potem rozkojarzony, a przecież to pierwsze prywatne spotkanie! Tak wiele od niego zależy. Na zegar wprawdzie nie spoglądał, ale za to co chwilę poprawiał węzeł krawata. Może jest zanadto płaski albo zbyt wąski? No i zaczęło mu głośno burczeć w brzuchu. A od jakiegoś czasu zastanawiał się, czy nie powinien na wszelki wypadek wybrać się do toalety.

\*\*\*

Doktor Ionut Silviu wszystkim swoim pacjentom zalecał spożywanie lekkich posiłków o w miarę regularnych porach. Sam natomiast nie był w stanie stosować tej jakże mądrej zasady, gdyż z racji licznych obowiązków jadał byle co i wtedy, kiedy miał na to czas. Dziś czasu miał wybitnie mało. Poczekał od rana, a przed godziną zadzwonił sąsiad Odile Listonoszki, zaniepokojony jej pogarszającym się stanem zdrowia. Silviu

natychmiast skontaktował się z pielęgniarką, która potwierdziła jego przypuszczenia. Kobieta po prostu umierała. Cicho, spokojnie i powoli odchodziła, a on nic nie mógł na to poradzić. W podobny sposób odchodził jego dziadek, i mały Ionut bardzo przeżył tę śmierć. Wydawała mu się bardziej tragiczna niż wszystkie inne, które widział potem. A widział ich sporo. Walka z chorobą, trzymanie się życia z całych sił to podejście, któremu hołdował. Był od tego, żeby wygrywać kolejne bitwy, mimo że wojna była przecież z góry przegrana. Ludzie tacy jak Odile sprawiali, że czuł się tak przerażony i bezradny jak wtedy, kiedy siedział przy łóżku dziadka i trzymał go za coraz chłodniejszą, zniekształconą artretyzmem rękę. Płakał i krzyczał, aż ojciec musiał siłą odciągać go od łóżka, powtarzając: „Pozwól mu odejść, synu, pozwól mu odejść”. Nigdy nie umiał się z tym godzić. W głębi duszy uważał, że pozwalanie na odchodzenie jest bez sensu. Dlaczego niby? Komu to ma służyć? Tak, tak, poznał potem ból, cierpienie, zrozumiał nieuchronność śmierci, ale mały Ionut ciągle chciał tupać, krzyczeć i głośno płakać. Tak jak teraz. Pożegnał ostatnią pacjentkę i szybko spakował torbę. W samochodzie myślał gorączkowo, co jeszcze mógłby zrobić dla Odile, jak jej pomóc. Na miejscu potwierdziły się jego najgorsze obawy. Kobieta leżała bez ruchu i oddychała płytko. Zaniepokojony Patrick kręcił się po pokoju, bezmyślnie przesuwając drobne przedmioty, poprawiał zasłony albo wyglądał koc okrywający wychudzone ciało Listonoszki.

– Ach, to pan, doktorze. – Odile otworzyła na chwilę oczy i uśmiechnęła się. – Nie da mi pan spokoju?

Nie wiedział, co powiedzieć, więc też się uśmiechnął i poklepał ją po ręce.

– Doktorze... – mówiła tak cicho, że musiał się pochylić – niech mi pan pozwoli spać. Całe życie musiałam wcześniej wstawać, a bardzo... – przerwała, żeby kilka razy płytko nabrać powietrza – ...bardzo tego nie lubiłam.

Wracał do La Ferté w minorowym nastroju. Odstawił samochód na parking i wtedy przypomniał sobie, że jest umówiony z Lebretonem. Nagle cała ta afera wydała mu się jakaś idiotyczna. Sam to wszystko rozkręcił, zwierając się Olovskiemu, a teraz naszło go zwątpienie. Co z tego, że kot otruł się akonityną? (Amira poprosiła znajomych z uczelni o zbadanie próbek i potwierdziło się rozpoznanie Viorela). Nie był w stanie tego wszystkiego powiązać, nie był w stanie myśleć. Odczuwał zmęczenie i przygnębienie nieuchronnie zbliżającą się śmiercią Odile. A komisarz potrafił być irytujący z tą swoją tajemniczością, nieudomówieniami i wydawaniem poleceń. Coś tam chyba wywęszył, do czegoś doszedł, coś zaplanował, ale niczego nie wyjaśniał, o niczym nie informował.

Zrobiło się późno, więc odstawił tylko torbę, skorzystał z łazienki, odsłuchał wiadomości z telefonu stacjonarnego i znów wyszedł na ulicę. Od apteki dzieliło go zaledwie kilkaset metrów, ale zdążył się spocić i zasapać. Czuł się nie w porządku wobec Lebretona, tym bardziej nie chciał narażać go na czekanie.

„Niech pan tylko zdobędzie jego zaufanie, niech pan uspi jego czujność, wtedy przyjdę ja i porozmawiam z nim inaczej. Jeśli go zaskoczymy, to powinien pęknąć”, instruiował komisarz w telefonie. A Ionut godził się na wszystko, ale nie miał pojęcia, jak się zdobywa zaufanie i usypia czujność. Obawiał się, że wszelkie podejrzenia i niepewność będzie miał wypisane na twarzy.

Okiennice były zamknięte, a na drzwiach wisiała tabliczka „Fermé”<sup>14</sup>. Stał, niezdecydowany. Zastanawiał się, czy jest tu może jakieś inne wejście, do prywatnej części domu, gdy zza rogu ulicy wyłonił się Olovski. Złapał się za głowę, demonstracyjnie postukał palcem w to miejsce na nadgarstku, gdzie zwykle znajduje się tarcza zegarka, pomachał rękami, jakby zaganiał stado kur, i skrył się za ścianą budynku. Silviu zmełł w ustach przekleństwo i sięgnął do dzwonka. – Och, doktorze, już myślałem, że rozmyślił się pan albo coś panu wypadło! – Lebreton pojawił się w drzwiach tak szybko, że Ionut nie zdążył nawet zdjąć palca z porcelanowego przycisku.

– Nie, nie. Przepraszam, że musiał pan czekać. Miałem nieplanowaną wizytę domową. Ciężki stan. Trochę mnie to przygnębiło, rozumie pan.

– No tak, oczywiście. Zawsze na posterunku. Proszę, proszę. Wejdźmy. Może przygotuję panu jakiś koktajl dla odprężenia.

Pozwolił zaprowadzić się do gabinetu i usadzić w fotelu. Nerwowa gadatliwość Yoricka męczyła go, a ciągła krzątanina drażniła. „Siądźże wreszcie, człowieku”, myślał, wyciągając rękę po wysoką szklanekę z różowawym nieprzejrzystym płynem, „jak mam zdobywać jego zaufanie, skoro on ciągle się krząta i wierci?”.

Powąchał i ostrożnie upił niewielki łyk, nie wiedząc, czego się spodziewać. Koktajl był zaskakująco dobry. Orzeźwiający, lekki, wytrawny, idealny wręcz. Z przymkniętymi powiekami rozkoszował się delikatnym owocowym

smakiem. Nagle zdał sobie sprawę z wlepionych w niego oczu Lebretona. Speszony, poprawił się w fotelu.

– Znakomity! Naprawdę świetny – powiedział, unosząc szklanę.

Aptekarz rozpromienił się.

– Cieszę się, że panu smakuje. To takie moje małe hobby. Kuchnia, koktajle, nalewki... W końcu to pokrewne dziedziny, nie sądzi pan?

Od tej chwili rozmowa jakoś się potoczyła. Właściwie rola Ionuta ograniczyła się do przytakiwania albo wyrażania podziwu co jakiś czas. Lebreton miał taką potrzebę mówienia o sobie, o swojej pracy, osiągnięciach, planach, że gdyby nie pyszne przekąski i jeszcze lepsze drinki, doktor zacząłby pewnie ziewać z nudów. A tak, no cóż, zjadała się pysznościami, odczuwał nieklamany podziw dla elokwencji gospodarza, wdzięczność, że nie musi zbyt często zabierać głosu i bardzo bawiło go, że to, co teraz wypełniało jego szklanę, miało kolor błękitny z lekkimi mlecznymi smugami. Doprawdy zabawne. A jak ślicznie te smugi rozmywają się na powierzchni! Cudownie po prostu.

– Boskie, to jest boskie. Jak takie małe obłoczki.

Yorick zachichotał, połaskotany komplementem, i usadowił się w fotelu w nieco luźniejszej niż dotychczas pozycji.

– Tak go właśnie nazwałem, drogi doktorze: niebiański koktajl.

Silviu kiwał głową, oszołomiony trafnością nazwy i jednocześnie zajęty obserwacją jednego z guzików przy szafirowej kamizelce Lebretona. Na zaokrąglonym brzuszku materiał był bardzo napięty i guzik musiał znosić duże obciążenia. W tej chwili najistotniejsze było wyliczenie toru lotu, gdyby nagle odstrzelił. Był przecież jakiś wzór na obliczanie tralok... trarak... tjarek... no, tego... lotu pocisku. Przecież powinien to pamiętać.

Dzwonek do drzwi wcale ich nie przestraszył, tylko rozśmieszył.

– Niespodzianka! – wykrzyknął Silviu, a farmaceuta poprawił krawat i pomaszzerował do drzwi, nie wypuszczając szklanki z dłoni.

– Chyba sobie żartują?! Cóż może być tak pilnego o tej porze? Merowi zabrakło tabletek na niestrawność, czy może dzieciątko naszego notariusza dostało ataku kolki – mamrotał po drodze. I uśmiechał się, bardzo zadowolony z dowcipnych komentarzy.

– Witam. Nasz przyjaciel, doktor Silviu, jest u pana? Możemy wejść na chwilę?

Głos Olovskiego nie brzmiał ani trochę życzliwie, a pytania były z gatunku retorycznych. Lebreton zaniemówił. Zaskoczony, odsunął się, robiąc miejsce nowym gościom. Ionut zerwał się z fotela. Gorączkowo usiłował sobie przypomnieć, czego komisarz oczekiwał, bo przecież to spotkanie miało jakiś ważny cel. Jakiś bardzo ważny cel. Niestety klasycystyczny mebel złośliwie podciął mu nogi i unieruchomił między rzeźbionymi podłokietnikami. Zrezygnowany, pozwolił głowie spocząć na miękkim oparciu i tylko wpatrywał się w komisarza. Starał się nadać spojrzeniu chwilowo nieobecną bystrość. Za to spojrzeniu Serge'a bystrości nie można było odmówić. Zlustrował pomieszczenie, musnął wzrokiem fotel obejmujący swym miękkim wnętrzem umęczoną figurę doktora tak szybko, że ten przez chwilę pomyślał: „Och, może mnie nie zauważył?”, dłużej zatrzymał wzrok na talerzach z zakąskami i obficie zaopatrzonym barku, przysunął sobie krzesło i sadowiąc się wygodnie, zagadnął:

– To co, panie Lebreton, poczęstuje nas pan czymś?

Poczęstował, owszem. Komisarzowi podał piwo, Wolny butelkę Perriera i szklanę z plastrem cytryny, następnie wrócił na fotel, do swojego błękitnego koktajlu. Miał zaczerwienioną twarz i zaciśnięte usta. Oprócz grzecznościowych formułek, nie wy dobył z siebie jeszcze ani słowa i nie miał najmniejszego zamiaru zabawiać intruzów rozmową. Obserwował Olovskiego. Czuł, że ma zimne wilgotne dłonie i spłycony oddech. Denerwował się. Tego starego niechlujnego aroganta nie powinno tu być. W ogóle nie powinno go być. Kobieta najwyraźniej nie czuła się zbyt komfortowo. Siedziała, nieruchoma, wpatrzona w bąbelki gazu perlące się w szklance. A jego przyjaciel, sympatyczny doktor Silviu, który jeszcze przed chwilą z taką uwagą przysłuchiwał się planom, projektom, a nawet – tak! – marzeniom o współpracy, bliskich kontaktach, który nie zaprzeczał istnieniu między nimi jakiejś subtelnej (póki co) więzi – biedny doktor skulił się w fotelu, zaciskał kurczowo palce na szklance i rozwartymi szeroko oczyma wpatrywał się w tego bezczelnego komisarza.

Ten zaś w ogóle nie wyglądał na zakłopotanego. Zdjął kapsel i spokojnie nalewał piwo do szklanki, starając się go nadmiernie nie spienić. Słychać było tykanie zegara, głośne przełykanie piwa i burczenie w brzuchu (to chyba Wolny?).

Yorick milczał wytrwale.

– A więc... – Olovski odstawił szklankę, otarł kąciki ust kciukiem i środkowym palcem, i zabrał się za wyciąganie z płóciennej torby papierów. – Porozmawiamy? – Odchrząknął i wodząc palcem po jednej z licznych kartek, zaczął monotonną wyliczankę: – Patrick Court, Pierre Renard, Gaétan Schulze, Gisèle Ambroise, Xavier Chapot, Pierrette Verrot, José Pintado, Jean-Claude Marlot... Mam wymieniać dalej?

Lebreton wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie życzy.

Serge nie walnął pięścią w stół, nie złapał Yoricka za kłapy marynarki i nie zaczął nim potrząsać, wykrzykując oskarżenia prosto w oczy. A tego spodziewała się Ewa, widząc, jak ciemnieje mu twarz i zwężają się oczy. Przyglądała się przez chwilę aptekarzowi, który odstawił szklankę ze swoim drinkiem, łożył nogę na nogę i kręcił stopą, ukazując co jakiś czas fragment skarpetki w szare i szafirowe romby. „Denerwuje się! Serge na pewno też to widzi”. Nie była pewna, czy przychodząc tu, miał obmyślaną strategię, ale panował nad sobą lepiej niż Lebreton. Na kimś, kto go nie znał tak dobrze jak ona, mógł nawet zrobić wrażenie osoby rozluźnionej i pewnej siebie. Odłożył kartki i zaczął wyjmować z torby opakowania „Tabletek Lebretona”. Ustawiał je w równym rzędku, całkowicie pochłonięty tym zajęciem. Z bocznej kieszeni tej samej torby wyciągnął jeszcze kilka i ustawił w drugim rzędzie. Dopiero wtedy uśmiechnął się do aptekarza i zapytał:

– A o tym może nam pan coś powiedzieć?

I znów wzruszenie ramion i tylko stopa w szafirowo-szarej skarpetce na chwilę znieruchomiała.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi, panie komisarzu? Przecież pan dobrze wie. To są ziołowe specyfiki, które moja rodzina produkuje od dwóch pokoleń. Bardzo dobre i bardzo skuteczne. I śmiem twierdzić, że od dawna bardzo popularne w naszej okolicy.

– Ma pan rację, są bardzo popularne. – Olovski pokiwał głową i zaczął obracać w palcach jedno z pudełeczek.

– A dlaczego nigdzie nie jest napisane, jaki mają skład te tabletki? To nie jest wymagane, doktorze?

Silviu drgnął. Wypity alkohol usypiał go, w skroniach łomotało, a spektakl, którego był świadkiem, powodował drżenie rąk, bezładną gonitwę myśli i jeszcze silniejszy ból głowy.

– Co? Tak. Chyba tak. Myślę, że powinno być napisane. Eee, przepraszam, czy mógłbym prosić o odrobinę wody?

Od kilku minut Silviu jak zahipnotyzowany wpatrywał się w szklankę Ewy Wolny z kusząco musującą zawartością. Odkąd Olovski pojawił się w aptece, doktor stracił zainteresowanie niebiańskim koktajlem, a nie miał odwagi opuścić swojego bezpiecznego miejsca w kącie gabinetu. No i nie chciał rzucać się w oczy. Ale skoro już jego obecność została zauważona, podjął ryzyko zatroszczenia się o swoje potrzeby. Gospodarz przez chwilę nie reagował. Obserwowali się z Olovskim nad stołem zastawionym przekąskami, a Wolny obserwowała ich obu. Wszystko w kompletnej ciszy. Ionut poczuł się głupio, że tak wyskoczył z tą wodą, ale niesmak w ustach i bolesny łomot w skroniach były nie do wytrzymania.

– Oczywiście, drogi doktorze, oczywiście. Już panu służę. – Yorick zerwał się z fotela. Szklanka z grubym plastrem cytryny, trzema kostkami lodu i listkiem mięty stanęła przed Silviu, a tuż obok oszronionymi ściankami kusiła zielona butelka Perriera. Lebreton wrócił na miejsce spokojniejszy. Siadając, odchylił kłapy marynarki, łożył nogę na nogę, wsparł ręce na podłokietnikach i z chłodnym uśmiechem zwrócił się do Olovskiego:

– To o co właściwie chciał mnie pan zapytać, komisarzu?

„Zaraz go szlag trafi”, pomyślała Ewa, obserwując Serge’a, który bębnił palcami po stole i zmrużonymi oczami wpatrywał się w farmaceutę.

– Palił pan kiedyś papierosy?

Wszyscy zbaranieli, a na odpowiedź Yoricka musieli chwilę poczekać. W końcu wydusił z siebie:

– Nie. Oczywiście, że nie. Idiotyczne przyzwyczajenie. Niezdrowe i nieestetyczne. Ale nie rozumiem, jaki to ma związek...

– Z czym? Jaki to ma związek z czym, panie Lebreton?

– Z pana wizytą. Z tym najściem, którego się pan dopuścił. – Aptekarz znów puścił w ruch lewą stopę w eleganckiej skarpetce.

– A, bo widzi pan, mnie w takich chwilach brakuje papierosa. Zapaliłbym teraz, dmuchnął panu dymem w twarz... O, popatrz pan, pani Wolny też by chętnie zapaliła, prawda, Ewo? Siedzielibyśmy sobie w dymie i smrodzie, popijali, potrząsnąłbym panem trochę, złapała za ten śliczny krawacik, a pan by nam, krztusząc się i wachlując, wszystko ładnie wyśpiewał.

– Cóż takiego, na przykład? – Yorick cofnął się nieco i przywarł plecami do oparcia, bo Olovski nagle jakby urósł. Uniósł się lekko i wsparł pięściami o blat stołu. „No, kabaret! Jak w jakimś amerykańskim filmie. Co on wyprawia?”, myślał Silviu, siedząc w swoim kącie, bo po kilku łykach wody powolutku dochodził do siebie. Ciągle jednak starał się myśleć ostrożnie i jak najciszej, a przede wszystkim nie rzucać się w oczy. W konkursie na najniższą temperaturę uśmiechu Serge chwilowo przejął prowadzenie. Udało mu się nawet spowodować lekki dreszcz u swojego interlokutora, kiedy opadł z powrotem na krzesło i wrócił do bębnienia palcami o blat. Lebreton podjął rękawicę, ale jego wykrzywienie warg wypadło nad wyraz żałośnie. Odchrząknął więc i poprawił nienagannie przylizane włosy.

– No to dawaj pan! – tonem konwiwialnej pogawędki zagaił komisarz i przelał do szklanki resztkę piwa. – Dlaczego pan to robił?

Trzy pary oczu wlepione były w Yoricka Lebretona, on zaś przyglądał się ustawionym w dwóch rzędach opakowaniom tabletek oraz tekturowej teczce wypchanej papierami, w której zniknęła odczytana przed chwilą lista nazwisk. Spoglądał na brzydką zarośniętą twarz Olovskiego, okrągłą zarumienioną Polkę z mysimi, niechlujnie spiętymi włosami i na bladego doktora Silviu w wymiętej, wypuszczonej na spodnie koszuli, najwyraźniej walczącego z atakiem mdłości. Analizował sytuację i podejmował decyzję. Powoli, już się nie denerwując, zastanawiał się nad doбором słów. Olovski beknął. Przysłonił wprawdzie usta dłonią, ale nieapetyczny dźwięk mimo to zabrzmiał dość głośno. Yorick skrzywił się.

– Niechże pan popatrzy na siebie, komisarzu! – syknął. – Nie golił się pan od kilku dni, chodzi pan w niewyprasowanej koszuli, a sznurowadła butów ma pan w różnych kolorach.

Wszystko się zgadzało, więc Serge skwapliwie przytakiwał. Tylko kolor sznurowadeł musiał zweryfikować, bo zupełnie zapomniał, że jakiś czas temu nie mógł znaleźć zapasowych, a skoro jedno mu się zerwało, wyciągnął drugie w miarę całe ze starych butów i tak chodził do tej pory. – Jest pan opryskliwy, nieuprzejmy i złośliwy...

Wolny uśmiechała się, rozanielona, i wreszcie przestała nerwowo obciągać rękaw szyfonowej koszuli przykrywający nadpruty podkoszulek. Silviu bardzo starał się za wszystkim nadążać, ale na razie niezbyt mu to wychodziło. Lebreton rozkręcał się i nabierał pewności siebie.

– Nosi pan te swoje porozciągane swetry i wypłowiałe džinsy jak jakiś podstarzały hipis, a uważa się pan za Bóg wie kogo. Mnie traktuje pan jak idiotę, prawda? Myśli pan, że jestem jakimś... jakimś prowincjonalnym aptekarzyką, jakimś żalonym pajacem! – głos mu się łamał, z ust przyskały kropelki śliny. Zwykle lekko różowa błyszcząca twarz teraz była blada, z wyjątkiem purpurowych placków na policzkach. – Jest pan brzydki! Obrzydliwie brzydki! Żle wychowany! Wulgarny! Okropny! – wykrzykiwał pojedyncze słowa, podrygiwał, jakby chciał się zerwać z fotela i dokądś pobiec.

– I dlatego chciał mnie pan zabić? – pytanie Serge'a przerwało potok przechodzących w pisk pokrzykiwań. Oddech Yoricka powoli się uspokajał, a on sam znów przyglądał włosy i poprawił krawat. Spojrzał na swoje dłonie, splótł palce, zacisnął je, po czym rozluźnił. Położył ręce na stole i w skupieniu wpatrywał się w różowe, równo spilowane paznokcie.

– Mieszka pan sam. Podobno ma pan dzieci, ale przecież są już dorosłe, mają własne życie i jakoś się nie palą, żeby pana odwiedzać. Nie jest pan już młody. Myśli pan, że coś jeszcze może się wydarzyć w pana życiu? Że ono ma



jeszcze dla kogokolwiek znaczenie? Taki jest pan ważny, panie Brzydki-Olovski? – Dumny z własnego bon motu, rozparł się w fotelu i sięgnął po niedokończony drinka.

– A inni? Patrick Court, na przykład? Albo biedna Gisèle Ambroise? – zapytał cicho Serge.

– O co panu chodzi? Co z nimi? Znał pan Courta? Obrzydliwy grubas. Pocił się i sapał. Pod pachami zawsze miał mokre plamy, a spodnie zjeżdżały mu pod brzuch i nie dopinały się guziki. I wiecznie wymądrzał się na temat tych swoich artykułów. Historyk z bożej łaski! Pojęcia nie miał o dziejach tego miasta. Dobrali się z tym żalonym abderytą Renardem! Moja rodzina od trzech pokoleń prowadzi tę aptekę. Od trzech pokoleń, drodzy państwo! A oni twierdzili, że to nie jest interesujący temat. „Nie mam zamiaru zajmować się drobnymi sklepikarzami, mnie interesuje wielka historia”. Tak powiedział Court. Drobnymi sklepikarzami! Jego ignorancja była równie wielka jak pycha. I wybaczenie państwo, zwłaszcza panią proszę o wyrozumiałość, ale on śmierdział. Po prostu cuchnął. Nie był w stanie zrobić kilku kroków, żeby się nie spocić. Musiałem wietrzyć aptekę po jego wyjściu. Gorzej było tylko z tą nieszczęsną Ambroise. Ta kobieta chyba zapominała się myć. Na dodatek nie trzymała moczu. No i ten żalony makijaż. Te starcze wyblakłe oczy z czerwonymi spojówkami i grubą warstwą tuszu na rzęsach – sarknął i przełknął kolejny łyk koktajlu. – I żeby tylko na rzęsach! Rozmazywało jej się to po całej twarzy. Szminkę miała zawsze na zębach i pod nosem. Coś strasznego. A ta jej żalona przemądrzałość! Tylko głupi ludzie potrafią być tak zarozumiali, nie sądzicie państwo?

– Wystarczy, Lebreton. Już wystarczy.

Olovski siedział chwilę z przymkniętymi oczami. W końcu otworzył teczkę i zaczął przeglądać papiery, przekładając je z jednej kupki na drugą. Ewa rysowała palcem figury na stole, rozmazując wilgotny ślad po szklance. Marszczyła czoło i poruszała bezgłośnie wargami. W końcu podniosła wzrok i spytała przyciszonym głosem:

– To znaczy, pan zabił tych ludzi, bo byli brzydki i niegrzeczni wobec pana, tak?

Ionuta w fotelu dopadła kolejna fala mdłości, ale nie odważył się poruszyć. Fizyczne cierpienie znakomicie chroniło go przed zbyt szybkim pojmowaniem tego, co słyszał, a już jakakolwiek reakcja w ogóle nie wchodziła w grę. Łomot w czaszce zwiększał się lub zmniejszał, skurcze w żołądku i dreszcze przychodziły i odchodziły, a on myślał tylko o tym, żeby nie zwymiotować, nie poruszyć się, nie istnieć; a jeśli już, to nie tu, nie w tym upiornym miejscu, nie przy tych ludziach. Oczy miał przymknięte, bo bał się, że zaatakuje go przyczajone pod mlecznym szklanym żyrandolem światło, ale przez szum w uszach przedarł się mocny kpiący głos Lebretona:

– Pani zawodowo zajmuje się sprzątaniami, więc...

– Zarobkowo – przerwał Olovski. – Ona zajmuje się tym zarobkowo. Z jej zawodem to nie ma nic wspólnego.

Lebreton wzruszył obojętnie ramionami, po czym kontynuował:

– Najlepiej ze wszystkich powinna pani rozumieć, jak ważne jest pozbywanie się śmieci. Trzeba wyrzucać zbędne rzeczy, usuwać je, porządkować przestrzeń wokół siebie. Ciągłe trzeba to robić. Ciągłe i ciągle. A to ciągle skądś się pojawia, wyłazi, narasta. Ktoś musi się tym zajmować. Pani to powinna rozumieć. – Siedział, dumnie wyprostowany, z zaciśniętymi ustami i uniesionym podbródkiem. W jaskrawej opiętej kamizelce i kolorowym krawacie wyglądał jakoś nierealnie. Jak demoniczna postać z podrzędnych komiksów, którymi zaczytywał się dziesięcioletni Piotrek. Dawno już pozbył się ugrzecznoniego uśmiechu; teraz wargi mu drżały, a nozdrza rozdymały się tak, jakby miał zamiar kichnąć. Ewa zaczęła się bać. „Chryste Panie! Przecież to jest wariat. Kompletny wariat”, myślała. Spojrzała na Serge’a. „On też to chyba widzi? I co teraz? Trzeba stąd zwiewać, i to szybko. Nie wiadomo, co temu szaleńcowi może przyjść do głowy”.

Serge tymczasem spokojnie dopijał swoje piwo.

– Dla mnie przeznaczyl pan akonitynę, Court miał umrzeć od taksyny, a co pan zaserwował pani Ambroise albo biednemu Pierre’owi Renardowi? No, panie sprzątaczu, oświeci nas pan?

Aptekarz milczał.

– No dobrze. – Olovski westchnął teatralnie, wyciągnął nogi przed siebie i splótł ręce na brzuchu. – Powiem coś panu – pokiwał głową i potarł palcem oko – zaimponował mi pan.

Lebreton drgnął.

– Tak, zaimponował mi pan. Wpadł pan zupełnie przez przypadek. Jest pan mistrzem w swojej dziedzinie.

Podbródek aptekarza podjechał odrobinę wyżej, a Wolny myślała w panice: „Co on gada? Ten też zwariował, czy jak?”.

– Nie pochwalam tego, co pan robił, ale robił pan to po mistrzowsku. Gdyby mój kot przez przypadek nie otrul się tabletkami przeznaczonymi dla mnie, pewnie selekcjonowałby pan nadal populację La Ferté według własnego uznania. Ciekaw jestem po prostu, jak udawało się panu tyle czasu prowadzić tę swoją... działalność.

– Czy pomogą mi państwo zaprowadzić mojego przyjaciela, doktora Silviu, do toalety? Myślę, że od dłuższego czasu bardzo źle się czuje – zamiast odpowiedzi zapytał Lebreton swoim dawnym ugrzecznionym głosem. Nikt nie zaprotestował, więc Ionut został odprowadzony do łazienki, skąd wyszedł po dobrych kilku minutach jeszcze bledszy, z sino podkrążonymi oczami, za to z przytomniejszym spojrzeniem. Miał mokre włosy, pochłapaną koszulę, ale o własnych siłach wrócił na fotel, w którym zagłębił się, ciężko oddychając. Wsparł łokcie na kolanach, głowę na łokciach i tak zastygł, obolały i zawstydzony. Gospodarz w tym czasie sprawnie uprzątnął łazienkę, umył ręce i natarł je aloesowym balsamem własnej produkcji. Wróciwszy do gabinetu, zastał gości ze współczuciem i zrozumieniem spoglądających na zmaltretowanego Rumuna. Bez słowa sięgnął w głąb przeszklonej szafki, skąd wydobyl butelkę Rémy Martin Cellar No 16 i cztery kryształowe kieliszki.

– Trzymam go na specjalne okazje – poinformował uprzejmie. W demonstracyjnie widoczny sposób naciął i zdjął foliową opaskę, następnie odkorkował butelkę i nalał spore porcje. – Proszę, doktorze, niech pan to wypije. Poczuj się pan lepiej.

„Aptekarz, a klinem leczy”, pomyślała Ewa, zdziwiona, i nieufnie powąchała zawartość kieliszka.

– Wszystkim nam to dobrze zrobi – obwieścił serdecznie Lebreton i zasiadł w fotelu, podciągając lekko nogawki spodni, żeby uchronić je przed nieestetycznym wypychaniem się na kolanach. „Będzie się działo”, kontynuowała Wolny swoje nieme komentarze. „Aż dziw, że za oknem nie sypie śnieg, a w kominku nie trzaskają polana, czy jakoś tak”. Przez dłuższą chwilę Yorick delektował się koniakiem, kręcił kieliszkiem, oglądał go pod światło i cmoktał, smakując małeńkie łyki. Cała trójka przyglądała się temu spektaklowi w milczeniu, a farmaceuta rozkoszował się nie tyle smakiem trunku, ile zainteresowaniem, jakie wzbudzał. W końcu przełknął i grzejąc szkło dłonią, zaczął mówić cichym monotonnym głosem:

– Mój ojciec, Georges Lebreton, zmarł w dość dramatycznych okolicznościach. Uduślił się sztuczną szczęką. Był człowiekiem bardzo dbającym o swoją powierzchowność, więc nie wyjmował jej na noc. Zgubiło go to. Na dodatek miał zwyczaj zamykać na klucz drzwi sypialni, bowiem nie lubił być zaskakiwany w niekompletnym stroju. Pomoc przyszła zbyt późno.

„Człowiek w nerwach reaguje dziwacznie”, pomyślała Ewa Wolny, ze wszystkich sił starając się powstrzymać chichot.

– Bardzo ciężko przeżyłem tę śmierć, jak państwo się domyślicie. Minęło już z górą dwadzieścia lat, a ja nadal czuję obecność drogiego taty. Ten pierwszy najcięższy okres przetrwałem dzięki muzyce i lekturze. Badałem dziedziny, na które przedtem nie starczało mi czasu. Zainteresowałem się statystyką, zaciekawiło mnie pojęcie prawdopodobieństwa. Wpadła mi w ręce praca Williama Fine’a i dla własnej przyjemności zgłębiałem wskaźniki ryzyka dla występowania różnych zjawisk. Bawiłem się tym, żeby oderwać myśli od cierpienia. Nie ukrywam, że po części nietypowa przyczyna śmierci ojca spowodowała te zainteresowania, ale potem... Cóż, czas mijał, ból mijał, codzienne zwykłe życie egzekwowało swoje prawa. Angażowałem się coraz bardziej w prowadzenie apteki, zarzucając marzenia o pracy naukowej. Bo jestem nie tylko farmaceutą, lecz także doktorem chemii, napisałem również swego czasu bardzo dobrze ocenianą dysertację z farmakognozji... Ale to państwa pewnie nie interesuje...

Olovski zamiast odpowiedzi zapytał:

– To znaczy, że tak bardziej naukowo podszedł pan do sprawy? Siadł pan przy biurku i wyliczył sobie na kartce ryzyko wpadki?

– Mam interaktywny program pracujący w systemie Windows, wprowadzam parametry i...

– Dobrze, dobrze. – Serge miał już chyba dość namiętnych monologów Lebretona. Kończyła mu się cierpliwość. – Ale tak technicznie, to jak pan to robił?

– Poniekąd udzieliłem już panu odpowiedzi. Z racji mojego wykształcenia nie było to trudne. – Zamilkł i znów wszyscy skazani byli na obserwowanie kręcenia kieliszkiem, oglądania zawartości pod światło i delektowania się kolejnym łykiem koniaku. Ewa też łyknęła odrobinę i ponownie doszła do wniosku, że nie zostanie miłośniczką tego trunku. Na dodatek nagle poczuła się bardzo zmęczona i z trudem powstrzymywała ziewanie. Miała dość bombastycznych fraz Lebretona i nie bardzo rozumiała zachowanie Olovskiego. Panowie bawili się w jakąś dziwną grę. Ionut dogorywał, wciśnięty w fotel, a ona zapragnęła nagle jak najszybciej wrócić do domu, zaszyć się z książką w fotelu i popijać najzwyczajszą herbatę, a nie ten dziwaczny koniak trochę za mocno zalatujący cytrynowym i wanilią.

– Przepraszam, to w końcu zatrzał pan te tabletki dla Olovskiego czy nie? Bo jeśli tak, to dlaczego kot się otrął, a Serge żyje? Coś pan źle wyliczył?

Lebreton zamarł z uniesionym kieliszkiem. Oślupiały, patrzył na nią przez chwilę, aż w końcu wybuchnął śmiechem.

– Źle wyliczyłem? Ja? Droga pani, raczej pani żartować. Oczywiście, że dawka wyliczona była prawidłowo. – Znowu się roześmiał, tym razem nieco mniej teatralnie. – Pan Olovski miał po prostu szczęście. Do leku dobrał się kot i wcale się nie dziwię, że tabletki wzbudziły jego zainteresowanie. – Poprawił poły marynarki i kontynuował, wodząc wzrokiem między komisarzem a doktorem. Uznał widocznie, że Ewa nie jest w tym momencie odpowiednim partnerem do konwersacji. – Rozmawialiśmy o tym z panem Silviu na chwilę przed państwa wtargnięciem. Otóż, przygotowując ostatnią partię „Tabletek Lebretona”, wzbogaciłem je o *Nepeta cataria*. Wielkimi krokami zbliża się przecież sezon jesiennych niedyspozycji, a ta niedoceniana roślina ma działanie bakteriobójcze i przeciwzapalne. Pan cierpiał na infekcję górnych dróg oddechowych – aptekarz obdarzył Serge’a łaskawym uśmiechem – dlatego je panu poleciłem. A kot, no cóż, wyczuł nepetalakton. One to uwielbiają. Ten lekko cytrynowy zapach szalenie je podnieca.

– A jakby tak bardziej po ludzku, panie potrójny doktorze?

Uśmiech aptekarza tym razem był pełen politowania.

– Ach, no tak, oczywiście. Zapomniałem, że państwo jesteście totalnymi ignorantami. *Nepeta* jest znana pod popularną nazwą „kocimiętka”, a nepetalakton to substancja, na którą reagują koty. Nie podejmuję się tutaj i teraz wyjaśnić państwu tego fenomenu. W dużym uproszczeniu chodzi o feromony płciowe.

– Dobrze, już dobrze, o kocimiętce słyszałem. – Serge chyba też nie był fanem Cellar No 16, bo wprawdzie zamoczył wargi, ale zmarszczył nos i odstawił kieliszek prawie nietknięty.

– Więc kot się skusił na kocimiętkę. A akonityna była też w składzie pana cudownego leku?

– Jaki kod znalazł pan na opakowaniu?

– Chodzi panu o te cyferki dopisane cienkopisem? – Spośród opakowań „Tabletek Lebretona” komisarz wybrał jedno i przeczytał ledwo widoczny napis: – „02-A”.

Lebreton uniósł głowę i zapatrzył się w sufit. Potem westchnął i pokręcił głową.

– Przecież to bardzo proste, panie komisarzu. W opakowaniu przeznaczonym dla pana były dwie pigułki z akonityną. Nie wpadł pan na to?

Olovski pokiwał głową i wstał z fotela.

– Tak. To proste. – Zebrał wszystkie pudełeczka i wrzucił je do torby. – Pójdziemy już. Zrobiło się późno.

Wolny zerwała się, zdezorientowana. Popatrzyła na doktora, który chwiejnym krokiem, z głową wciśniętą w ramiona, zmierzał w stronę wyjścia. Poszła za nim. Serge dłużej przy zapięciu torby, poprawiał pasek, obciągał rękawy koszuli, ale robił to wszystko automatycznie, najwyraźniej myśląc o czymś innym.

– Tak, to bardzo proste – powtórzył i popatrzył jeszcze raz na Lebretona wyprostowanego w swoim fotelu.

Nie wymienili uśmiechów, Yorick jedynie lekko skinął głową.

---

14 *Fermé* (fr.) – tu: zamknięte.

## ROZDZIAŁ IX

Ni z tego, ni z owego Zosia postanowiła przyjechać. Ostatnio komunikacja z córką ograniczała się do wymuszanych przez Ewę SMS-ów, więc zapowiedziana (telefonicznie!) wizyta wprawiła ją w popłoch. Dom był zapuszczony, ogród wymagał ciągle jeszcze wiele pracy, a ona sama starannie unikała patrzenia w lustro, żeby dodatkowo nie psuć sobie humoru. Miała dwa dni na doprowadzenie do porządku siebie i wszystkiego dookoła. Sprzątała, grabiła, odkurzała, przycinała, szorowała, a na piątkowy poranek umówiła się do fryzjerki, która nie ustawała w namowach na położenie koloru, żeby zamaskować pojawiającą się gdzieś siwiznę. Farba na włosach może by ją odmłodziła, ale konieczność regularnego likwidowania odrostów przekraczała jej finansowe możliwości. Ograniczyła się więc do podcinania włosów co jakiś czas, pozwalając im spokojnie siwieć. Z salonu fryzjerskiego wyszła zadowolona i z ulgą pomyślała, że z zaplanowanych rzeczy zostało już tylko zrobienie zakupów. Najpierw piekarnia, a po przerwie obiadowej pomaszeruje do Intermarché z przygotowaną wcześniej listą i wieczorem będzie mogła coś upichcić. Pstoi trochę przy kuchni, ale za to przygotuje posiłki na cały weekend, żeby potem nie zawracać sobie głowy gotowaniem; chciała mieć jak najwięcej czasu dla córki.

Serge stał pod drzwiami, a z wypchanej torby wystawały mu dwa pory i kawałek liściastego selera.

– O, czekasz na mnie? – zapytała dość głupio, oklepując kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

– Nie, tak sobie stoję i liczę dziury w rynnach.

Odruchowo spojrzała w górę. Pozwoliła sobie pomóc przy otwieraniu, bo ręce miała zajęte bagietkami i pudełkiem z morelową tartą. Olovski rozejrzał się i z uznaniem pokiwał głową.

– Wszystko aż błyszczysz. Chyba też powinienem u siebie posprzątać.

– Zośka przyjeżdża, to dlatego. Denerwuję się, bo strasznie tajemnicza była przez telefon. Powiedziała tylko, że musimy pogadać.

Wzruszył ramionami i postawił torbę w kącie za lodówką.

– Są następujące możliwości: zmienia chłopaka, zmienia studia, zmienia pracę albo jest w ciąży.

Ewa zamarła z płóciennym woreczkiem na bagietki w jednej, a bułką w drugiej ręce.

– Fachowiec się znalazł. Wszystko to już przerabiałeś?

– Nie zapominaj, że moja Nathalie jest trochę starsza. Oczywiście są różne warianty, na przykład nie zmienia studiów, tylko je rzuca, a co będzie potem, to jeszcze nie wie. To samo może dotyczyć pracy, bo co do chłopaków, to...

– Wiesz co, może już przestań. Kawę ci lepiej zrobię, chcesz?

– A może chodźmy do Pascala na szklaneczkę? Przynajmniej nie narobimy tu bałaganu.

– Dobrze, ale ty stawiasz. U mnie w tym miesiącu cienko.

– Może być. W październiku kończy mi się jedna „płatność niedobrowolna”, możemy to uczcić.

– Co ci się kończy?

– Nieważne, chodź już.

Żona Pascala obsłużyła ich w pośpiechu i pobiegła do drugiej sali, skąd dochodziły szcęk sztućców, pobrękiwanie talerzy, apetyczne zapachy i gwar rozmów. Była pora obiadowa. Siedzieli, zapatrzeni, w pustą o tej porze ulicę. Ciszę przerwał Serge:

– Widziałeś się ostatnio z doktorkiem?

– Spotkałam go wczoraj, gdy wychodził od sąsiadów. Dziecko mają chore. Ale nie rozmawialiśmy o aptekarzu, jeśli o to ci chodzi. Nawet chciałam, ale gdy tylko się odezwałam, zrobił unik i nagle zaczął się bardzo spieszyć.

– Tak... – Olovski umoczył w winie palec i wodził nim po obwodzie kieliszka. – Cholera, nie wiem, co mam z tym zrobić.

– Z Lebretonem?

– No przecież. Przejrzałem jeszcze raz i uporządkowałem wszystko, co na niego mamy. Płynne to bardzo i niespójne. Znajoma Silviu, ta lekarka weterynarii, przesłała mi wyniki analiz i to są najbardziej konkretne rzeczy, jakimi obecnie dysponujemy.

– No, ale on się właściwie przyznał. Wszyscy to przecież słyszeliśmy. To nie wystarczy?

Olovski skrzywił się, podrapał nieogolony podbródek i sapnął, zirytowany:

– Niby tak...

– Serge? Chcesz mi powiedzieć, że ty tego nigdzie nie zgłosiłeś? W ogóle nic z tym nie zrobiłeś? Facet sobie po prostu miesza spokojnie te swoje mikstury i nadal truje ludzi, którzy mu podpadli?

– Też tam byłeś! Czemu ty nie zgłosiłeś?

– Boże, przecież ja się nie dogadam, wiesz o tym dobrze. Potraktują mnie jak jakąś nawiedzoną starą babę. I to mnie zamkną w psychiatryku, a on się ze wszystkiego wywinie...

– No właśnie o to mi chodzi.

– E tam, chciałbyś sam wszystko załatwić. Nie chcesz dać się chłopakom wykazać. Ambicja cię zżera, ot co. A on jest niebezpieczny...

– Chyba już nie.

– Myślisz, że jak go zdemaskowałeś, to się wystraszył? Przecież to wariat!

– Wariat – zgodził się Olovski. – Właściwie to nie ja go zdemaskowałem, tylko kot pani Hibou. I jestem prawie pewien, że aptekę to on sam podpalił.

Wolny omal nie zakrztusiła się winem.

– Jak to aptekę podpalił? O czym ty mówisz?

– No jak to? To ty nic nie wiesz?

– Serge, do roboty nie chodzę, plotek nie słyszę, no i dwa dni z domu nosa nie wystawiłam. Sprzątałam jak głupia.

– No tak, wzór dyskrecji. Ja dla odmiany spacerowałem sobie tamtędy i mogę cię zapewnić, że nie otworzył apteki następnego dnia. Okiennice cały czas były zamknięte naглуcho. Wczoraj wpadłem do Silviu. Próbowaliśmy dzwonić, ale nie odbierał telefonu. Uporządkowaliśmy z Ionutem wszystko, co wiemy. Amira obiecała przesłać wyniki analiz tych wszystkich tabletek, które zdobyłem...

– A właśnie, skąd je wziąłeś?

– Po prostu dzwoniłem na domowe numery tych ludzi z listy albo dobijałem się do sąsiadów. Najczęściej ktoś tam miał klucze i dostęp do domu. Nikt nie miał nic przeciwko temu, żeby zabrać niepotrzebne leki. Ludziom się nie spieszy ze sprzątaniem po zmarłych, zwłaszcza jeśli to nie jest bliska rodzina. Jak widziałeś, kilka tych pudełeczek uzbierałem, ale obawiam się, że są czyste. W końcu jeśli spełniły swoje zadanie, to znaczy, że te pozostałe pastylki nic podejrzanego nie zawierają. Zobaczymy... W każdym razie ustaliliśmy z doktorkiem, że poczekamy na te analizy i wtedy dopiero... Wczoraj wieczorem przez szpary w okiennicach widziałem światło. Musiał być w domu. Rano poszedłem na plac kościelny po warzywa i celowo nadłożyłem drogi, żeby rzucić okiem na aptekę, a tu niespodzianka! Straż właśnie kończyła. Strasznie to wyglądało. Musieli ewakuować sąsiednie budynki. Ludzie stali i czekali, pozawijani w koce, aż będą mogli wrócić do domu.

– Ale znaczy, że co?

– No jak to co? Około szóstej rano ktoś wezwał straż, bo ogień zaczął być widoczny na zewnątrz, choć w środku musiało się już palić od jakiegoś czasu. Nasi strażacy nie mogli sobie poradzić. Przyjechały jednostki ze Soissons i Lizy. Pokręciłem się tam trochę, trochę podsłuchałem, pogadałem z jednym z naszych strażaków. Znamy się z widzenia, przychodzi czasami do Pascala. Facet twierdzi, że to najprawdopodobniej podpalenie.

– To znaczy, że on...?

– Nie. Nikogo w środku nie znaleźli.

Siedzieli chwilę w milczeniu, mimo że Ewie nasuwały się dziesiątki pytań. Przy barze zaczęło przybywać klientów. Córka Pascala, Matylda, zajęła swoje stanowisko między pipą do piwa a ekspresem do kawy. Najwyraźniej kończyła się pora obiadowa. Olovski spoglądał na wychodzących z sali restauracyjnej. W pewnym momencie zerwał się z krzesła i podszedł do trzech mężczyzn, którzy po obiedzie zamówili jeszcze kawę u Matyldy. Wszyscy mieli ciemne kurtki z odblaskowymi naszywkami oraz ciężkie ubłocone buty. Ewa zerknęła na zegarek. Zaczęła powoli zbierać się do wyjścia, usiłując jednocześnie podsłuchać tych przy barze. Serge przywitał się, zapytał o coś, a potem tylko kiwał głową, słuchając, o czym opowiada najstarszy z nich, szczupły wysoki mężczyzna z rzadkimi włosami i widoczną blizną na policzku. Pozostali dwaj tylko od czasu do czasu wtrącali jakieś słowo. Na koniec Olovski wyjął portfel i ignorując protesty, zapłacił za kawy i dwa kieliszki jakiegoś digestifu, który panowie zamówili. Potem jeszcze raz uściśnął im ręce i wrócił do stolika.

– Spieszysz się?

– Trochę tak. Muszę zrobić zakupy.

– Zakupy?

– No, Zosia przyjeżdża, mówiłam ci przecież.

– I gdzie te zakupy chcesz robić, przecież Intermarché zamknięte.

– Ale za pół godziny otwierają, a zanim dojdę...

– Dziewczyno, Intermarché jest zamknięte, zlikwidowane, nieczynne. Nie ma Intermarché.

– Jak to nie ma? To gdzie ja zrobię zakupy? Co będziemy jadły?

– A kogo to obchodzi? – Serge uśmiechnął się złośliwie i wyglądało to tak, jakby osłupienie i przerażenie Ewy sprawiły mu przyjemność.

– Dyrekcja wyliczyła, że sklep tutaj im się nie opłaca. Dochody mieli za niskie, więc zamknęli. Nie wiedziałaś? Przecież to już ponad tydzień temu. Nawet jakieś akcje protestacyjne były, ale to nic nie dało. Grupa kapitałowa swoje wie. – I dodała na pocieszenie: – No to zakupy masz z głowy, możesz spokojnie dokończyć wino.

Wolny przycupnęła na brzegu krzesła. Miała ochotę się rozplakać. Wrócił zły nastrój, zaatakowały ponure myśli, codzienność znów stała się nie do zniesienia. Niechby ktoś pomartwił się trochę o nią, niechby chociaż przez krótki czas zajął się ciekącymi kranami, łuszczącym się tynkiem, pustą lodówką i pełnym kubłem na śmieci.

– Hej, co z tobą? Jesteś tu ze mną? – Olovski mówił, ale ona nie słuchała, pogrążona we własnych niewesołych rozmyślaniach.

– Mam w zamrażarce spory kawałek rostbefu. Coś z niego przyrządzisz, a jeśli potrzebujesz warzyw, to kupiłem dziś trochę różności na targu. Mogę się podzielić. – Pokręcił głową, bo Ewa cały czas miała dość nieprzytomną minę. – Wolny! Przegapiłaś likwidację sklepu, nie zauważyłaś gigantycznego pożaru dwie ulice dalej, i mam wrażenie, że bardziej interesuje cię gotowanie obiadu niż fakt, że gdzieś po okolicy grasuje wielokrotny zabójca. Na pewno dobrze się czujesz?

Zamrugła oczami.

– Niezbyt. Popsuleś mi humor. Łatwiej w tym miasteczku umrzeć, niż żyć. A swoją drogą, co ci powiedzieli strażacy? Znaleźli go?

– Nikogo nie znaleźli. Są pewni, że dom był pusty i że to było podpalenie. W garażu nie ma samochodu, a komórka właściciela nie odpowiada.

## ROZDZIAŁ X

**N**a stole leżał por, połówka dorodnego selera, kilka ziemniaków i trzy spore marchewki. Sprawiedliwie podzielił swoje zakupy na pół, żeby poratować biedną Ewę, która chciała dogadzać córce, gotując domowe obiady. Teraz przerzucał zgromadzone w zamrażarce produkty, szukając obiecanej wołowiny. Wszystko pokrywała gruba warstwa szronu. Przy okazji odkrył dwie torebki purée z marchwi, którego nigdy nie jadał, jagnięcy udziec zmrożony na kość, i to tak duży, że na pewno nie zmieściłby się do piekarnika, oraz pojemnik z malinami zebranych w jego własnym ogrodzie jakieś dwa lata temu. Mięso zawinięte było w folię aluminiową, więc wsadził je dodatkowo do plastikowej torebki, do drugiej wrzucił warzywa i rękawem przetarł stół. Poszperał w kredensie, dodał jeszcze puszkę ananasa i słoik marynowanych cebulek. Miał to wszystko podrzucić Ewie wczoraj, ale zasiedział się przy telefonie, a potem przysnął w fotelu i zrobiło się zdecydowanie za późno. Zakupy i temu podobne, przyziemne czynności jakoś nigdy nie leżały w centrum jego zainteresowań. Za ważniejsze uważał zamknięcie sprawy Lebretona. Daleki był od przyjemnego uczucia satysfakcji z zakończonej roboty. Nie uśmiechało mu się najprostsze rozwiązanie, czyli zwyczajne powiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Mógł to zrobić jak każdy obywatel, wypełniając odpowiedni formularz na odpowiedniej stronie internetowej, mógł zadzwonić albo zgłosić się osobiście na pierwszy lepszy posterunek żandarmerii. I już sobie wyobrażał, jak przed znużonym obliczem jakiegoś dyżurnego oficera snuje opowieść o szalonym trucicielu, martwym kocie i rozmowach z mordercą przy luksusowym koniaku.

Pożar apteki i zniknięcie Lebretona zmieniały nieco sytuację, a na pewno zdopingowały go do podjęcia bardziej zdecydowanych kroków. Wertował swój czarny notes. Widocznie sfrustrowany, przyglądał się zapisanym nazwiskom. Wypadł z obiegu. Mieszkał na wsi, z dala od znajomych, na dodatek całkiem niedawno, zupełnie niepotrzebnie, zawracał ludziom głowę, żeby dowiedzieć się czegoś o doktorze Silviu. Już wtedy czuł, że przez niektórych traktowany jest jak nachalny starszy pan, którego najchętniej spuściłoby się po brzytwie. W końcu odważył się zadzwonić do Rachel Tessier. Rachel była sędzią śledczym i cieszyła się bardzo złą sławą. Brzydka, złośliwa, wredna – taką miała opinię. Olovski był jednym z niewielu, a może i jedynym, który lubił z nią pracować. Może wredna i złośliwa, ale jemu też nic nie brakowało. A co do wyglądu, jakoś nigdy nie zauważył związku między kompetencjami a urodą, więc nie przyszło mu do głowy w ten sposób oceniać swoich współpracowników. Inspektor, z którym wtedy najbliżej współpracował, wyglądał w jego opinii zdecydowanie gorzej niż Tessier, a na pewno ona miała zgrabniejsze nogi. Jeśli się nie mylił, piętnaście lat młodsza Rachel powinna nadal być aktywna zawodowo, a cechy, które tak drażniły jego kolegów – upór, dokładność i nieustępliwość – powinny działać na korzyść w tej pogmatwanej i niejasnej sprawie. Dodzwonił się od razu na numer stacjonarny; słusznie uznał, że ludzie częściej zmieniają komórki niż mieszkania. Rachel wróciła właśnie z wakacji, które spędzała z synem, i zostało jej jeszcze kilka dni urlopu. Wysłuchała uważnie wszystkiego, co Serge miał jej do powiedzenia, a nawet zadała kilka pytań. Odetchnął z ulgą, bo potraktowała go poważnie i po krótkim namyśle obiecała zająć się tematem.

– Urlop mam do końca tygodnia, więc może nawet się do ciebie wybiorę? Pokażesz mi wszystko, co zgromadziłeś. Co ty na to?

– Świetnie. Przyjeżdżaj choćby zaraz. Zwłaszcza że bardzo mnie niepokoi to jego zniknięcie. Diabli wiedzą, co wykombinował, a inteligencji mu nie brakuje.

– No to jutro zaraz po śniadaniu wyruszam. Podaj mi dokładny adres.

Kładł się spać nieco spokojniejszy. Z przyjemnością myślał, że już wkrótce zobaczy tę chudą długonosą okulanicę o przylizanych rzadkich włosach. Była bystra i miała cięty dowcip, a na swojej robocie znała się jak mało kto.

Sięgając rano po puszkę z kawą, pomyślał, że przejdzie się do piekarni po ciasto, na wypadek gdyby Rachel miała ochotę na coś słodkiego. Wygrzebywał resztkę kawy i ciągle jeszcze uśmiechał się do siebie, kiedy nagle



dotarło do niego, co właściwie robi – wygrzebuje z puszki resztkę kawy. Resztkę! A nie miał w domu zapasu, bo jakoś tak zeszło i zakupy ciągle odkładał na później.

– Oż, jasna cholera! – zaklął i przypomniał sobie o Ewie Wolny czekającej na obiecany kawałek mięsa, bez którego nie mogła się spełnić w roli troskliwej matki. Wypił cienką lurę i zapakował torbę.

– Pomoc sąsiadka! – poinformował Zosię Wolny, wręczając jej zgromadzone zapasy. Otworzyła drzwi w piżamie i kosmatych kapciach-króliczkach. Zaspana, mrugała oczami, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Sklep nam zlikwidowali. Obiecałem mamie, że was poratuję.

Poszedł za nią do kuchni.

– Dziękuję. To miłe. Mama zaraz zejdzie, jest pod prysznicem. Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję, spieszę się. – Spojrzał na kuchenny zegar wiszący nad blatem. – Ale za to jeśli macie zapas, chętnie pożyczylbym paczkę kawy. Za chwilę ktoś ma do mnie przyjechać, a właśnie mi się skończyła...

– Sprawdź. Mama zawsze kupuje te duże kilogramowe opakowania, więc chyba coś się znajdzie. – Zosia wspięła się na palce i sprawdziła zawartość górnych szafek.

– O! Jest! Wiedziałam, że będzie zapas. Proszę. Jedna paczka wystarczy?

– Jasne. To tylko na dziś. W przyszłym tygodniu i tak musimy się jakoś zorganizować z zakupami. No to jeszcze raz dziękuję.

– Nie poczeka pan na mamę?

– Nie. Naprawdę muszę już uciekać. Bawcie się dobrze, dziewczyny. – Cmoknął ją w oba policzki i szybkim krokiem pomaszerował w stronę domu.

Dopiero kiedy, zasapany, zwolnił na stromej brukowanej rue des Rats, uświadomił sobie, że zapomniał kupić ciasto. Z każdym dniem wspinanie się na zamkowe wzgórze sprawiało mu coraz większą trudność. Gdyby nie pośpiech, wybrałby dłuższą, lecz mniej stromą wyasfaltowaną rue du Vieux Château. Nie chciał jednak, żeby Rachel czekała pod drzwiami. Sapał więc, zatrzymywał się, żeby złapać oddech, i jak zwykle w takich razach chodziło mu po głowie, że wreszcie powinien spróbować uruchomić samochód. Zwłaszcza teraz, kiedy po zwykłe zakupy trzeba będzie jeździć do sąsiednich miejscowości. Ocierając pot z czoła, obiecał sobie, że zaraz w poniedziałek weźmie się za to. Sprawdzi, czy silnik da radę odpalić, znajdzie jakiegoś mechanika, a może nawet porozmawia z synem, który już dawno proponował pomoc przy zamianie samochodu na mniejszy. Ale to wszystko w przyszłym tygodniu. Najpierw trzeba zakończyć sprawę tego szaleńca.

Ani przed domem, ani na parkingu obok zamku nie zauważył żadnych obcych samochodów. Uspokojony, otworzył drzwi i zajrzał do skrzynki na listy, bo po drodze mijał go żółty pocztowy renault. Torbę powiesił na oparciu krzesła, listy rzucił na stolik obok telefonu i pobiegł do łazienki. Dochodziła jedenasta, kiedy Rachel Tessier zadzwoniła do drzwi. W dzinsach i kolorowej trykotowej bluzce wyglądała zupełnie inaczej, niż ją zapamiętała.

– Cześć stary dziku – przywitała go, całując w policzek. Trzymała przed sobą kolorowe pudełko z ciastem. – Masz, wstaw do lodówki – dodała, wyciągając z torby butelkę białego wina. Rozsiedli się w kuchni, przy otwartych drzwiach do ogrodu. Wciąż było bardzo ciepło, ale szare ciężkie chmury zniechęcały do instalowania się na zewnątrz. Ciasto było pyszne, lekkie, pełne owoców i bitej śmietany. Zjedli po dwa spore kawałki, obgadali przy okazji wspólnych znajomych, sprawy rodzinne i aktualne problemy. Wzajemna sympatia nie wygasła, wzajemne zaufanie również miało się nieźle. Rachel wylizała resztki bitej śmietany z łyżeczki, westchnęła, przeciągnęła się i nie pytając o pozwolenie, zapaliła papierosa.

– Przestałeś? – zdziwiła się, bo Serge nie sięgnął do podstawionej mu paczki.

– Musiałem. Za dużo to kosztuje.

Pokiwała głową i wydmuchała dym w stronę otwartego okna.

– No to nalej nam tego wina, które przywiozłam, i pokaż, co tam masz w sprawie aptekarza.

Zerwał się skwapliwie, poszedł do lodówki, po drodze wsunął sobie pod pachę wyjętą ze skrzynki dzisiejszą pocztę. Popijali w ciszy schłodzone sauvignon. Rachel, skupiona, czytała notatki Serge'a, układała je w jakimś tylko dla siebie właściwym porządku, wracała do niektórych stron. Jednocześnie zapisywała coś w niewielkim notesie,

marszcząc czoło i od czasu do czasu poprawiając duże, ciężkie okulary. Olovski chwilę jej się przyglądał, w końcu zajął się rozcinaniem kopert i przeglądaniem poczty. Nie było tego dużo. Jak zwykle pod koniec miesiąca pojawił się wydruk z konta bankowego, informacja o automatycznym przedłużeniu umowy ubezpieczeniowej, kilka reklam, przypomnienie o zbliżającym się terminie upływu ważności karty Visa. Elegancka żółtawa koperta, którą zostawił na koniec, nie miała stempla pocztowego, a adres wypisany był ręcznie starannym charakterem pisma. Przypuszczał, że to zaproszenie wrzucone do skrzynki przez członków jakiegoś miejscowego stowarzyszenia. Otworzył bez specjalnej ciekawości, bo nie miał w planie angażować się w żadną społeczną działalność.

W kopercie były trzy kartki równie eleganckiego, wypełnionego gęstym drukiem, papieru. Komisarz zaczął czytać...

*Drogi Panie Olovski,*

*na wstępie pragnę wyrazić moje zadowolenie, że dzięki dość nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności uniknął Pan konsekwencji przyjęcia „Tabletek Lebretona”, przygotowanych specjalnie dla Pana. Proszę sobie nie wyobrażać, że zmieniłem zdanie na Pana temat. Nadal uważam, że spełnia Pan wszelkie kryteria, którymi posługiwałem się przy moich wyborach, jest Pan jednak jedyną osobą, o której wiem, zainteresowaną moją działalnością i doceniającą misterność projektu. Spieszę więc zaspokoić Pana ciekawość. Czynię to z prawdziwą przyjemnością i satysfakcją, zdając sobie sprawę po naszym spotkaniu, że zmuszony będę podjąć kroki uniemożliwiające ponowne rozmowy.*

*Jest Pan osobą dociekliwą i z pewnością dręczyłyby Pana pytania bez odpowiedzi. Spieszę więc z wyjaśnieniami, by nie gubił się Pan w domysłach. Dlaczego? Byłem może nadmiernie impulsywny podczas naszego spotkania, ale częściowo wyjaśniłem już swoją motywację. Widziałem jednak absolutny brak zrozumienia z Pańskiej strony. A przecież sprawa jest prosta. Proszę tylko uzmysłwić sobie, że w mojej rodzinie tradycyjny jest zawód farmaceuty. Ja ten zawód wykonuję z woli mojego ojca, ale i z powołania. I uważam, że jest to nie tyle zwykły zawód, co misja. Misja polegająca na walce ze wszelkimi chorobami, zwyrodnieniami, aberracjami. Lekarze, zwłaszcza tutejsi wiejscy medycy, mogą jedynie wskazać w przybliżeniu strefę ataku, ale potem do działania przystępuję Ja. To Ja przygotowuję środki, którymi tę chorobę można zniszczyć, to Ja nimi dysponuję. Teraz mnie pan rozumie? Nie jestem byle sklepikarzem, jak ci młodzi ludzie z drogerii przy Avenue Pasteur, jestem naukowcem, który wykorzystując swoją rozległą wiedzę, postawił sobie za cel zwalczanie zaburzeń i nieprawidłowości funkcjonowania organizmu. A jeśli nasze La Ferté potraktujemy jak toczony chorobą organizm? Bo to miasto jest chore, Drogi Komisarzu. Pan jako przybysz może tego nie zauważać, proszę jednak nie zapominać, że moja rodzina zamieszkuje tu od czterech pokoleń. Ja sam związany jestem z tym miejscem od urodzenia i przez całe swoje życie obserwowałem jego stopniowy upadek i degrengoladę. Nie jestem lekarzem, nie podejmuję się diagnozować. Tym bardziej w tak złożonym przypadku określenie przyczyn wykracza poza moje kompetencje. Objawy są jednak bardzo widoczne. Puste niszczące budynki. Starzy zaniedbani ludzie. Brzydzy i aroganccy, źle wychowani ignoranci. Agresywni i pyszni. A ludzi pięknych, wartościowych, twórczych coraz mniej. Nie starcza dla nich miejsca pośród tych leniwych gruboskórnych impertynentów.*

*Opracowałem więc własny projekt, bo uważam, że początkiem i przyczyną tej degrengolady są właśnie ludzie. To oni przecież tworzą to miasto. A tym akurat mogłem się zająć. Dla dobra La Ferté, dla dobra nas wszystkich, dla zwykłego poczucia estetyki, dla odrobiny piękna i zwykłego komfortu. Moje wybory były zawsze staranne i przemyślane. Z racji pełnionej funkcji miałem możliwość czynienia odpowiednio długich obserwacji. A kiedy już podjąłem decyzję, konsekwentnie likwidowałem kolejną pokraczną, zbędną, rakową narośl, kolejne obrzydlistwo wyłazące z ciemnych zakamarków, pyszniące się swoją ohydą, kpiące z piękna, mające za nic wszelkie formy, zasady, wszelki porządek i harmonię.*

*Mam nadzieję, że moje motywy są teraz dla Pana bardziej zrozumiałe, przejdę więc do części czysto technicznej, wyjaśniającej, w jaki sposób realizowałem swój plan, gdyż, jak się domyślam, nie jest to dla Pana do końca jasne. Bazowałem na „Tabletkach Lebretona”. Starą recepturę mojego pradziada*

*modyfikował już dziad, potem ojciec, a wraz z nim i ja, kiedy zaczęłam pracować w naszej aptece. Zasada była prosta – do podstawowych składników dodawaliśmy, stosownie do potrzeb, bądź środki wspomagające trawienie, bądź też takie, których działanie chroniło górne drogi oddechowe. Opakowanie zostawiliśmy to samo, tradycyjne. Ojciec opracował kod, według którego orientowaliśmy się, które tabletki polecić której osobie, wiedząc, na co się uskarża. Tak powstał mit rewelacyjnych uniwersalnych tabletek. Po śmierci ojca kontynuowałem produkcję „Tabletek Lebretona” i nadal je ulepszałem. Tu, oprócz farmacji, przydały się moje studia z farmakognozji i chemii – tabletki były coraz skuteczniejsze i zyskiwały na popularności. Realizując swój projekt, wykorzystalem tę popularność i tę samą zasadę. Dla wytypowanych pacjentów preparowałem specjalne zestawy w zależności od dolegliwości, na które się uskarżali. W opakowaniu zawsze jest trzydzieści pastylek, a w moim zestawie specjalnym wśród trzydziestu znajdowała się ta jedna, szczególna. Tak, komisarzu, tylko jedna pastylka. Stąd na niektórych opakowaniach dostrzegł pan oznaczenia „01”. Większość produkcji tegorocznej na sezon jesienny ma oznakowanie „02”. Cóż, być może powinienem być bardziej cierpliwy.*

– Mało tu konkretów – odezwała się Rachel znad papierów. – Najlepsze, co udało ci się znaleźć, to nienapczęte opakowanie leków z dwiema tabletkami zawierającymi taksynę. Ale analizę zrobili twoi znajomi zupełnie nieformalnie. Proceduralnie to jest nie do obrony. Nawet jeśli rodzina tego pana Courta potwierdzi, że przekazali ci nienaruszone pudełeczko.

Serge oderwał wzrok od listu i popatrzył na Tessier.

– Tak, wiem. Dlatego wezwałem cię na pomoc. Ale popatrz na to. To jest chyba przyznanie się do winy. Chociaż pisze tak, że szlag trafia przy czytaniu. Bełkot straszny. – Podsunął jej dwie pierwsze strony, sam zaś z coraz większą niecierpliwością czytał ostatnią. Przez chwilę ciszę zakłócały tylko szelest kartek i niecenzuralne pomruki Olovskiego. Tessier spokojnie analizowała tekst. Marszczyła nos pod przyciężkami oprawkami okularów i notowała zawzięcie w swoim kajecie. Przeczytała ostatnią stronę, zdjęła okulary, potarła oczy i pukając długopisem w stos papierów, stwierdziła ze wzruszonymi ramionami:

– No to nie musimy się specjalnie wysilać. Pocztą to przyszło?

– Nie. Nie ma stempla, musiał wrzucić do skrzynki. Ale jest podpis.

– Owszem. Są też ręczne poprawki, skreślenia i dopiski. Masz rację, to kompletny wariat. Wierzyć się nie chce. Musiał to robić od dobrych kilku lat. Najpierw trochę nieśmiało, a potem coraz odważniej.

– Chwali się, że Marlotowi podrzucił trzy tabletki z jadem kielbasianym, bo to był obzartuch i pijak, i że to pierwszy i jedyny raz, kiedy zastosował kod „B.03<sup>15</sup>”. Musiał go jakoś szczególnie nie lubić. A Marlot zmarł chyba ze cztery lata temu. – W pewnym sensie imponujące. Aż dziw, że nikt nie zauważył niczego podejrzanego.

– Wybierał ludzi samotnych i chorych, którzy konali bez świadków. Lekarz przychodził, widział zestaw leków przy łóżku, więc spokojnie i z czystym sumieniem wypisywał akt zgonu. A krewni, jeśli w ogóle się pokazywali, załatwiali konieczne formalności i znikali. Jeśli dobrze zrozumiałem, to dobierał trucizny tak, żeby objawy zatrucia przypominały symptomy choroby. Marlot na przykład był obzartuchem i pijaczną, więc ten jad kielbasiany do niego pasował. Gdyby nie nasz nadwrażliwy Silviu, Yorick mógł wymordować drugie tyle, zanimby wpadł na jakiejś głupocie.

Rachel spojrzała na zegarek i po krótkim zastanowieniu dołała sobie wina.

– Głodna się robię. Weźmiesz mnie gdzieś na obiad?

Po chwilowym ataku paniki Serge uznał, że może sobie pozwolić na to finansowe szaleństwo, ale pod warunkiem, że zapłaci czekiem i do końca miesiąca nie wyda już ani centyma. Westchnął, w myślach pożegnał się z koncepcją naprawy samochodu w ciągu najbliższych tygodni i zaproponował Starą Remizę, knajpkę, o której wiedział, że jeśli dają dobrze, a miejsc nie trzeba wcześniej rezerwować.

– Tylko jeśli mi obiecasz, że go przyskrzynisz.

– Nie martw się, znajdziemy go. Chłopcy już mi go sprawdzają w systemie krajowym. Namierzemy ten jego samochód.

W Starej Remizie rzeczywiście nie było tłoku. Na antresoli skonstruowanej z metalowych płyt i rur kilka stolików nakrytych czerwonymi obrusami czekało na klientów. Z kuchni dolatywały obiecujące zapachy, a chłopak w czarnym długim fartuchu nalewał drinki parze młodych ludzi.

– Sympatycznie tu – stwierdziła Rachel, bełtając rurką w swoim mojito. – Słomkę mi dali szklaną, a nie plastikową, a miętę chłopak na moich oczach skubał z doniczki.

– Tak, to sympatyczne. A cukier ci wsypał gotowy czy wyciągnął spod baru wiązkę trzciny i na twoich oczach przerobił na cukier?

– Hm, chyba brał z cukiernicy. I kadzi z melasą też nie zauważyłam, więc i rum już pewnie miał gotowy. – Tessier zabułgotała przez słomkę, wzbudzając w szklance mętne wiry i poklepała Olovskiego po ręce. – Stary dobry Serge! Czego się wściekasz? Tak ci wszedł za paznokcie ten Lebreton? Widziałeś przecież w życiu gorsze rzeczy.

– Może i tak, ale przyznasz, że to ponura sprawa. Jak pomyślę, że tyle lat był bezkarny... – Krzywiąc się, przelknęła tańszą z dwóch dostępnych gatunków whisky i postanowił wziąć się w garść. Tak naprawdę był rozdrażniony, bo wychodząc z domu, zapomniał książeczki czekowej. W efekcie skazany był na swoją Visę, która o tej porze miesiąca mogła odmówić współpracy. Bardzo nie chciał najeść się wstydu, a Rachel już na początku wybrała jeden z najdroższych koktajli.

W porze wydawania posiłków barman pełnił również funkcję kelnera. Jego czarne glany łomotały na metalowych stopniach, gdy biegał, obsługując na zmianę gości czekających na zamówione dania oraz tych, którzy wpadli tylko na szklaneczkę czegoś mocniejszego i woleli zostać na dole, okupując wysokie stołki albo miejsca przy maleńkich stolikach upchniętych pod ścianą. Przy barze zaczął robić się ścisk, wdrapali się więc po schodach i zajęli przygotowany dla nich stolik. Dwa egzemplarze menu oprawionego w gruby czarny karton z czerwonym nadrukiem „Stara Remiza” leżały obok nakryć. Rachel zagłębiła się w rozdziale „Entrée”, natomiast Serge przeglądał uważnie rubrykę z cenami. Zamówienie zostało przyjęte i kelner, podzwaniając przypiętymi do paska otwieraczami i korkociągami, pobiegł w stronę kuchni, przepuszczając po drodze kolejnych gości.

Wolny, odświętnie wystrojona, rozglądała się w poszukiwaniu wolnego stolika, gdy jej wzrok napotkał zdziwione spojrzenie Olovskiego. Za nią z miną z wielkomięjską pogardliwą stała Zosia spowita w czerń. Jedyne kolorowe plamy stanowiły czerwone trampki i wściekle żółty kabel od słuchawek zwisający u szyi.

– Co tu robicie i co się stało z moim mięsem?

Ewa podeszła z wahaniem, skinęła głową w stronę Rachel i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Dzień dobry. Moknie w marynacie. Córka zaprosiła mnie na kolację.

– A, to w porządku – odparł uprzejmie Serge i z niepokojem zauważył, że Tessier szczerzy swoje mysie zębki do obu pań.

– Mam na imię Rachel. Może się do nas dosiądziecie? Dopiero zamówiliśmy. Razem będzie weselej.

– Ewa Wolny. A to moja córka Zofia – przedstawiła się Ewa, nie licząc w tej kwestii na Serge’a.

– Sophie – poprawiła młoda. Krytycznym spojrzeniem obrzuciła kolorową bluzkę pani sędzi i wypłowiwały kołnierzyk koszuli Olovskiego.

– Taa, jak najbardziej – mruknął komisarz, przemnażając w myśli średni koszt obiadu razy cztery.

Nawet nie zdążył mrugnąć, a już zawiązała się babska koalicja. Siedział, naburmuszony, dziobał widelcem w talerzu, polując na kawałki mięsa i od niechcienia przysłuchiwał się paplaninie kobiet. Co jakiś czas zamieszanie zwiększał energiczny kelner, który okazał się bratem koleżanki czy też może kolegą brata Zosi, więc wymianę nakryć albo dostarczanie kolejnych dań młodzi ludzie wykorzystywali na krótkie pogawędki. Przegapił, kiedy rozmowa zeszała na pożar apteki i Lebretona. Dopiero skierowane wprost do niego pytanie wyrwało go z zadumy.

– Myślisz, że coś się uratowało? – Rachel i Ewa przyglądały mu się z równą uwagą.

– Co?

Tessier porozumiewawczo spojrzała na Wolny (a przynajmniej tak mu się wydawało).

– Zastanawialiśmy się, czy ocalał ogród z kolekcją tych wszystkich trujących roślin, które Lebreton wymieniał w swoim liście.

– Nie mam pojęcia. Strażacy wszystko zabezpieczyli i pewnie nie da się tam wejść, ale jeśli chcecie, możemy się potem przejść i spróbować coś wywęszyć.

Poszli we troje. Zosia postanowiła posiedzieć przy barze i pogadać ze znajomym do zamknięcia lokalu, a jej matka nie miała nic przeciwko temu. Wiedziała, że Starą Remizę zamykają najpóźniej o północy. Wychodząc, poprosili o dwa rachunki. Polki zapłaciły za siebie, a Rachel uparła się, że skoro ona zaproponowała wyjście do knajpy, to znaczy, że bierze na siebie koszt kolacji. Podroczył się chwilę dla zasady, ale w głębi duszy głęboko odetchnął. Gdyby wcześniej się dogadali, wieczór byłby dużo przyjemniejszy.

.....

15 „B” od botulinotoksyny (inaczej jad kiełbasiany), stąd litera „B” w oznaczeniach Lebretona.

## ROZDZIAŁ XI

Zosia odjechała, a Ewa, zamiast odprowadzić ją na dworzec, stała w oknie i patrzyła na oddalającą się sylwetkę szczupłej młodej kobiety z plastikową walizką na kółkach i kolorowym plecaczkiem przewieszonym niedbale przez jedno ramię. Ale nie widziała młodej kobiety, widziała swoją małą dziewczynkę, naiwną, narażoną na tyle niebezpieczeństw i rozczarowań. Cisza aż uwierała. Próbowwała włączyć muzykę, choćby radio czy telewizor, ale wszystko ją mierzilo, więc jedynie wsłuchiwała się w tę ciszę z dziwnym napięciem. Czekala na jakiś dźwięk, który miałyby pojawić się nie wiadomo skąd. Z jakiegoś powodu nie chciała wchodzić na górę, mimo że zwykle kontrolowała, czy dzieci, wyjeżdżając, nie zostawiły ładowarki, kluczy, niezbędnych ciuchów lub dokumentów, co się czasami zdarzało. Usiadła na krześle i wpatrywała się w zabałaganiony kuchenny stół, zlew pełen brudnych naczyń i upapraną sosem kuchenkę. Telefon położyła przed sobą i co chwila sprawdzała, czy nie pojawił się SMS od córki. Miała napisać, jak tylko wsiądzie do pociągu, a potem dać znać, czy nie było problemów z przesiadką. Tkwiła tak dłuższą chwilę, zupełnie bez ruchu. W końcu wstała i mechanicznymi ruchami zaczęła zbierać ze stołu talerze, szklanki i kieliszki. Omijała filiżankę Zosi, w której resztką kawy zdążyła już dawno wystygnać. Zupełnie jakby oczekiwała, że córka wróci i dopije ten ostatni łyk. „OK. Wszystko punktualnie. Buziak”. Aż podskoczyła, gdy telefon zasygnalizował nadejście wiadomości. Drżącymi rękami odpisała: „Super. Napisz z Meaux. Buziak”. Dopiero wtedy wzięła się jakoś sensowniej za porządkowanie i zaczęła mruczeć coś pod nosem. Mruczenie pod nosem było formą dialogu pozornego, inaczej – dość chaotycznym gadaniem do siebie. Stosowała je od kilku lat w swojej samotni, najpierw z niejakim zawstydzeniem, a potem zupełnie otwarcie. Udało jej się w ten sposób obgadać (albo zagadać?) całkiem sporo problemów. Na dodatek cisza, zdezorientowana, wycofywała się gdzieś, a wraz z nią nieprzyjemne uczucie izolacji. Trzaskała drzwiczkami szafek, dzwoniła wrzucanymi do szuflad sztućcami i mamrotała z coraz większą energią. No bo jak to tak, że Zosia wyjeżdża do Londynu i będzie jeszcze dalej od domu, od niej, niż do tej pory? Jak to tak, że nie zamierza na razie kończyć studiów, tylko poprzestać na licencji, a w tym Londynie szukać jakiejś pracy? Co to w ogóle znaczy „na razie”? I kto to w ogóle jest ten Guillaume, dla którego ona tak się rzuca na głębką wodę? I skąd nagle Londyn? Co to za pomysł?

Kuchnia zaczęła jako tako wyglądać, postanowiła więc w nagrodę zaparzyć sobie dobrej porządnej herbaty. Nie mogła się zdecydować, czy ma to być zielona z pigwą, czy raczej mieszanka o zapachu migdałów, a może po prostu earl grey z odrobiną mleka. Woda już prawie wrzała, a ona patrzyła na kolorowe opakowania i bębniła palcami w drzwi szafki. W końcu sięgnęła po pierwszą torebkę z brzegu. „Bo ty, mamo, musisz zdecydować, czego tak naprawdę chcesz. Odkąd tato umarł, to właściwie tylko tak sobie żyjesz. I nic więcej”. No i jak tu nie mamrotać, skoro własne dziecko potrafi coś takiego w oczy powiedzieć.

Telefon zawibrował, a potem zagrał melodyjkę, której nie znała. Zośka musiała znowu grzebać w ustawieniach.

- Dobry wieczór. Co robisz? Nie przeszkadzam ci?
- Przeszkadzasz. Podejmuję decyzję, jakiej herbaty się napić.
- Napij się owocowej. Z malin albo z dzikiej róży z jabłkiem. Od tego nie żółkną zęby.
- Serge, dzwonicz, żeby porozmawiać o wpływie herbaty na moje zęby?
- Sama zaczęłaś z tą herbatą. Ja dzwonię, żeby zapytać, czy masz jakieś plany na jutro.

No i proszę. Proste niewinne pytanie, ale rozmowy z Zosią spowodowały efekt uboczny. Mruknięła w odpowiedzi coś w rodzaju: „A o co chodzi?”, bo najbardziej na świecie miała ochotę na: „Och, wiesz, przykro mi, ale jutro jestem zajęta. Muszę to i to, i to, a potem tamto i owamto”. Poczwały się lepiej. Poczwały się ważna, zajęta, aktywna, po prostu normalna. A tak to co? Roboty nie ma. Z nikim się nie umówiła, a wszelkie prace domowe można przecież

przełożyć. Czyli że co? Że tak siedzi i tylko czeka na telefon od Olovskiego? Na każde zawołanie, o każdej porze poci? Cholera. Zośka ma rację. Powinna poważnie zastanowić się nad swoim życiem.

– Halo? Jesteś tam?

– Jestem, jestem. Po prostu miałam ochotę odpocząć w samotności.

– Daj spokój. Córka ci humor popsuka? Co, zmiana studiów, chłopaka czy jednak ciąży? Zresztą nieważne, opowiesz mi później. Słuchaj, jutro przyjeżdża sędzia Tessier i pomyślałam, że może byśmy się wszyscy spotkali. Nie próżnowała dziewczyna. Wiem tylko, że namierzyli samochód Lebretona, a resztę Rachel opowie już na miejscu. Ma się zabrać rano z technikami.

„To jak? Znajdziesz chwilę?”. Chwilę? Ma do dyspozycji cały dzień. Całe mnóstwo dni. Oczywiście, że znajdziesz czas, żeby dowiedzieć się czegoś nowego w sprawie Lebretona. Sprawie, która ciągle wydaje jej się zupełnie nierealna. Nawet spacer pod spaloną aptekę i przysłuchiwanie się rozmowie Serge’a i Rachel niewiele pomogły w próbie zrozumienia tego szalonego człowieka.

\*\*\*

Smród pogorzelniska czuć było z daleka. Widok osmalonych murów i wypalonych okien przygnębiał, a czarne otwory spalonego domu rzeczywiście, jak to piszą w książkach, przypominały makabryczne puste oczodoły. Wszystko otoczone żółtymi taśmami. Dodatkowo dostępu broniły metalowe płotki ustawione wzdłuż chodnika. Rachel wypatrzyła wewnątrz budynku aluminiowe stemple i to przeważało – postanowili jednak nie włamywać się do środka tylko po to, żeby sprawdzić stan ogrodu. Metalowe podpory wyglądały groźnie i sugerowały, że taka wycieczka może się źle skończyć. Czasowo ewakuowani mieszkańcy sąsiedniego budynku wrócili już do siebie, bo przez szpary okiennic sączyło się światło. Olovski uparcie krążył wokół ogrodzenia, usiłując wypatrzeć jakąś dziurę, szparę, zapomnianą furtkę, żeby jednak wdrzeć się na tyły posesji. Ale i on dał się w końcu przekonać, że pożar musiał być zauważony dość wcześnie i nie rozprzestrzenił się na tyle, aby zniszczyć ogród. Przyjdą tu później, kiedy budynek będzie już odpowiednio zabezpieczony.

To wtedy dowiedziała się o liście Yoricka. Treść opowiadali jej na zmianę, a co bardziej skomplikowane fragmenty Serge obiecał przełożyć na polski i przesłać jej mailem. Aptekarz z nieukrywana dumą, bardzo wymyślnym stylem opisał, w jaki sposób „porządkował” populację miasteczka. „Przerażające!” – powiedziała wówczas. Przerażające i nadal nierealne.

Jak dobrze, że posprzątała po wyjeździe Zosi. Rano miała dzięki temu czas na pójście po świeże pieczywo, przygotowanie kombinowanej sałatki i nakrycie stołu, żeby nie biegać z talerzami, gdy już wszyscy się pojawią. Potem długo jej zeszło z prysznicem, myciem głowy i wybieraniem ubrania. I nie dlatego, że nagle zrobiła się kapryśna. Po prostu zawzięcie szukała w szafie czegoś, w czym będzie jakoś wyglądać. „Jakoś” oznaczało możliwość swobodnego oddychania, schylania się bez ryzyka strzelających guzików, no i żeby strój maskował tę morenę boczną, która przy każdym ruchu tworzyła się na jej plecach. Wspaniale byłoby również, gdyby strój nie miał żadnych widocznych plam, postrzępionych obszywek i wypalonych papierosami dziurek. Od czegoś przecież trzeba zacząć to branie się za swoje życie. Obiecała córce. A *boeuf de bourguignon*, który gotowały z Zosią, zamiast do zamrażarki Serge’a powędruje dziś na stół. Olovski uznał, że to świetny pomysł. On jakoś bez wołowiny przeżyje, a nie zaproszą przecież wszystkich do knajpy, bo ani jego, ani jej na to nie stać.

Nadłżyła drogi, idąc po pieczywo, żeby rzucić okiem na aptekę Lebretona, ale nie wypatrzyła ani Serge’a, ani Rachel. W ogóle niewiele było widać. Okna i drzwi zasłonięte folią, mnóstwo samochodów z jakimiś obcymi rejestracjami zaparkowanych wzdłuż jezdni i tłumek gapiów kręcących się po przeciwnej stronie ulicy. Uniosła się honorem i nie dołączyła do ciekawskich. Była w tym również odrobina poczucia wyższości. Za kilka godzin dowie się przecież wszystkiego z najbardziej wiarygodnego źródła.

\*\*\*

Pierwszy pojawił się Ionut Silviu. Przygaszony, zmęczony i onieśmielony. Przyniósł ze sobą dwie butelki wina i spory kawał sera z ciemną chropowatą skórką. Usadziła go w salonie i delikatnie, acz stanowczo odsunęła wazonik

z marcinkami, bo skubał nerwowo płatki. Bała się, że przewróci kwiatki i wyleje wodę. Nie chciał kawy ani herbaty, nie chciał wody ani wina, za to w końcu wydusił z siebie pytanie, czy nie miałyby szklaneczki czegoś mocniejszego, bo właśnie tego potrzebuje w tej chwili najbardziej. Miała. Olovski pomyślał o tym i podrzucił rano kosz owoców i butelkę armagnaca. Nalała szczerze i przysiadła się ze swoją herbatą.

– A wie pani, pacjentka mi dzisiaj zmarła. Bardzo ją lubiłem.

– Przykro mi – powiedziała, bo co innego miała powiedzieć.

– Tak, tak. Tylko, wie pani, ona też miała te „Tabletki Lebretona”. Sam jej zawoziłem. I teraz nie wiem... Bo tam u niej znaleźli dwa opakowania, jedno nawet nienapoczęte, a na drugim, otwartym, był ten kod „02”. Pan Olovski wszystko mi wyjaśnił. A ja nie wiem, które jej przyniosłem. Zwykle czy te specjalne? – Znowu wyciągnął rękę do kwiatków, ale były za daleko, więc napił się i popatrzył na Ewę jakoś tak żałośnie.

– Ja ten list czytałem, bo pan Olovski go skopiował i przysłał mailem. A pani?

– Nie. Nie miałam kiedy.

– Straszne! Straszne! A ja tego człowieka widywałem kilka razy w miesiącu i nic nie zauważyłem. Nic! Jeszcze zlecałem mu robienie leków dla moich pacjentów, wyobraża sobie pani? Taki był pomocny. Pasjonat, można powiedzieć. Znał się na swojej robocie. Diabelnie dobry farmaceuta.

– Tak. Diabelnie dobry. No cóż, nikt nie przypuszczał... – Z ulgą przywitała dzwonek do drzwi, bo jeszcze chwila, a Silviu zalały się łzami, albo, co gorsza, zażyczył sobie kolejną szklanekę mocnego bądź co bądź trunku. Tessier trzymała w dłoni czerwone espadryle. Od progu poprosiła o możliwość skorzystania z łazienki. Nogatki spodni miała przemoczone i obryzgane błotem, a smugi czegoś zielonkawego widać było nawet na twarzy i na zlepionych potarganych włosach. Koloru pantofli, które miała na nogach, w ogóle nie dało się dojrzeć spod warstwy błota. Olovski wyglądał podobnie, ale on ograniczył się do otrzepania butów i spodni na tarasie, umycia rąk nad kuchennym zlewem i przejechania wilgotnym ręcznikiem po twarzy. Fryzurę przyglądził mokrymi rękami i zadowolony z efektu, dołączył do Ionuta. Ewa włączyła palnik pod rondlem z wołowiną, mieszała w nim od czasu do czasu, ale starała się nasłuchiwać, o czym rozmawiają panowie. Serge wyraźnie był czymś poruszony, lojalnie czekał jednak, aż wszyscy zbiorą się przy stole. Na razie poprzestawał na uspokajaniu doktora i omawianiu treści listu Lebretona. Rachel zesza na dół z ubłoconymi pantoflami zapakowanymi do foliowej torby. Na nogach miała czerwone espadryle, nogawki spodni nadal wilgotne, ale odczyszczane z błota.

– O, jak pięknie pachnie! Głodna jestem. Wy nie?

– My też – oznajmił Serge, z ulgą uwalniając się od roztkliwionego Silviu. – To siadajmy.



## ROZDZIAŁ XII

Ponad miesiąc minął od tamtego obiadu. Po wyjątkowo ciepłym wrześniu nadszedł wyjątkowo ciepły październik, a mieszkańcy La Ferté liczyli na wyjątkowo ciepły listopad. Zwłaszcza ci, którym ogrzewanie domów pochłaniało większość budżetu. Spalona apteka straszyla czarnymi otworami okien w samym centrum miasteczka, a w zrujnowanych wnętrzach pojawiało się coraz więcej pustych butelek, petów, strzykawek i zgniecionych aluminiowych puszek.

Któregoś popołudnia Olovski namówił Ewę na wdarcie się do ogrodu Lebretona. Weszli przez nikogo niezatrzymywani, przez ciemną cuchnącą spalenizną sień, pełną potłuczonego szkła i poczerniałych nieokreślonych resztek czegoś paskudnego. Podparte drągiem drzwi do ogrodu jakimś cudem przetrwały, jedynie lekko osmalone. Słońce wydawało się wyjątkowo jaskrawe po wyjściu z ponurego wilgotnego westybulu. A ogród wyglądał bajkowo. Wysoka niekoszona trawa miała wszystkie odcienie późnej zmęczonej zieleni, która zaczęła już flirt z szarościami, żółciami i fioletami. Gdzieniedzie pojawiały się jaskrawe punkciki słonecznych, czerwonych lub fioletowych drobniutkich kwiatków. Nad tym wszystkim górował potężny kilkumetrowy cis, prawie niebieski w świetle gasnącego dnia. Ogród, dość wąski i długi, otoczony był kamiennym murem, wzdłuż którego wyznaczono ciasno ułożonymi wapieniami kłomby, oddzielone w ten sposób od trawnika. Ewa aż westchnęła. Mieszanina kolorów, gąszcz kwitnących właśnie lub owocujących roślin. Te najwyższe prawie zasłaniały mur, te ledwie wyrastające nad ziemię tworzyły barwny kobierzec.

– W życiu by mi się coś takiego nie udało! Zaraz by mi jedno zagłuszyły drugie, pousychałoby mi to albo pogniło. No popatrz tylko, przecież to wygląda precudnie – zachwycała się.

– Fakt. Trzeba się znać na roślinach, żeby stworzyć coś takiego – mruknął Olovski i kontynuował spacer wzdłuż kłomby, porównując rośliny ze zdjęciami, które wydrukował sobie rano.

– O matko! Myślisz, że tu rosną te trujące rośliny?

– Nie myślę. Wiem. Popatrz – wskazał ręką zacieniony kąt – te krzaczkki tam, z tymi jakby wisienkami. Widzisz? Widziała. Krzaczkki wyglądały niepozornie i gdzieś między liśćmi widać było duże ciemne jagody.

– To jest *belladonna*. Nie wiem, jak to będzie po polsku. Ludzie na to mówią *belle cerise* albo *cerise du diable*<sup>16</sup>. A pewnie ma więcej równie poetycznych nazw. O, popatrz, wydrukowałem z internetu zdjęcia tych roślin, które wymieniał w liście. A tam, kępa tych wysokich ze strączkami, widzisz? To tym mnie chciał załatwić. To jest *Aconitum*. Nie rośnie u nas. Musiał sobie skądś sprowadzić. Pewnie z Karpat.

Ewa nieufnie przyglądała się wysokim pędom z żółtawozielonkawymi strączkami. Miały zupełnie inny kształt liści, ale przez te strączki przypominały jej trochę przerośnięty łubin.

– A masz zdjęcie, jak to kwitnie?

Olovski zaszeleścił kartkami.

– Ładnie kwitnie. Popatrz, takie jasne, fioletowe.

Spojrzała mu przez ramię.

– A może to jest tojad? Tojad mordownik? Tego w Polsce sporo rośnie. W górach, na dziko, ale i w ogródkach ludzie mają, bo ładny.

– No, ładny. I jaki pożyteczny. Wiesz co, masz tu część tych kartek i szukaj razem ze mną, bo ja się już gubię, a robi się późno.

Znaleźli jeszcze cały zagonik przekwitających już zimowitów, a w małej szklarence, wciśniętej w kąt ogrodu tuż obok niewielkiego budynku gospodarczego, dwie gliniane donice z dorodnymi poczerwieniałymi lekko krzakami rącznika. Ewa go rozpoznała, bo teściowa siała co roku w swoim ogródku, twierdząc, że odstrasza krety i nornice.

Serge upierał się, że to *ricin commun*, i że też go ma na swojej liście. Chodził wzdłuż klombów, marszczył brwi nad zsuniętymi na czubek nosa okularami i odkreślał z listy kolejne rośliny.

– Ale właściwie po co ci to, skoro i tak już po sprawie?

– Dla porządku.

Przysiadła na płaskim kamieniu, który sądząc po okrągłym śladzie, musiał być niegdyś stojakiem dla jakiejś dużej donicy. Światło dnia powoli dawało za wygraną. Niebo miało kolor dymu z papierosa i tylko gdzieś nad jej lewym ramieniem słońce wysyłało ostatnie rozpaczliwe pomarańczowe błyski. Cis, teraz już ciemnograny, wydawał się potężniejszy i groźny. Ptaki musiały mieć podobne wrażenie, bo zamilkły. Serge zakończył swój obchód. Wygniecione kartki wepchnął do torby.

– Prawie wszystko znalazłem. Chodź, pójdziemy do mnie, musimy sobie to jakoś uporządkować.

– Do mnie bliżej.

– Ale ja mam całą dokumentację, no i armagnac. Poza tym Tessier miała dzwonić, a telefon zostawiłem w domu.

Było jej wszystko jedno. I smutno. To pewnie przez ten ogród i wielki ponury cis.

Nie tylko Serge sapał przy wspinaniu się brukowaną rue du Château. Wolny też brakowało tchu i miała wrażenie, że jest za ciepło ubrana. Szli więc wolno, a skrócone świszczące oddechy skutecznie powstrzymywały przed próbą jakiegokolwiek rozmowy. Olovski, wychodząc, zostawił otwarte okna i drzwi do ogrodu, więc teraz dom był wyziębiony, pełen wilgotnych jesiennych zapachów. W salonie wyjątkowo panował porządek. Ewa zajrzała przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi i stwierdziła, że nawet w zwykle zabałaganionym gabinecie papiery leżą poukładane w stosy, blat biurka widział się niedawno ze ściereczką, podłoga jest umyta, a dywanik pod szezlongiem – wytrzepany. Nie wiedzieć czemu, strasznie ją to przygnębiło. Przysiadła na brzegu kanapy, czekając, aż Serge pozamyka okna, wróci z toalety i naleje koniaku. Miała ochotę się rozplakać. I żeby chociaż wiedziała dlaczego.

– Chodź do gabinetu. Tam jest lepsze światło.

Potulnie poszła. Przysuwając sobie krzesło bliżej biurka, mruknęła z pretensją:

– Posprzątałeś.

Popatrzył znad okularów.

– To źle?

– Nie, nie. Właściwie nie. Tylko tu zawsze był taki sympatyczny bajzel, a teraz jakoś tak inaczej. – Chciała jeszcze coś dodać, ale spod sterty papierów odezwał się dzwonek telefonu. Patrzyła, jak Serge wydobywa komórkę, kartki z cichym szumem zsuwają się na podłogę, zahaczają po drodze o krzesło i oparcie fotela, przy okazji strącając jakieś długopisy i ołówki. Humor od razu jej się poprawił. Bo jakoś tak. Bo niechże będzie w życiu coś, nawet niedoskonałego, ale stałego. Niechże nie gna tak wszystko do tych zmian. Od zmian to ona już ma zadyszkę. Lepiej, żeby wszystko pozostało tak jak jest. A jeszcze lepiej – tak jak było. Przymknęła oczy i usiłowała policzyć, jak długo trwa podróż z Londynu do La Ferté, z Lille do La Ferté, z Krakowa do La Ferté i z La Ferté dokądkolwiek. Wyszło, że długo.

– Hej, śpisz? – Olovski, nadal z telefonem w dłoni, mówił coś do niej.

– Przepraszam, myślałam, że nadal rozmawiasz.

Na szczęście darował sobie komentarz. Oznajmił tylko, że za chwilę będzie tu Ionut i wziął się za porządkowanie notatek.

Silviu zjawił się błądy i wymęczony. Bez protestów przyjął kieliszek koniaku i swoim zwyczajem usadowił się w kącie.

– I co, miałem rację? Zna pan już wyniki? Zrobili sekcję Listonoszce? – pytał, zaciskając palce na kieliszku, aż zbiełały mu kostki.

– Niestety, miał pan rację – odparł Olovski. – Odile Hauteoeur, czy też jak pan woli Odile Listonoszka, zmarła z powodu zatrucia taksoalbuminą, jeśli dobrze zanotowałem nazwę, czyli prościej – rycyną. Sąsiad podał jej tabletki w południe, poczekał, aż zje supę, zabrał talerz i obiecał wpaść rano. Jak pan wie, rano już nie żyła. Twierdził, że coś jej musiało zaszkodzić, bo zauważył brudną pościel i ślady wymiotów. A jeśli ma to pana jakoś pocieszyć, tabletki,

które pan dla niej zostawił, są nienaruszone. Opakowanie, z którego korzystała, kupiła sama wczesną wiosną. Podobno uskarżała się wtedy na dolegliwości żołądkowe.

– Tak, pamiętam.

– No i to wtedy podpadła Yorickowi. Ten młody Kevin ją odwoził. Podobno babcia Odile była *cool* i stanęła w obronie „jakiejś lafiryndy”, która klóciła się z Lebretonem. Zaznaczam, że to określenia Kevina, nie moje. Jak wiemy, to mogło wystarczyć, żeby mu się narazić.

Silviu kiwał głową. Sączył koniak w milczeniu. Przypominał nastrozoną kawkę z tymi przydługimi kręconymi włosami, podkrążonymi oczami i zapadniętymi policzkami, które uwydatniały słusznych rozmiarów nos. I gdy nerwowo przytakiwał, Ewa miała wrażenie, że tym wielkim nosem wydziobuje sobie coś z pękatej koniakówki.

– Może pocieszysz pana fakt, że Patrick Court zmarł na zawał. Pamięta pan, to ten tęgi gość z nadciśnieniem. Podobno chodził do pana, bo chciał schudnąć. – Olovski, nie doczekawszy się odpowiedzi, kontynuował: – Najnormalniej w świecie wysiadła mu pompka. Owszem, Lebreton wcisnął mu te swoje cudowne środki, ale Court nawet nie zabrał ich ze sobą w podróż. Rachel Tessier się postarała i już zrobili analizę. Dwie sztuki w opakowaniu zawierały taksynę – przerwał na chwilę, przełknął odrobinę armagnacu i popatrzył wyczekująco. – Co jeszcze chcielibyście wiedzieć? Może na przykład interesuje was, co się dzieje z naszym drogim Yorickiem Lebretonem?

– Znaleźli go? – wykrzyknęli zgodnym chórem Wolny i Ionut, a ten ostatni nawet się nieco przy tym ożywił.

– Znaleźli. Już dawno znaleźli, ale nie chciałem wam nic mówić, zanim nie będzie wyników sekcji.

Wyglądało to trochę tak, jakby się z nimi drażnił. Albo napawał chwilą, bo widział w ich oczach widome zainteresowanie. Bawił się kieliszkiem, udawał, że szuka czegoś w notatkach, a tak naprawdę spoglądał spod brwi. Ewa pomyślała, że jeśli za chwilę zamoczy palucha w koniaku i zacznie nim jeździć po brzegu kieliszka (bo ostatnio nabrał takiego zwyczaju), to chyba go trzaśnie. Na szczęście nie zrobił tego. Zdecydował się za to na kolejny łyk i odczekawszy jeszcze chwileczkę, zaczął wreszcie mówić:

– Jak wiecie, samochód Lebretona znaleziono w rzece obok mostu w Charly-sur-Marne. No więc... on był w środku.

Ewa wypuściła powietrze z sykiem, a Silviu znowu tylko pokiwał głową.

– Zabił się? To znaczy chciałem zapytać, czy to był wypadek, czy jakaś forma samobójstwa.

– Bardzo przemyślana forma samobójstwa. Hioscyjamina, skopolamina i atropina – tego doszukali się nasi toksykolodzy w jego organizmie. Nafaszerował się takim upiornym koktajlem z bielunia. Podobno wywołuje on halucynacje, ale zabezpieczył się dodatkowo. Gdyby na przykład po tym świństwie zaczęło mu się wydawać, że jest ptakiem, albo jeszcze lepiej, rybą, to był ciasno zapięty pasem zablokowanym jakąś metalową szpilą. Nawet jeśli by próbował w ostatniej chwili uciec, zatrzask zamka nie puszczał. Miał w płucach wodę, co znaczy, że się utopił, ale raczej nie był tego świadomy. W Charly, na wysokości mostu, jest mała knajpka i przystań dla barek, więc ciągle ktoś się tam kręci. Ludzie widzieli, jak z dużą prędkością jeździł po tym moście w tę i w w tę. Może miał w planie efektowny skok? Bariereki są tam dość niskie, metalowe, ale pewnie by go jednak zatrzymały, bo krawężnik wysoki. W każdym razie na taranowanie się nie zdecydował, tylko w końcu z piskiem opon zjechał z D82 i na pełnym gazie skręcił w dróżkę prowadzącą do przystani, na sam brzeg Marny. Przejechał wzdłuż barek, które tam akurat stały, i wpakował się prosto do rzeki.

– Tam jest dość ostry wiraż tuż przed mostem. Pewnie liczył, że go wyrzuci z zakrętu, dlatego tak jeździł – Ionut skupił się na technicznych szczegółach. Wymownie wyciągnął swój kieliszek w stronę Olovskiego, a właściwie butelki, którą ten trzymał blisko siebie. Moment był właściwy, więc Serge dolał bez protestów. Ewa pozostała przy swojej herbacie.

– Czyli naćpał się i popełnił spektakularne samobójstwo? – upewniła się, patrząc to na Serge'a, to na doktora. – A któryś z was rozumie może, dlaczego on to właściwie robił? Jak to w ogóle możliwe, co miał w głowie? Wyglądał przecież zupełnie normalnie. Sympatyczny był. Taki oryginał w tych kolorowych krawatach i śmiesznych kamizelkach... Ja to nawet lubiłam do niego chodzić. Nastrojowa była ta apteka, miała swój styl.

Olovski pieczołowicie zakorkował butelkę i z cichym stęknieniem schylił się, żeby ustawić ją na podłodze obok fotela.

– W tym swoim chorym liście wszystko to przecież wyjaśnił. Czego jeszcze nie rozumiesz? Pewnie, że byłoby prościej, gdyby toczył pianę, miał przekrwione oczy i miotał klątwy pod adresem swoich urojonych wrogów. Ale to tak nie działa.

– Nie, to tak nie działa – potwierdził cichutko Silviu, wpatrzony w zawartość kieliszka.

– Nasza niezastąpiona Rachel trochę pogrzebała w przeszłości Lebretonów. Można powiedzieć, że w tej rodzinie od dawna działy się dziwne rzeczy. Nie jest prawdą, jak nas przekonywał Yorick, że rodzina mieszkała tu od wieków. Dziadek, Georges Lebreton, osiadł w La Ferté pod koniec lat czterdziestych. Pojawił się znikąd i zajął opuszczony dom po jakiejś żydowskiej rodzinie, która w tajemniczych okolicznościach zniknęła z miasteczka pewnej styczniowej nocy czterdziestego czwartego. Prowadził ten przybytek aż do roku siedemdziesiątego pierwszego, kiedy to zmarł nagle. I tu, uwaga, przyczyną zgonu było silne zatrucie pokarmowe. Ojciec, również Georges, miał w młodości drobne zatargi z prawem, ale nic poważnego: burdy uliczne, bójki, kradzież samochodu, takie tam. Gdy założył rodzinę, sporządzał, ale za to pojawiają się wzmianki o kilkukrotnej choć krótkotrwałej hospitalizacji, i za każdym razem chodzi o ośrodki psychiatryczne. Od śmierci dziadka Lebretona są już tylko mało istotne informacje o problemach z podatkami, niejasnościach w rozliczeniach czy kontrolach finansowych. Matka naszego Yoricka popełniła samobójstwo w osiemdziesiątym szóstym. W raportach jest mowa o śmierci przez powieszenie i dużej zawartości alkoholu we krwi. A o samym Yoricku wiemy tyle, że studiował w Paryżu i Edynburgu. Nigdy nie był żonaty, nie ma dzieci, a pracę naukową przerwał w roku dziewięćdziesiątym, kiedy to wrócił do La Ferté i pracował wraz z ojcem dla dobra naszej małej społeczności. Po siedmiu latach ojciec zmarł. „Zator płucny”, tak jest zapisane w akcie zgonu. Od tamtej pory najmłodszy z Lebretonów samodzielnie prowadził rodzinny interes. Podobno zaraz po przyjeździe z Edynburga przeżył „załamanie nerwowe”. I to wszystko na jego temat. Jak widzicie, los nie był dla tej rodziny zbyt łaskawy. Nie był również zbyt łaskawy mój stary znajomy Arnaud Mercier. A nawet powiedziałbym, że suchej nitki na zacnej familii nie zostawił.

– Mercier? Nie znam. – Silviu podniósł wzrok znad kieliszka.

– A, to jeszcze pan pozna, doktorze. Jeszcze pan pozna. Wystarczy, że dachówka panu spadnie, uszczelka w kranie pójdzie albo sufit będzie pan chciał pomalować, to Mercier zjawi się natychmiast. Taki on już jest, ten nasz Arnaud.

– Ach, firma remontowa Mercier i synowie? Widziałem taką ciężarówkę...

– No właśnie. Dodatkową zaletą Merciera jest to, że mieszka tu od zawsze, wszystkich zna, wszystko wie i lubi sobie pogadać. U Pascala bywa prawie codziennie, a jedno czy dwa piwa dodatkowo rozwiązują mu język.

– Serge, może ja kawy zrobię, co? – przerwała Ewa, bo wychwyciła u komisarza przedziwną staranność przy wymawianiu spółgłosek, co świadczyło, że alkohol zaczyna atakować jego aparat mowy i konsumpcję należałoby natychmiast zastopować albo przynajmniej spowolnić.

– Zrób, kochana, zrób. Wiesz, gdzie co jest.

– Poradzę sobie.

Zostawiła otwarte drzwi, więc doskonale słyszała te wszystkie niewybredne określenia, jakimi Georgesa Lebretona opisywał Mercier, a Olovski powtarzał nie bez upodobania. „Dziwkarz”, „babiarsz”, „awanturnik”, „ochlaptus”, „raptus”, „pijaczyna”, „ćpun”, „świr”. Znaczenia niektórych mogła się tylko domyślać, bo nie spotkała takich zwrotów w słownikach, ale i tak obraz pana aptekarza daleki był od ideału, który propagował Yorick. Zanim przelała kawę do dzbanka, zdążyła jeszcze usłyszeć, że schorowana matka Yoricka alkoholu do ust nie brała, a tu nagle powiesiła się pijaniuteńka. Ludzie gadali, że coś tu nie gra, ale jakoś wszystko przycichło. Rozkochany w płotkach Mercier rzeczywiście miał informacje, których darmo by szukać w policyjnych archiwach.

Kawa została przyjęta przez Ionuta niechętnie, a obojętnie przez Serge'a. Obydwaj sięgnęli jednak po filiżanki, zanim Olovski przeszedł do dalszej relacji:

– Podobno rodziny Lebretonów i doktora Marlota przyjaźniły się, ale to w czasach, kiedy żyła pani Marlot i matka Yoricka. Kobiety były chyba nawet jakoś spokrewnione. Tyle że żona doktora wyjechała nagle do rodziny i nigdy już nie wróciła. Słuch o niej zaginął. A kilka miesięcy później samobójstwo popełniła pani Lebreton. Panowie zaś – warcili sobie pod względem zamiłowania do używek i cholerycznego temperamentu – zniechęcili się serdecznie. Jako że byli na siebie skazani, bo wtedy lekarz w miasteczku był tylko jeden i apteka jedna, to podgryzali się nawzajem, wyzywali od najgorszych, psuli opinię w oczach pacjentów, ale z konieczności, zawodowo, współpracowali. Ubaw był na całego. A Yorick to było takie ciche, zahukane dziecko. Przesiadywał w aptece całymi dniami. Odrabiał tam lekcje, czytał. Z miejscowymi dziećmi się nie bawił i bardzo wcześnie wysłany został do szkoły do Paryża. Matka podobno protestowała, ale wiecznie słaba, stękająca, niewiele w tej rodzinie miała do powiedzenia. Potem studia w kraju, studia za granicą i kariera naukowa, którą przerwał ojciec, bo to stary Georges zażyczył sobie powrotu syna do rodzinnych pieleszy. Argument miał nie do odparcia – pieniądze. Zresztą młody chyba bał się ojca. Kiedy pracowali razem, nie bacząc na obecność klientów, Georges poniżał Yoricka, wyśmiewał go, zawstydział, a ten nic. Nawet się nie skrzywił. Z kamienną twarzą wykonywał wszystkie polecenia, aż ludziom żal się go robiło. Jednym słowem bardzo sympatyczna rodzinka – podsumował Olovski, dolewając sobie kawy i dosypując czubatą łyżeczkę cukru.

Ewa odstawiła cukiernicę poza zasięg jego rąk.

– I tego wszystkiego dowiedziałeś się od Merciera?

– Nie tylko od niego. Ale przesiedziałem u Pascala kilka wieczorów, a dla dobra sprawy dałem się nawet napoić 1664<sup>17</sup>. W końcu to nie jest jakaś zamierzczła przeszłość, a Arnaud wiedział, kogo ze starych mieszkańców podpytać. No i pożar apteki odświeżył ludziom pamięć i poruszył wyobraźnię. – Skrzywił się i odstawił filiżankę na spodek. Chyba jednak przesłodził kawę, bo sięgnął po kieliszek i pociągnął z niego z wyraźnym zadowoleniem. – I oczywiście po śmierci ojca, kiedy nasz Yorick spokojnie, już na własny rachunek, pracował w aptece, zaczął mniej lub bardziej subtelnie przekonywać wszystkich dookoła, z jakiej to wspaniałej rodziny się wywodzi. Podobno to dość typowe.

– Typowe? – Silviu poszedł za przykładem komisarza i również wybrał kieliszek, a filiżankę z niedopitą kawą odstawił na tacę.

– No, typowe, typowe. Pan to przecież powinien wiedzieć, doktorze. Dysfunkcyjna rodzina, maltretowane dziecko. Samotny, wycofany. Cały pakiet tu mamy.

Ewa sarknęła, zniecierpliwiona, bo Serge nie raz deklarował niechęć do tego, co nazywał „psychologicznym bełkotem”.

– Sam to wymyśliłeś?

– No, szczerze mówiąc, to Rachel rozmawiała ze swoją znajomą psycholożką i przesłała mi jej opinię. Oczywiście to nie jest nic oficjalnego. A właśnie... – przeciągnął się, aż mu chrupnęło w kościach – co z tym robimy?

– Z czym?

Ionut, wręcz odwrotnie, jakby skurczył się w sobie i zmalął, wciśnięty w oparcie fotela.

– No, z tym wszystkim. Z całą tą sprawą. Ja mam taką propozycję...

– Wiecie co, a może pójdziemy coś zjeść? – przerwała dość brutalnie Wolny, ale była naprawdę głodna, a poza tym chciała oderwać panów od armagnaca, którego ubywało w tempie, według niej, zbyt szybkim. zaproponowała pizzerię, bo widziała promocyjny afisz oferujący za darmo trzecią pizzę przy dwóch zamówionych, ale Silviu uparł się, że zaprasza wszystkich i proponuje albo Starą Remizę, albo, jeśli wolą bliżej, restaurację Pod Zamkiem. Olovski wolał Remizę, bo na tę drugą był obrażony z powodu samochodów klientów, które parkowały pod oknami jego domu i niszczyły mu klombik z wiosennymi kwiatkami. Po drodze przystali na propozycję Serge’a, która sprowadzała się do tego, że skoro sprawca sam sobie wymierzył sprawiedliwość, należy sprawę zamknąć, zapomnieć, ukryć w mrokach niepamięci, a już na pewno nie dręczyć rodzin zamordowanych osób, informując je o prawdziwej przyczynie zgonu. Na dobrą sprawę nikt nie był w stanie określić, ile właściwie tych ofiar było. Z pożegnalnego listu

Lebretona wynikało, że najpierw otruł doktora Marlota (co zupełnie załamało Ionuta Silviu), ale Olovski sugerował, że niekoniecznie była to jego pierwsza ofiara.

– Pomyślcie tylko. Georges miał problemy z narkotykami, chłwał, ale przy tym zbił niezłą kasę. Chyba nie tylko na sprzedaży *tisane*<sup>18</sup> i środków na przeczyszczenie tak się wzbogacił? Założę się, że eksperymentował z różnymi psychodelikami, nie tylko na własny użytek. Nie znam się na tym, ale w ich szklarni był taki ogród botaniczny, że niejednego ćpuna przyprawiłby o euforyczny zawrót głowy. Jakieś tropikalne pnącza, pejotl, kaktusy San Pedro, większość tych cudactw z Ameryki Południowej, a Lebreton senior kilka razy podróżował do Meksyku. Nasz Yorick zresztą też zwiedził kawał świata. Zwłaszcza kraje egzotyczne. Widziałaś, Ewa, tę szklarnię, to wiesz, o czym mówię. Nadmuchi ciepłego powietrza, zraszacz, regulator światła – pełny profesjonalizm. W tej rodzinie tradycja przechodziła z ojca na syna, jak to dumnie podkreślał Yorick. Musiał młody zdobywać pod okiem ojca doświadczenie, i to na długo przedtem, zanim poszedł na studia. I myślicie, że nie wykorzystał tej wiedzy, żeby się pozbyć tatusia? Cóż za problem zwiększyć dawkę albo domieszać jakiejś meskaliny, ergotaminy, datury, nikotyny, czy czego on tam używał. Mercier twierdzi, że zaraz po powrocie Yoricka do La Ferté straszne awantury odbywały się między nimi. Wszystko dlatego, że Georges podobno nawet o śmierci matki nie zawiadomił syna. Nie chciał, żeby studia przerywał i na pogrzeb przyjeżdżał. Coś pewnie Yorick wywęszył po powrocie. Po pijanemu mógł tatuś nieostroźnie chlapnąć to czy owo. Pascal mówił, że ktoś ich widział, jak na cmentarzu, nad grobem pani Lebreton, prawie się pobili. Młody, cały zapłakany, uciekł, a stary w żart próbował sprawę obrócić, że taki wrażliwy, pieszczoszek mamusi, straty przeboleć nie może, mimo że tyle lat minęło. Być może w czterdziestej wiośnie życia Yorick wziął wreszcie sprawy w swoje ręce? Spokojnie i dokładnie, jak to on, wszystko sobie zaplanował, no i mamy gwałtowną, lecz niewzbudzającą podejrzeń, śmierć Georges. A przecież akt zgonu wypisał nie kto inny, tylko doktor Marlot, który też miał swoje za uszami. I wszystko ładnie przyszło. Nikt przecież nie będzie się wtrącał w rodzinne sprawy, i to jeszcze takich porządnym rodzin. – Olovski, bardzo zadowolony z siebie, perorował z pełnymi ustami, często przepijając pyszną *magret de canard grille a la mandarine* mocnym czerwonym fronsac. Policzki miał zaognione, mówił rozwlekle, gestykulował nadmiernie i uśmiechał się dość głupawo. Dla odmiany Silviu siedział w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w talerz i marsową miną. Starannie kroił kaczkę na równiutkie drobne kawałki, ale wina również sobie nie żałował. Panowie wybrali to samo danie, więc zamówili od razu całą butelkę polecanego do kaczki trunku. Na białej oszczędnej etykiecie widniał dumny napis „Château Canevault” i Ewa pomyślała, że albo Ionut ma typowo wisielczy nastrój, albo całkiem niezłe zarabia na leczeniu tych wszystkich podagr, niestrawności i katarów, bo za samo wino będzie musiał zapłacić około dwudziestu euro, a i kaczka do tanich dań nie należała. Ona sama grzebała widelcem w *gratin dauphinois* i żałowała, że nie chcąc nadwyrężyć kieszeni doktora, zdecydowała się na jedno z tańszych dań. Ziemniaki były za miękkie, ser za tłusty, a wszystko razem niezbyt apetycznie podane. Do tego uległa sugestii kelnera i zamówiła piwo, na które tak właściwie nie miała ochoty.

Podpity Serge opowiadał chaotycznie i rozwlekle. Silviu sprawiał wrażenie zagłębianego we własnych myślach, a ona zaczynała powoli tracić cierpliwość.

– To znaczy tak – zaczęła mocnym głosem, pozwalając Olovskiemu delektować się obiadem – panowie Lebreton od dawna parali się procederem produkowania podejrzanych środków halucynogennych czy innych ogłupiaczy z roślin, które spokojnie hodowali sobie we własnym ogródku. Georges sam te cuda zażywał i na dodatek niezłe obłowił się na ich sprzedaży. Tak?

– Dokładnie tak – potwierdził Serge, przełknąwszy smakowity kęs omaszczonego sosem mięsa. – A sądząc po stanie organizmu Yoricka, też mu się czasami zdarzało coś połknąć, wypalić, wciągnąć, czy co tam się z tym robi. Może najpierw tatuś na nim eksperymentował, może dla dobra nauki sam przeprowadzał na sobie doświadczenia, kto to wie?

– Dobrze, dobrze – Wolny nie pozwoliła odebrać sobie głosu – po śmierci ojca Yorick samodzielnie prowadził aptekę i nadal te prochy produkował i sprzedawał, czy nie?

– Raczej nie. Produkował może, ale chyba nie sprzedawał. Był odludkiem, nikt obcy się tu nie pojawiał, a nasze brygady antynarkotykowe nie są takie znów głupie. Namierzyliby go prędzej czy później, nawet gdyby tylko trawą handlował. Poza tym czasy się zmieniły. Marycha jest ogólnie dostępna, wszystkie inne świństwa też. Po co ktoś

miałby ryzykować z jakimś chałupniczo wyprodukowanym towarem? Ten sektor pod popieranie regionalnych producentów chyba raczej nie podpada... – Chciał coś jeszcze dodać, ale gwałtowne czknięcie odebrało mu na chwilę zdolność mówienia. Walnął się pięścią w pierś i wstrzymał oddech. Wolny skwapliwie wykorzystała moment.

– OK. Ale za to jeśli ktoś go zdenerwował, brzydko wyglądał albo źle pachniał, to sprzedawał delikwentowi ten ich słynny suplement z kilkoma tabletkami zawierającymi jakiś trujący alkaloid, tak?

– Dokładnie tak. Robił to w bardzo przemyślany sposób. Nie zależało mu na czasie, sprzedawał je tylko pod koniec zimy i późnym latem. Tak sobie wyliczył z tych jego statystyk i rachunku prawdopodobieństwa. Ludzie umierali jesienią i wiosną. Nikt się nie dziwił, bo wiadomo, że to pory roku dla chorych niełaskawe. I bardzo starannie wybierał ofiary, minimalizując ryzyko wpadki. Nawet gdyby któryś zgon wydał się podejrzany, do aptekarza właściwie nie prowadziły żadne ślady, bo jeśli ten ktoś umarł, to znaczy, że tabletkę z trucizną połąkła, a reszta pigułek w opakowaniu była już czysta. A jak mu się zaczęło śpieszyć i wsadzał do pudełka dwie zatrute, to one były ze sobą sklezione. Nikt nie będzie rozdzielał dwóch małych kuleczek skoro i tak ma łykać po dwie, no nie? Mnie by się na pewno nie chciało...

– Wiem. I gdy doktor Silviu zaczął coś podejrzewać, a ty węszyłeś i go wystraszyłeś, to podpalił aptekę, najadł się tej belladony czy innego bielunia, wsiadł w samochód i się zabił?

– Dokładnie tak. A przedtem jeszcze napisał list, w którym chwali się, jaki był sprytny, jak naukowo podszedł do sprawy i jakie szlachetne pobudki nim kierowały.

– Był znakomitym chemikiem, świetnym farmaceutą i bardzo inteligentnym i kulturalnym człowiekiem. Może trochę nieśmiałym, na pewno samotnym... – Ni z tego, ni z owego odezwał się milczący dotąd Ionut i dumnie uniósł brodę, a kieliszek wzniosł jak do toastu.

– Dokładnie tak – przyznał Serge. – I kompletnie szalonym.

Wolny pomyślała, że jeśli jeszcze raz usłyszy „dokładnie tak”, to ziemniaczano-serowa papka wyląduje na głowie Olovskiego. Chwilowo udało jej się opanować to pragnienie, ale za to trzasnęła widelcem w talerz tak energicznie, że kremowobiałe krople opryskały stół i czarny wazonik z czerwoną różyczką. Trochę rozumiała biednego Silviu, który czuł się zdradzony, oszukany, oszołomiony i zagubiony. Ona sama uświadamiała sobie, że mogła znaleźć się na czarnej liście Lebretona. Wystarczyłoby pewnie jakieś niezręczne zdanie, brak uśmiechu, trzaśnięcie drzwiami przy wychodzeniu albo nawet robocze, brudne ubranie, jeśli wpadłaby do apteki po aspirynę po dniu pracy w ogrodzie. Mógłby uznać to za brak szacunku, lekceważenie czy zbrodnie przeciwko jego pojęciu estetyki. Już samo to powodowało psychiczny dyskomfort. Jak więc musiał czuć się Ionut, który żył po to, żeby wrywać ludzi z ramion śmierci, a przynajmniej tak długo, jak się da, trzymać jak najdalej od tych wyciągających się ramion. A tu proszę, jego towarzysz w walce, farmaceuta, znakomity chemik, miłośnik roślinnych naturalnych środków, z którym tak świetnie się pracowało, który podpowiadał rozwiązania, jakie jemu samemu nie przysłyby do głowy, okazał się zdrajcą i mordercą. Uśmiercał ludzi, selekcionując ich według własnych chorych zasad: bo byli brzydki, nieuprzejmi, aroganccy albo po prostu starzy. Straszne! Nie do pojęcia! Przerażające! Jego reakcja była absolutnie zrozumiała, lecz alkoholowej rzewliwości Ewa miała serdecznie dość. Jeden się puszył i wymądrzał, drugi smęcił i omal nie chlipał w serwetkę (czerwoną, jak to w Starej Remizie). A ona miała przecież kilka rzeczy do zrobienia, choćby uporządkowanie swojego życia.

– Czyli tak: mieliśmy ofiary i mordercę. Zbrodniarz sam sobie wymierzył sprawiedliwość. Sprawa jest więc zamknięta.

– Dokładnie tak. – Serge spokojnie kiwał głową nad talerzem, starając się odgarnąć kawałki duszonych warzyw jak najdalej od chrupiącej kacznej skórki.

Stanowczym ruchem odsunęła krzesło.

– To w takim razie panowie wybaczą, ja was już pożegnam. Czekam na ważny telefon z Polski. Bardzo dziękuję, doktorze, za pyszną kolację. Było mi bardzo miło. Do zobaczenia wkrótce.

– A ja co ugryzło? – Serge zdziwił się, spoglądając na Ewę, trochę niezdarnie schodzącą po śliskich metalowych schodach.

– Świat nie jest taki, jak chciałoby się, żeby był – powiedział Ionut. Nie wiadomo, czy w ramach odpowiedzi, czy też sentencję tę dostrzegł na dnie kieliszka, w który wpatrywał się załzawionym wzrokiem.

.....

16 *Belle cerise* (fr.) – piękna wiśnia; *cerise du diable* – diabelska wiśnia.

17 1664 – P marka taniego piwa, należąca do właściciela duńskiego koncernu Carlsberg.

18 *Tisane* (wł.) – ogólna nazwa herbatek ziołowych chętnie pijanych przez Francuzów.



## ROZDZIAŁ XIII

Mail od Zosi był krótki, ale za to przysłała mnóstwo zdjęć. Londyński autobus (Zosia na piętrze), londyńska ulica (Zosia z rozwianymi włosami), wnętrze mieszkania (Zosia w dresach), wejście do jakiegoś pubu (Zosia w czarnej bluzce i džinsach) i selfie z młodym, poważnie wyglądającym człowiekiem w okularach (Zosia cała w uśmiechach). „Guillaume przesyła pozdrowienia”. Kto to, do licha, jest Guillaume? Segregowanie ciuchów w szafie (od czegoś trzeba przecież zacząć porządkowanie życia) jest zajęciem uspokajającym. Rozpamiętywała ostatnią rozmowę z córką i analizowała każde słowo krótkiego listu. Ten jej nowy chłopak wygląda całkiem inaczej, niż sobie wyobrażała. Doroślej. A Zośka trzy wieczory w tygodniu pracuje w jakimś barze. „Na razie na czarno, ale formalności długo trwają”. To akurat doskonale potrafiła sobie wyobrazić. „Mieszkanko jest malutkie, ale wygodne i takie typowo londyńskie”. Małe, ciemne, wilgotne klitki z wejściem poniżej poziomu ulicy – jej tak właśnie kojarzyło się typowo londyńskie mieszkanko. A do tego łazienka, w której siedząc na kibelku, stopy trzyma się pod prysznicem, albo, jeszcze lepiej, na zewnątrz. Co właściwie robi ten cały Guillaume? Muzyk? Początkujący dziennikarz? Usiłowała sobie przypomnieć, co Zosia o nim opowiadała, bo przecież coś na pewno mówiła? Zagłębiła się w tych rozważaniach, wspominała i mamrotała sobie w najlepsze, segregując ciuchy na „za małe” i „do wyrzucenia”, i wrzucając je do worów. Wyszorowane półki pachniały mieszanką oleju lnianego, terpentyny i lawendy, a bluzki i sweterki leżały równiutko, ułożone w kostkę. Nie bez satysfakcji zamknęła drzwi, przetrąła je również olejem z terpentyną i wypolerowała lustro. Wtedy dopiero pomyślała, że przecież zbliża się jesienny *brocante* i mogłaby spróbować sprzedać niepotrzebne ubrania, zawsze byłoby parę euro do przodu. Zawartość worków ponownie wylądowała na łóżko i rozpoczęła kolejną selekcję, tym razem wybierając ubrania, które nadawałyby się do sprzedaży. *Brocante* był zaplanowany na przyszłą niedzielę. Zdąży zadzwonić do pani zajmującej się wynajmem miejsc. I może poszuka jeszcze jakichś innych gratów, które warto wystawić na sprzedaż, a przy okazji pozbyć się ich z domu? O, choćby ten wielki dzban, który stoi na parapecie w pokoju gościnnym i tylko zbiera kurz. Albo wisząca lampka nocna w kształcie truskawki, prezent dla Piotrusia od cioci Gabrysi, która zapomniała, że Piotruś ma już dwudziestkę na karku i lampka-truskawka nijak nie pasuje do jego pokoju.

Magiczna moc porządkowania zadziałała. Czuła się lepiej, a pomysł wyprzedania niepotrzebnych rzeczy dawał złudzenie, że wreszcie zaczęła robić ze sobą coś sensownego. Chyba napisze o tym Zosi. Uśmiechnęła się do siebie i strzepnęła z łóżka kilka pędów lawendy, które zawsze zawijała w gazę i wkładała między ubrania. Wszędzie poniewierały się pokruszone liliowe kwiatki i srebrno-zielone listki. Zamarła, wpatrzona w gałązkę lawendy. Sprzątanie, zioła, porządk! Rumiana buźka i obleczony w strojną kamizelkę okrągły brzuszek! Yorick Lebreton stanął jej przed oczami jak żywy.

Klapnęła na zabałaganione łóżko, pod pupą zaszeleściła foliowa torba z ciuchami. Kruszyła suchą roślinkę, przyglądając się, jak w palcach zamienia się w pachnący proszek. „Jakby się uparł, to pewnie nawet taką lawendą potrafiłby zabić”, pomyślała i otarła ręce o narzutę. Na palcach pozostał ostry mydlany zapach. Przypomniał jej się ten piękny, tajemniczy i niesamowity ogród. Wczesnojesienne kolory, czerwienie, żółcie, fiolety, i ta zmęczona przyciemniona zieleń. I cień wielkiego cisu, pełnący powoli w stronę wypalonego budynku, zasnuwający wszystko grafitowo-niebieskim mrokiem.

Wzdrygnęła się, ale nie dlatego, że wspomnienie było tak dramatyczne. Po prostu na dole zadzwonił telefon. Popędziła po schodach, syjąc wszędzie pokruszoną lawendą. Justyna. Cała w skowronkach, rozchichotana, zadowolona i pełna optymizmu. Musiała dopatrzeć się w ostatnich mailach lekkich pretensji o brak kontaktu, bo zaczęła od usprawiedliwień. Wykorzystała właśnie późny urlop, dopiero wróciła i od razu dzwoni. Było super, opaliła się, ale nie za bardzo, bo to postarza i wysusza skórę. Chodziła na długie spacerki, jest w świetnej formie, Marek był nawet zazdrosny, bo faceci ją podrywali. I dobrze mu tak, bo na plaży strzelał oczami za laskami w bikini...

Ewa zaopatrzyła się w szklankę wody, usiadła wygodnie na kanapie, mając pewność, że rozmowa potrwa co najmniej godzinę. Słuchając opowieści o jakże różnym niż jej własne życiu Justyny, czuła, jak ogarnia ją ten dziwny smutek, ostatnio coraz częściej wzmocniony niepewnością. Zesztywniała, gdy usłyszała w telefonie najzwyczajniejsze, zupełnie niewinne pytanie:

– No a ty? Co tam porabiasz? Jakie masz plany?

Na szczęście to była Justynka, więc na odpowiedzi wcale jej tak bardzo nie zależało. Wystarczyło niewyraźne mruknięcie.

– No wiesz, nic specjalnego właściwie.

– To posłuchaj, kupiłam bilety. Ciebie nie można namówić, żebyś przyjechała, więc upolowałam tanie połączenie tak jakoś pod koniec miesiąca. Pasuje ci? Bo wiesz, bilety są w takiej taryfie, że daty już zmienić nie mogę. Zwrócić też zresztą nie. No to jak, cieszysz się? Tylko z lotniska musisz mnie odebrać, bo ja się tam pogubię...

Cieszyła się. Naprawdę. Nie widziały się już ponad rok, a rozmowy telefoniczne to przecież nie to samo. No i takie wizyty zawsze poprawiały jej humor. Musiała się postarać, pokazać wszystko od najlepszej strony, udowodnić, że jakoś przecież sobie radzi.

– Napisz mi koniecznie, co ci przywieźć – paplała Justyna. – Może jakieś ciuchy? Tylko rozmiar musiałybyś mi podać, bo pewnie znowu utyłaś. Albo coś do żarcia? A może jakieś kosmetyki? O, grzyby ci przywiozę, będziesz miała już na święta.

Ewa słuchała z przyklejonym uśmiechem. Tak naprawdę Justyna rzadko podróżowała sama. To potężnie zbudowany, spokojny, misiowaty Marek, jej mąż, organizował transport, noclegi, dogadywał się i załatwiał wszelkie formalności. Ona zwykle zarządzała pośrednio, kontestując jego wybory, krytykując obce porządki, ale tak z daleka, niegroźnie, nie biorąc za nic odpowiedzialności. Marek znosił to spokojnie. Wiedział, że hałaśliwa pewność siebie jego małżonki to tylko poza. W rzeczywistości Justyna na nie swoim gruncie, poza Krakowem i znanym sobie terenem, czuła się zagubiona i niepewna.

– Miałam ci nie mówić, ale nie wytrzymam. Słuchaj, przywiozłam sobie z wakacji rewelacyjną rzecz. Dla ciebie też kupiłam, pokażę ci, jak tego używać. Zrobimy sobie wieczór SPA, przy winku. To jest mieszanka różnych ziół. Robi się z tego taką ciapę i można stosować na skórę, włosy, dosłownie na wszystko. No, rewelacja po prostu. Ja ostatnio tylko ziół używam, mówię ci, w ziołach jest moc...

\*\*\*

Olovski zadzwonił późnym wieczorem. Siedziała właśnie przed telewizorem, przeskakując z kanału na kanał i zastanawiała się, czy nie zrobić sobie jeszcze jednej kanapki. Bagietka była świeżutka, miała chrupiącą skórę i wystarczyło dodać tylko odrobinę solonego bretońskiego masła, żeby uzyskać pyszny posiłek. Pomyślała o zawsze odpacykowanej Justynie i z zalem zrezygnowała z kolejnego kawałka bułki.

– Cześć. Od razu uprzedzam, że nigdzie się nie wybieram. Mam brudne włosy i w ogóle cała jestem zakurzona. Porządki w szafie robiłam.

– A, to nic nie szkodzi. Też się nigdzie nie wybieram. Jestem zajęty w kuchni. Gotuję.

– To świetnie. Powodzenia.

– Widzę, że nadal nie masz humoru.

Prychnęła w telefon, ale zaraz się opanowała. Właściwie dlaczego tak się wyżywa na biednym Serge'u? Przecież to nie jego wina, że tak jakoś wszystko jej się z rąk wymyka.

– Nie jest źle. Zosia przysłała maila ze zdjęciami, a niedługo koleżanka z Polski przyjedzie na tydzień...

– No widzisz. To świetnie. A na dodatek ja mam dla ciebie niespodziankę. Jutro, gdy już odpocznesz po tych porządkach i umyjesz włosy, to przyjdź do mnie. Zjemy razem obiad. Przyrządzam język byka w sosie pikantnym.

– Co przyrządzasz?

– Język byka. Nie lubisz? Mój na pewno ci będzie smakował.

– Powiedz to po francusku.

- Co?
- No, nazwę tej potrawy.
- *Langue de boeuf, sauce piquant*. Przepis mojej babci.
- Ach, no tak. Ozorek.
- Co?
- Ozorek przyrządzasz, nie żaden byczy język. Ozorek wołowy.
- A sos?
- Sos może być. I to jest ta niespodzianka?
- Nie. Niespodzianka będzie czekać na miejscu. Tylko nie przychodź wcześniej niż o siódmej, bo nie zdążę ze wszystkim.
- OK. Przyjdę o wpół do ósmej. I, Serge...
- Tak?
- Przyrządź go jakoś tak, żebym tych bąbelków nie widziała. Bo nie zjem. Nawet z najlepszym sosem.

\*\*\*

Ozorek rzeczywiście okazał się pyszny, zwłaszcza jeśli się zapomniało, że to jęzor byka. Do tego pieczone w mundurkach ziemniaki i sos, który smakował Ewie tak bardzo, że wyczyściła talerz chlebem, a potem maczała kawałki bułki w półmisku, żeby nie zmarnować ani kropelki. Serge oczywiście otworzył do tego wino, z którym wyczyniał różne cuda, kazał je degustować i zachwycać się smakiem, co Wolny skwapliwie robiła. Potem podał sałatę i jakiś specjalny, jego ulubiony, rodzaj pieczywa.

- Nie mam serów, ale ten jęzorek był na tyle pożywny, że chyba nic nie szkodzi, prawda?
- Pożywny to mało powiedziane. – Czują się przejedzona i senna.
- Ale za to przygotowałem deser. Lubię go, bo jest lekki i zimny.
- I taki dokładnie był: lekki, orzeźwiająco chłodny, pachnący wanilią.
- Jak się to nazywa? – zapytała z autentyczną ciekawością, bo francuskie potrawy, nawet jeśli były proste w przygotowaniu, niedrogie i popularne, najczęściej miały swoje bardzo homeryckie nazwy.
- *Crème expresse au fromage blanc et crème de marron*.
- Wiedziałam!
- Serge zamarł z filiżanką kawy w ręce.
- No, wiedziałam, że będzie się jakoś fajnie nazywał. A to jest po prostu biały serek z kasztanami przyprawiony wanilią, tak?
- Tak. I posypany migdałami. – Widać było, że nadal nie rozumie, o co chodzi, ale Ewa nie drążyła tematu.
- Podczas całego obiadu Serge starał się poprawić jej humor.

– To przejdzie, zapewniam cię, że to przejdzie. Wydarzy się coś przyjemnego. O, choćby przyjedzie ta twoja koleżanka i już spojrzysz na wszystko inaczej – powiedział, poklepując jej dłoń, kiedy przyznała się, że idąc przez miasteczko, ma wrażenie, że mijani ludzie są jacyś odpychający. Zupełnie jakby nagle odparowała cała empatia, życzliwość. Nikt się nie uśmiecha, wszyscy przemykają pośpiesznie, a jeśli spoglądają na ciebie, to raczej tak jakoś wilkiem, jakby im przeszkadzało, że właśnie tamtędy przechodzisz.

– Zadzwoiłam wczoraj do pani Richoux, tej, która mieszka obok kościoła St. Nicolas. Miałam u niej sprzątać raz w tygodniu. Odmówiła. I to w bardzo nieprzyjemny sposób. Prawie na mnie nakrzyzczała, jakbym chciała ją oszukać. A przecież to ona szukała sprzątaczkę, ona prosiła żonę Pascala o kontakt ze mną. A wczoraj ta nowa dziewczyna, która sprzedaje w piekarni, ostro zwróciła mi uwagę, bo płaciłam za bagietkę pięciocentówkami. Myślałam, że przydadzą się jej do wydawania... – Tak się rozpędziła w przywoływaniu krzywd i nieszczęść, jakie ostatnio na nią spadły, że nie zauważyła ani wyrozumiałego uśmiechu Serge'a, ani tego, że kilka razy próbował jej przerwać i wtrącić jakieś słowo. Sypała przykładami jak z rękawa. Ktoś krzywo spójrzył, ktoś inny był nieuprzejmy, znajoma

nie odpowiedziała na „dzień dobry”, prawie wślzła w psią kupę na chodniku przed domem, i tak dalej, i tak dalej. Przy sałacie prawie się popłakała.

– A twój syn? Kiedy miałaś z nim kontakt?

Zamilkła, wybita z rytmu. Popatrzyła na Olovskiego, który jakby nigdy nic ścierał z koszuli krople sosu.

– No, chyba już miesiąc, jak się nie odzywał.

– Martwisz się o niego?

– Oczywiście. Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje, jak sobie radzi, i w ogóle.

– A ty kiedy do niego ostatnio dzwoniłaś?

– Ja?

– No, ty, a kto inny? Jeśli się niepokoisz, to dłaczego nie zadzwonisz i nie zapytasz, co u niego?

– Nie chcę mu się narzucać.

– O mój Boże! Naprawdę wobec własnych dzieci musisz stosować takie dziwne zasady? A może twój syn siedzi gdzieś w swoim studenckim pokoiku i przykro mu, że do niego nie dzwonisz, a on tęskni, ale nie chce ci się narzucać? Oj, Wolny! Chodzisz po świecie i wypatrujesz nieszczęść. A ja ci taki dobry obiad przygotowałem. Z deserem! – Rozlał do kieliszków resztkę wina, a pustą butelkę odstawił na kredens. – Zobacysz, wszystko się w końcu ułoży. Widmo Lebretona przestanie krążyć nad naszą malowniczą wsią. Uspokoisz się, dzieci będą cię odwiedzać. Może nie tak często, jak byś chciała, ale czasami wpadną. Nic nie poradzisz, że dorosłeją i układają sobie życie po swojemu. A ty znajdziesz jakiś sposób, żeby dorobić do tej swojej nędznej renty i zajmiesz się sobą, a nie tylko wyczekiwaniem na odwiedziny kogoś z nich.

– Pokaż mi lepiej tę niespodziankę, o której mówiłeś przez telefon – warknęła niezbyt miło, bo nic nie wkurza tak bardzo jak świadomość, że krytyczne uwagi skierowane pod twoim adresem są jak najbardziej słuszne. Na dodatek, oprócz niejasnego „to nie jest takie proste” albo „tak ci się tylko wydaje”, inne argumenty nie przychodzą ci do głowy.

Niespodzianką okazał się samochód. Serge z dumą poklepywał białego renault megane, który stał na podjeździe i błyszczał w świetle latarni wypolerowaną karoserią.

– Ale ty przecież miałaś samochód.

– Miałem, ale nie jeździł. To znaczy stał długo, nieużywany, i jakieś gryzonie zamieszkały pod maską. To był stary safrane. Teraz już za duży jak na moje potrzeby. Dogadałem się z pewnym mechanikiem z Meaux, który, no cóż, miał wobec mnie pewne zobowiązania z dawnych czasów. Safrane wziął na lawetę, a mnie podstawił ten oto egzemplarz. Podoba ci się?

– No, pfff, ładny.

– Oj, nadal nic nie rozumiesz? Ewka, mamy sprawny samochód! To wprawdzie diesel, ale na jazdę po okolicy zupełnie wystarczy. Teraz ludzie pozbywają się diesli, więc nawet nie musiałem nic dopłacać. Ma pięć lat i niecałe sześćdziesiąt tysięcy na liczniku. Nie miałem samochodu i mam samochód. Myślę, że zrobiłem interes życia. Chodź, uczymy to kieliszkiem twojego ulubionego cointreau, a potem wrócisz do domu i zadzwonisz do syna. Co ty na to?

– Skąd wzięłeś cointreau?

– Kupiłem specjalnie dla ciebie. Lubisz przecież takie owocowo-ziołowe mieszanki, zdrowe są – zachichotał upiornie i klepnął ją w plecy.

Odwróciła się, oburzona.

– Olovski, klepnąłeś mnie w plecy!

– Wiem, przepraszam. Chciałem w tyłek, ale rozmyśliłem się w ostatniej chwili. Jeszcze byś to dopisała do swojej listy nieszczęść.

## ROZDZIAŁ XIV

W czarno-białej szachownicy kamiennej podłogi ciepło połyskiwały smugi odbitego światła lamp. Jean-Jacques Cousin z przyjemnością obrzucił wzrokiem wypolerowane dębowe blaty i wytarty do sucha kuchenny zlew. Specjalną uwagę zwrócił na miedzianą baterię, bo pani sprzątająca zwykle zaniedbywała ten szczegół, a potem wysychające krople wody matowiły powierzchnię kranu białawym osadem. Przymknął dwuskrzydłowe przeszklone drzwi i szurając miękkimi domowymi pantoflami, podszedł do stojącego przy kominku fotela. Obok, na okrągłym intarsjowanym stoliku, czekał już duży kieliszek porto.

Porto to była jego słabość, do której się nie przyznawał, bo gdzieś kiedyś usłyszał, że nie jest to trunek zbyt wyszukany. W zaciszu domowym ulegał jednak tej skłonności, licząc, że odpowiednio wysoka cena za butelkę uchroni go przed późniejszym bólem głowy. (Pewnie by tak i było, gdyby poprzestawał na jednym kieliszku).

Był zadowolony. Czuł się dumny z siebie i jakiś taki oczyszczony, lepszy. Tych uczuć było więcej, a wszystkie bardzo przyjemne, więc w świetle trzech stojących lamp i jednego kinkietu, którego kryształki tak pięknie rozpraszają światło żarówki, że aż go to rozczulało, miał zamiar zasiąść, odprężyć się po pełnym wrażeń dniu, w spokoju delektować się chwilą, porozmyślać o tym, co było i zaplanować następne dni. Ustawił fotel pod odpowiednim kątem, poprawił poduszkę, która miała chronić jego obolałe pośladki, ułożył stopy na tapicerowanym podnóżku i sięgnął po kieliszek z purpurowym trunkiem. Westchnienie rozkoszy nad wyraz głośno rozległo się w pustym domu. Poprawił ułożenie stóp i wygodniej wsparł głowę o zagłówek. Przymknął oczy, uśmiechnął się. Tak. Był dumny. To prawda, że dwa razy przełożył termin tego cholernego badania, ale w końcu to zrobił. Panie z recepcji szpitala nieco się już irytowały, a lekarz był przekonany, że dotknął go jakiś przypadek losowy, choroba w rodzinie czy inne nieszczęście. Wiadomo przecież, że jeśli pacjent ma wyznaczony termin badania, to jakby wygrał los na loterii. Z byle powodu takich rzeczy się nie odwołuje. A on się po prostu bał. Może nie tyle bólu, co tej krepującej sytuacji. No bo jakże to tak? Odbyt wystawić i... No, nieważne. Ma to już za sobą. Westchnął, tym razem z ulgą i nieco ciszej. Od razu po przyjeździe sprawdził zawartość lodówki. Ta gadatliwa baba, która przychodziła sprzątać, nie była może zbyt dokładna i trochę za bardzo wścibska, ale za to gotowała świetnie. Uparła się, że po szpitalu trzeba zjeść coś lekkostrawnego, więc przygotowała *salade de chevre chaud*, która czekała na niego wraz z grzankami w piekarniku, bo wszystko musi być podane „jak się należy”, a tylko ona wiedziała, kiedy ser wystarczająco się podtopił i czy chleb jest odpowiednio zarumieniony. Do sałatki dorzuciła kilka plastrów szynki z Bayonne, a na dodatek postawiła na stole wyjętą z lodówki butelkę muscadeta. Zniósł więc cierpliwie wszystkie plotki, jakimi go zasypywała, kręcąc się po kuchni. Z sobie właściwym zamiłowaniem do makabry opowiadała o śmierci nieszczęsnego Lebretona, którego podobno wyłowiono z Marny gdzieś w pobliżu przystani w Charly.

– Pijaniuteńki był, mówię panu, pi-ja- niu-teńki! Nawet się z pasów nie wypiął, nie wiedział, co się z nim dzieje. Na pełnym gazie prosto do rzeki! Zanim się ludzie zbiegli, strażaków wezwali, to już nie było co ratować. A tu jego apteka z dymem poszła. Gadają, że sam podpalił – opowiadała z przejęciem, zupełnie jakby była naocznym świadkiem wszystkich tych dramatycznych wydarzeń.

O pożarze w centrum La Ferté Cousin słyszał, ale za bardzo zajęty był swoją chorobą i perspektywą cierpienia, żeby bliżej się tym zainteresować. Cóż, pożary się zdarzają, a w tej ciemnej ponurej aptece pewnie wszystkie instalacje były mocno przestarzałe.

– Szkoda człowieka, nie powiem, grzeczny był – kontynuowała, niezrażona jego milczeniem. – Wie pan, zawsze „dzień dobry”, „do widzenia”, „miłego dnia”, „zdrowia życze”, i takie tam. Tylko jakiś taki sztywny. Nigdy nie zażartował, nie zagadał, tylko te swoje „prosze” i „dziękuję”. Ale zawsze szkoda człowieka.

– Niewątpliwie szkoda, droga pani. A teraz, jeśli pani już skończyła, to bardzo dziękuję, ale chciałbym zjeść w spokoju i odpocząć. Miałem ciężki dzień.

Mruknęła coś pod nosem. Trzasnęła drzwiami od zmywarki, do której wsadziła ostatnie brudne talerze i wreszcie sobie poszła. Usłyszał jeszcze zgrzyt kół roweru na żwirze alejki, skrzywienie bramy i dopiero wtedy ułożył serwetkę na kolanach i z namaszczeniem zabrał się za konsumpcję. Cienkie grzanki przyjemnie chrupały w zębach, nie kalecząc dziąseł, a ser wręcz rozpływał się w ustach. Liście sałaty były kruche, odpowiednio skropione octem cydrowym i oliwą. Tak, trzeba przyznać, że gotuje świetnie. Gdybyż jeszcze dokładniej sprzątała, no i nie paplała tyle.

Już w fotelu, z kieliszkiem porto, wrócił myślami do Lebretona. Proszę, jak skończył, fanfaron jeden. Kto by pomyślał, że pije. Może to i prawda, bo w końcu czemuż miałyby wpakować się do tej rzeki? No chyba, że coś było nie tak z samochodem. Hamulce czy coś z układem kierowniczym. Pewnie nie pilnował przeglądów, mądrała. Teraz trzeba będzie jeździć do tej drugiej apteki. Trochę szkoda, bo to dalej od centrum, ale za to parking mają porządną, więc w sumie żadna strata.

Wstał, żeby dolać sobie jeszcze odrobinę ulubionego alkoholu. Wracając na fotel, zabrał z półki lakową skrzyneczkę z podręcznymi lekarstwami. Ustawił ją na kolanach i zaczął przeglądać zawartość. Wyrzucił puste opakowanie po dolipranie, uważnie przeczytał ulotkę dołączoną do zapomnianego legalonu i postanowił łykać go na wszelki wypadek, zanim minie data ważności. Listek witaminy B był uszkodzony, więc też wylądował w koszu, bo lek wydzieliał przykry zapach. Wyłuskał z opakowania pastylkę paracetamolu i położył na stoliku, żeby nie zapomnieć jej zażyć przed pójściem do łóżka. Już teraz czuł nieprzyjemny ucisk w skroniach, ale nie zamierzał rezygnować z kolejnego kieliszka. Potrząsnął zielono-niebieskim pudełeczkiem z napisem „Humex Allergie”, a gdy w środku coś zagrzecotało, pociągnął nosem, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zaczyna się jakaś alergia – zwykle wczesną jesienią cierpiał na uciążliwy katar. Trzeba będzie wybrać się do apteki i dokupić środki przeciwbólowe i może jeszcze zestaw witamin. W rogu skrzyneczki stało nienapoczęte opakowanie „Tabletek Lebretona”. Znad zsuniętych na czubek nosa okularów oglądał białe pudełeczko ze stylizowanym rysunkiem żółtych kwiatków. Oprócz nazwy i ogólnej informacji „ziołowy środek wzmacniający” niczego więcej nie mógł się doszukać. Jeszcze tylko adres apteki i maleńkie cyferki „02” na samym dole opakowania. Jego żona łykała te środki od wczesnej jesieni do późnej wiosny. Twierdziła, że dzięki nim wszelkie wirusy omijają ją z daleka. Faktycznie nie przeziębiała się ostatnio, nie narzekała na ból gardła, nawet sypiała lepiej niż on i nie męczyła jej niestrawność.

– Może coś w tym jest? – mruknął i wysypał na dłoń zlepione ze sobą, dwie małe żółte pigułki. Połknął je wraz z paracetamolem i dość niekonwencjonalnie popił solidną porcją porto. – W tej nowej aptece podobno obsługują bardzo przyjemne młode kobiety, nie takie cudaki jak Yorick. No i można podjechać prawie pod same drzwi.

Ziewnął potężnie, bo alkohol i odprężenie po całodziennych emocjach dawało o sobie znać. Oparł głowę o miękki zagłówek i przymknął oczy. Uśmiechał się sennie, przypominając sobie awanturę, jaką zrobił biednemu Lebretonowi z powodu braku miejsca do parkowania. Jakaś żywiczna szczapa w kominku z trzaskiem sypnęła iskrami, ale już tego nie słyszał. Zasnął.

K O N I E C

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawiają, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki [www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

e-mail: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

tel. 510 043 387



# SPIS TREŚCI:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[Karta redakcyjna](#)



Copyright © Oficynka & Eliza Veinard, Gdańsk 2021

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2021

Opracowanie redakcyjne: Monika Rucińska

Korekta: Lingventa [www.lingventa.pl](http://www.lingventa.pl)

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © winistudios / shutterstock

© Pi-Lens / shutterstock

© Anna Shvets / pexels

ISBN 978-83-67204-08-8



[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

tel:691962519

email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek